



NIEKOMERCYJNY MAGAZYN WSPÓŁCZESNEJ FANTASTYKI

# MOKOPOLITAN

## FANTASTYKA NA ŚWIECIE



ISSN 2449-6251

NR 6

GRUDZIEŃ

*To nie był łatwy rok dla Smoko.*

**N**ajlepszym dowodem tego niech będzie fakt, że numer szósty ukazuje się po siódmym. W roku 2016 cała redakcja sprawdzała granice swoich możliwości i wolontaryjnego zaangażowania w fantastykę. Magazyn tworzyliśmy na środku morza, w hostelach, w szpitalach i na wakacjach, walcząc z wszelkimi wcieleniami przedwiecznego Fakapa.

Ale światu też nie było łatwo. Ponoć ktoś w niebie tworzy wielki musical i potrzebuje obsady.

Będąc rokiem trudnym, 2016 stał się jednocześnie rokiem sukcesów i zrealizowanych projektów: wydaliśmy numer anglojęzyczny i pojechaliśmy z nim do Barcelony promować polską fantastykę. Wszystko wskazuje na to, że projekt okazał się sporym sukcesem. Z całą pewnością promocja literatury polskiej za granicą w listopadzie poszła nam lepiej niż Instytutowi Książki.

Opowiadanie ze „Smokopolitana” (*Koziorożec i Smok* – M. Kucenty) otrzymało nominację do Nagrody im. J. Zajdla, co utwierdziło nas w tym, że „Smoko” realizuje swoje podstawowe zadanie. Promuje debiutantów i daje im realną możliwość wystartowania na polskim rynku literackim. W ten sposób realizujemy również projekt oddolnej walki z praktykami tzw. *vanity publishing*, ponieważ burzymy mit o tym, że debiutantów nikt nie publikuje, a ich genialne teksty po prostu nie mają szansy przebicia się do publiczności.

Nagraliśmy też pierwsze audiobooki tekstów ze „Smokopolitana” i trafiliśmy do kilku polskich i zagranicznych bibliotek.

Co planujemy dla Was na rok 2017? Z pierwszym numerem nowego roku otwieramy kolumnę literatury zagranicznej (tłumaczonej). Po drugie, już od najbliższego numeru chcemy zwiększyć liczbę publikowanych na łamach „Smoko” publicystyki problemowej – analiz, opinii i felietonów, podejmujących tematy istotne dla społeczności fanów fantastyki. W końcu chcielibyśmy, aby papierowe egzemplarze „Smokopolitana” były dostępne również w placówkach stacjonarnych na terenie Polski, umożliwiając tym samym większe dotarcie do czytelników. Co Wy na to ?

A teraz czas na numer 6! Polecam właściwie w całości.

■ ELIN KAMIŃSKA

REDAKTOR NACZELNY: **Elin Kamińska**

redakcja@smokopolitan.pl

WYDAWCA: **Fundacja „Historia Vita”**

ADRES REDAKCJI: os. Akademickie 6/22,

31-866 Kraków, redakcja@historiavita.pl,

www.smokopolitan.com.pl

ISSN 2449-6251

REDAKCJA TEKSTÓW: **Paweł Majka,**

**Karolina Łukasik, Katarzyna Koćma, Michał**

**Szymański, Magdalena Kucenty, Anna**

**Jakubowska**

LAYOUT: **Olga Furman**

SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTU: **Krzysztof Bernacki**

SKŁAD ELEKTRONICZNY: **Anna Jakubowska**

KOREKTA TEKSTÓW: **Michał Szymański,**

**Katarzyna Koćma, Magdalena Kucenty,**

**Anna Jakubowska, Monika Doerre**

RYSUNEK NA OKŁADCE: **Katarzyna Pieróg**

ILUSTRACJE: **Monika Szymańska, Magdalena**

**Kucenty, Elżbieta Głowacka**

PROJEKT LOGOTYPU: **Adriana Depta**

PROMOCJA: **Martyna Walerowicz**

WSPÓŁPRACA: **Paweł Majka, Andrzej Pilipiuk,**

**Michał Cholewa, Piotr W. Cholewa, Simon**

**Zack, Andrzej Ziemiański, Krzysztof Rudek,**

**Błażej Kardyś, Marcin Kłak**

WSPÓŁPRACA MEDIALNA: **Nie czytasz? Nie**

**idę z Tobą do łóżka**

**Spis treści****TEMAT NUMERU**

Fandom w Brazylii	2
Komiks włoski	7
Fantastyka Niderlandzka	13
Karaibska Fantastyka	21
Czerwona fantastyka	26

**OPOWIADANIA**

Paradoks Bliźniąt	33
Cichy błękit	57
Spójrz w górę	72

**POWIEŚĆ W ODCINKACH**

Oko Cyklonu	84
-------------	----

**FANDOM**

Z pustego w próżne	91
Kanarki w kopalni	99
O Worldconie słów kilka	110

**KONWENTY**

Fantastyczny piknik	114
Eurocon 2016	116
Falkon 2016	119

**ANATOMIA LARPA**

Gdzie sny stają się rzeczywistością	122
-------------------------------------	-----

**RECENZJE**

Smoki, kielichy i przyjaźń polsko-chińska	126
W ludzkiej skórze	128

**WYWIAD / RPG**

Wampiry nie noszą lycry	130
-------------------------	-----

# Fandom w Brazylii

Autor: Katarzyna „Ophelia” Koćma

WIELKI NIEOBECNY?

BRAZYLIJSKI FANDOM  
FANTASTYKI

## WSTĘP

Nie mam innego wyjścia, jak rozpocząć ten artykuł smutną dla wielu wiadomością. Otóż, wszystko wskazuje na to, że w Brazylii nie wykształcił się tak zwany fandom fantastyki. Powiedział mi tak każdy, kogo poprosiłam o pomoc w dotarciu do członków tej mitycznej niemal formacji, a pytałam oczywiście osoby znające się na rzeczy. Nie znam, nie ma, może spróbujesz z jakimś innym, a to w Brazylii istnieje w ogóle fandom?

Cóż mogłam zrobić – nie będzie wywiadów z prezesami klubów ani barwnych anegdot konwentowych prosto „od źródeł”. Mówi się trudno. Nie oznacza to jednak, że całkowicie skreśliłam brazylijskich fanów fantastyki. Przecież musi istnieć coś, jakiś wspólny mianownik, który scala, nie tylko w znaczeniu symbolicznym, lecz także towarzyskim, czy eventowym miłośników elfów, duchów i kosmitów w państwie, które swym olbrzymim terytorium pokrywa niemal połowę całego kontynentu Ameryki

Południowej. Tym bardziej niesamowite wydaje się to w kontekście brazylijskiej historii i kultury, niestabilności rasowej, walki o tożsamość i wyzwolenie z europejskich oraz „jankeskich” wpływów. Poza tym, o czym my w ogóle mówimy? Jak to nie ma fantastyki, skoro tak dobrze ma się realizm magiczny? A Jorge Amado? Doprawdy, trudno wyobrazić sobie, by w Brazylii faktycznie występował deficyt wyobraźni popychającej pisarzy ku przelamywaniu realistycznych fabuł.

Trzeba więc wyraźnie zaznaczyć – w Brazylii pisze się fantastykę, co automatycznie wytwarza sytuację, w której grupa osób czytających ją chce nawiązać ze sobą jakąś relację, a co za tym idzie – istnieje i fandom. Funkcjonuje on jednak na innych zasadach, niż np. w Polsce czy Stanach Zjednoczonych, bo i fantastyka jest inna. Warto więc, choćby przez chwilę, odbyć przechadzkę po brazylijskim świecie fantastycznej fikcji.

## HISTORIA BRAZYLIJSKIEJ FANTASTYKI

Korzenie brazylijskiej fantastyki sięgają połowy XIX wieku. Jednym

z najwcześniejszych tekstów w tym nurcie są satyryczne, drukowane w odcinkach jednej z gazet *Páginas da história do Brasil, escritas no ano 2000* [Karty z historii Brazylii spisane w roku 2000] pióra Joaquina Felício dos Santos. Wkrótce jednak Brazylija zyskała własny odpowiednik Juliusza Verne'a. Augusto Emilio Zaluar, urodzony w Portugalii, lecz naturalizowany w Brazylii, dał temu dowód w *Doktorze Benginusi* (1875), opowieści przyciętej o podróży balonem do serca kraju. Obok awanturycznej fabuły, książka podejmuje również tematy ewolucjonizmu oraz indyjskiej utopii. Z kolei prekursorską fantastyki spod znaku feminizmu jest Emilia Freitas, która ukazuje kobiecą utopię na wyspie otoczonej podziemną drogą – mowa o *A Rainha do Ignoto* [Królowa Krainy Nieznanej] z 1899 roku.

Wydać się, że utopia to jeden z ważniejszych tematów brazylijskiej literatury. Jej elementy pojawiają się w otoczeniu zarówno mitologicznym, jak i fantasy czy science fiction. Rozkwit motywu utopii przypada na pierwszą połowę XX wieku. Pojawia się on w takich dziełach, jak dotyczące już w 1922 roku problemu eugeniki *O Reino de Kiato (No país da verdade)* [Królestwo Kiato (Naród Prawdy)] Rodolfo Teófilo czy wzorowany na utworze Edwarda Bellamy'ego *Sua Excelência, a Presidente da República no ano 2500* [Jej Eksceleńcja, Prezydent Republiki roku 2500] Adalzirya Bittencourt (1929). W latach 30. natomiast literackim objawieniem okazał się dziennikarz Berilo Neves. W swych zbiorach opowiadań *A costela de Adão* [Żebro Adama] (1930), *A mulher e o diabo* [Kobieta i diabeł] (1931) czy *Século XXI [XXI wiek]* (1934) Neves z humorem podchodzi do tematu kosmicznej turystyki, szalonych naukowców, niezwykłych

maszyn oraz... narkotyków. Akcja antologii rozgrywa się kolejno około roku 2000, w XXXV wieku i w roku 5432.

Po latach 30. nastąpił okres stagnacji, brazylijska fantastyka właściwie się nie rozwijała. Jej odrodzenie przyszło wraz z latami 60. i tak zwaną Pierwszą Falą (lata 1958-1971). Gumercindo Rocha Dorea, nazywany brazylijskim Campbellem, założył wydawnictwo Edições GRD. W roku 1960 rozpoczął publikację przekładów dzieł obcych, osadzonych w konwencji science fiction. Wtedy powstały też dwie pierwsze antologie fantastyki w historii państwa – *Antologia brasileira de ficção científica* [Antologia brazylijskiej science fiction] (1961) i *Histórias do Acontecerá* [Historie, które się wydarzą] (1961). Śladami Dorei poszedł wkrótce Álvaro Malheiros, naczelny małego wydawnictwa EdArt.

Pierwsza Fala upłynęła więc pod znakiem dzieł utopijnych i dystopijnych, krytykujących reżim militarny oraz technokrację. Tworzyli wówczas tacy pisarze, jak m.in. Chico Buarque, który napisał świetny *Fazenda modelo* [Folwark typowy] (1974), wariację na temat *Roku 1984* Orwella stanowiącą satyrę na kapitalizm; słynni stali się też Herberto Salles i jego *O fruto do vosso ventre* [Owoc macicy] (1976); Ruth Bueno w *Asilo nas Torres* [Schronisko w Wieżach] (1979) czy Ignácio de Loyola Brandão ze swym *Não verás país nenhum* [Albowiem nie ujrzą domu] (1981).

Co więcej – fantastykę zaczęli pisywać też niektórzy artyści – m.in. muzyk i twórca performansów Fausto Fawcett opublikował powieść *Santa Clara Poltergeist* (1990) [Poltergeist z Santa Clara] z elementami cyberpunku, rozgrywającą się w Rio de Janeiro przyszłości. Na początku XXI wieku

Octavio Aragão, Fabio Fernandes czy Jorge Luiz Calife zaczęli natomiast wydawać powieści z nurtów *science fantasy*, historii alternatywnej czy *hard SF*.

Za sprawą dostępu do Internetu około roku 2005 narodziła się Trzecia Fala. Rok wcześniej Fabio Fernandes utworzył grupę internetową Orkut, wokół której zebrało się grono młodych autorów. Na uwagę zasługuje tu powieść Tibora Moricza – *Fome* [Głód] – uważana za najbardziej nasyoną przemocą książkę w historii brazylijskiej fantastyki naukowej. Charakterystycznym autorem Trzeciej Fali jest przede wszystkim Nelson de Oliveira piszący pod pseudonimem Luis Bras. Swoją karierę rozpoczął od twórczości typu *young adult* z elementami SF, jednak mówi się o nim jako o odnowicielu postcyberpunku. Będąc redaktorem magazynu „Projeto Portal” (2008-2010), stał się gorącym orędownikiem łączenia SF i literatury głównonurtowej, wierząc, że przyniesie to korzyści nie tylko fantastyce, ale odświeży i rozpowszechni literaturę brazylijską jako taką.

## POCZĄTKI FANDOMU

Początki brazylijskiego fandomu sięgają jednego z najbardziej pamiętnych okresów w dziejach świata – roku 1969. W Rio de Janeiro odbył się wówczas Festival Internacional de Cinema, na który przyjechali najwybitniejsi przedstawiciele amerykańskiej fantastyki. Za sprawą Joségo Sanza – redaktora i tłumacza SF – w jednym miejscu spotkali się m.in. Brian Aldiss, Poul Anderson, J.G. Ballard, Alfred Bester, Arthur C. Clarke, Harlan Ellison, Robert A. Heinlein, Damon Knight, Frederik Pohl, A.E. van Vogt czy Kate Wilhelm. Jednak dopiero podczas Drugiej Fali, w latach 80.,

powstały kluby zrzeszające miłośników fantastyki – w 1985. R.C. Nascimento powołał do istnienia Clube de Leitores de Ficção Científica. Ziny takie, jak „Somnium”, „Hiperespaço” czy „Boletim Antares” oraz fanowskie antologie, jak *Verde...Verde...* (1988), pozwoliły wylansować młode talenty.

Niezwykle interesujące (i udane) były też próby scalenia nurtu głównego z fantastyką. Ivan Carlos Regina w 1988 roku ogłosił manifest brazylijskiego SF – *Manifesto antropofágico da ficção científica brasileira* wzorowany na tekście *Manifesto Antropófago* z 1928 roku, w którym Oswald de Andrade, czołowy przedstawiciel brazylijskiego modernizmu, zachęcał, by zamiast kopiować zachodnie wzorce, zacząć czerpać niczym ludożerca z kultury europejskiej to, co najlepsze, a następnie przenosić te wartości na rodzimy grunt. Takie było też założenie Reginy, który pragnął, by zamiast imitować amerykańską fantastykę, Brazylia, której stosunki społeczne i tożsamość zasadniczo się różnią, stworzyła nowy nurt.

## WYDAWNICTWA I MAGAZYNY

Obecnie dwoma największymi branżowymi czasopismami są „Somnium” oraz „Megalon”. Pierwszym magazynem science fiction w Brazylii było jednak pismo „Fantastic” (1955-1961) – lokalna wersja amerykańskiego „Fantastic” (1952-1980). Niestety ukazało się jedynie dwanaście numerów zinu. Następcą „Fantastic” zaś okazała się „Galáxia 2000”, która szybko przekształciła się w „Magazine de Ficção Científica”.

Wkrótce zaczęły pojawiać się internetowe ziny, np. „Starlog”, który od ósmego numeru

wychodził wyłącznie w sieci. Jego misją było publikowanie opowiadań debiutantów, lecz ostatecznie ukazało się dziesięć wydań z internetowymi włącznie i pismo zostało rozwiązane.

W ciągu ostatnich kilku lat pojawiły się też bezpłatne, w pełni zdigitalizowane publikacje, które jednak nie zyskały aż tak wielkiej popularności, jakiej można było się spodziewać.

Niewiele lepiej ma się rynek wydawnictw z tego nurtu. Istnieje zaledwie kilku niezbyt dużych wydawców z siedzibami głównie w São Paulo, którzy pojawili się w okresie Trzeciej Fali pod wpływem zainteresowania wśród brazylijskich czytelników takimi sagami, jak „Harry Potter” czy „Władca Pierścieni” (wówczas przełożono je na portugalski). Najsłynniejsze i największe domy wydawnicze to obecnie Devir, Aleph i Conrad, które narzucają trendy i posiadają swoich stałych autorów. Mniejsze wydawnictwa – Draco, Tarja, Terracota czy Não Editora (jedyne z siedzibą w Porto Alegre) szukają nowych talentów wśród debiutantów.

Do najbardziej znanych (także w Europie i Stanach Zjednoczonych, ze względu na dostęp do przekładów), współczesnych prozaików z Ameryki Południowej należy Ignacio de Loyola Brandão, autor słynnych dystopii *Zero* oraz *Still the Earth*. Z kolei pisarz średniego pokolenia (rocznik 1970) – Marcelo Cassaro – zasłynął jako jeden z najlepszych brazylijskich twórców RPG-ów i komiksów (seria „Holy Avenger”). Wielkim

sukcesem okazały się także powieści Eduardo Spohra, którego wylansować stara się bodaj najsłynniejszy (choć, delikatnie rzecz ujmując, niekoniecznie najlepiej piszący) brazylijski powieściopisarz wszechczasów – niejaki... Paulo Coelho. Spohrem warto jednak zainteresować się ze względu na intertekstualne nawiązania do autorów anglojęzycznych, dzięki którym udało mu się przebić w świecie zachodnim: m.in. do Tolkiena, Gaimana, Moore’a, Lovecrafta czy Kinga.

## KONWENTY I NAGRODY

I tutaj pojawia się największy, zasadniczy problem. Chociaż autorzy książek i publikacji na temat brazylijskiego fandomu podkreślają, że fandom ten prężnie się rozwija, brakuje w nim jednak tego, do czego przyzwyczaili się polscy miłośnicy fantastyki – konwentów oraz nagród.

Z nagrodami nie jest jeszcze tak tragicznie – w latach 80. funkcjonowała tzw. Nova Award (za najlepszą brazylijską powieść i opowiadanie), a odpowiednikiem polskiej Nagrody im. Janusza A. Zajdla jest dzisiaj Argos. O konwentach nikt jednak nie słyszał... Namiastkę stanowią spotkania *Furry*, czyli miłośników antropomorficznych zwierząt, które odbywają się w São Paulo, Rio de Janeiro, Belo Horizonte oraz Curitiba, brak jednak analogicznych imprez poświęconych serialom, filmom czy powieściom spod znaku SF, fantasy, horroru.



## ZAKOŃCZENIE

Moi znajomi nie mieli racji – fandom w Brazylii z pewnością istnieje, jednak – co zapewne wiąże się z kulturową odmiennością – fani działają zupełnie w inny sposób. Przede wszystkim nie ma tak silnego podziału na mainstream i fantastykę, co w Polsce często staje się zarzewiem ogromnych konfliktów. Istotne jest także ulokowanie najważniejszych inicjatyw w dwóch ośrodkach – São Paulo oraz Rio de Janeiro – przyczynia się to do rozpowszechnienia fantastyki w dużych miastach, natomiast mieszkańcy oddalonych od tych metropolii terenów są w pewien sposób odseparowani. Być może dlatego w Brazylii nie odbywają się konwenty – kto, poza rezydentami danej metropolii, miałby na nie dotrzeć, skoro fantastyka często łączy się z literaturą głównonurtową (choćaby dzięki realizmowi magicznemu), a jej zasięg jest raczej lokalny. I wreszcie – zadziwiająca jest krótkotrwałość brazylijskich fanzinów, które w dużej mierze kreują trendy na rynku. Te i zapewne jeszcze inne czynniki sprawiają, że owszem, fandom w Brazylii istnieje, nie jest to jednak byt na miarę fandomu amerykańskiego czy europejskiego, a raczej specyficzny, lokalny twór. Bo skoro cała niemal literatura przesycona jest fantazją, kto chciałby ograniczać się do grupy geeków?

■ KATARZYNA „OPHELIA” KOĆMA

### BIBLIOGRAFIA:

<http://www.adjectivespecies.com/2012/07/29/foreign-furry-fandoms-brazil/>

<http://www.sf-encyclopedia.com/entry/brazil>

M. E. Ginway, *Brazilian Science Fiction: Cultural Myths and Nationhood in the Land of the Future*, Lewisburg, Bucknell University Press, 2004.

E. King, *Science Fiction and Digital Technologies in Argentine and Brazilian Culture*, Palgrave Macmillan, 2013.

## TEMAT NUMERU

# Komiks włoski

Czyli historie obrazkowe z kraju opery i pizzy

Autor: Krzysztof Pielaszek

## O *fumetti* słów kilka

Włoski komiks nigdy nie cieszył się w Polsce zbyt dużą popularnością. Nawet jeden z największych hitów tamtejszego rynku – *Dylan Dog*, którego wielkim fanem był zmarły niedawno Umberto Eco – nie odniósł u nas większego sukcesu. Bodajże jedynym twórcą pochodzącym z Półwyspu Apenińskiego cieszącym się u nas jako taką sławą jest Milo Manara – autor znany ze swoich dzieł o charakterze erotycznym. Niektórzy czytelnicy mogą kojarzyć też komiksy o przygodach Kaczora Donalda czy Myszki Miki znane z publikowanych w naszym kraju od lat „Gigantów”, czy czasopisma „Kaczor Donald” – zaskoczy was być może wiadomość, że wiele zawdzięczają one rysownikom i scenarzystom z Italii.

Sam miałem okazję zapoznać się szerzej z twórczością włoskich mistrzów dopiero kilka lat temu, w trakcie odbywania stażu zawodowego na południu największej wyspy Morza Śródziemnego – Sycylii. Od tamtego czasu sięgam od czasu do czasu po *fumetti*, a także zachęcam innych do sięgnięcia po nie. Mają one bowiem w sobie to niedające się do końca uchwycić „coś”, co odróżnia je

zupełnie od popularnych u nas komiksów amerykańskich, japońskich czy francuskich, a także naszych rodzimych publikacji.

Pierwszym wydanym we Włoszech komiksem był amerykański *The Yellow Kid* Richarda F. Outcaulta, którego publikację rozpoczęto na łamach gazety „Il Novellino” w 1904 roku (dziewięć lat po jego światowym debiucie). Dopiero cztery lata później, a dokładniej 27 grudnia 1908 roku, startująca czasopismo „Il Corriere dei Piccoli” zaprezentowało światu pierwszego bohatera komiksowego stworzonego przez Włocha. Nazywał się on Bilbolbul i był małym, afrykańskim chłopcem, którego przygody pisał oraz rysował Attilio Mussino. Jego perypetie wydawano aż do 1933 roku. Były to krótkie, komediowe paski komiksowe, których humor opierał się głównie na tendencji Bilbolbula do rozumienia każdej zasłyszanej metafory dosłownie.

Tak oto narodziły się *fumetti*.

Owo używane przeze mnie w odniesieniu do włoskich historii obrazkowych słowo oznacza dosłownie „małe obłoczki dymu” albo po prostu komiksowe dymki. Mieszkańcy kraju, który swym kształtem przypomina buta, określają tym mianem

wszystkie komiksy. Na świecie przyjęło się stosować je względem dzieł tamtejszych autorów, a także – z rzadka – fotokomiksów.

Co jednak ciekawe, początkowo w tamtejszych historiach rysunkowych nie używano dymków, a dialogi umieszczano w podpisach pod obrazkami. Nawet gdy publikowano komiksy zagraniczne, w których dialogi pojawiały się w dymkach, to usuwano je, by tekst umieścić pod kadrami (podobne praktyki stosowane były też w Polsce w analogicznym czasie). W ten sposób potraktowano chociażby komiksowe adaptacje przygód kota Feliksa znanego w Italii jako Mio Mao.

Włoski komiks wywodzi się z magazynów satyrycznych, a także czasopism dla młodego odbiorcy. Stąd też początkowo większość publikowanych tytułów miała charakter komediowy bądź edukacyjny. Popularnym tytułem był na przykład *Quadratino* Antonio Rubino. Jego główny bohater – niegrzeczny Quadratino (Mały Kwadrat) – co chwilę uprzykrza życie swojej Babci Matematyce oraz korepetytorce Trygonometrii. W ramach kary za złe zachowanie, jego głowa zmienia kształt (zwykle jest kwadratowa), a tylko zrozumienie popełnionego

**MARMITTONE SCAVA UNA TRINCEA**



«-Qui farete una trincea, e sia pronta per stasera.»



Pelagatti e Marmittone fan prodigi col piccone;



ma la terra vien buttata per indietro, all'impazzata.



e ricolman quei distratti, i lor scavi, appena fatti,



Così al giunger della sera non è pronta la trincea.



Pronta è, invece, la prigione per il nostro Marmittone.

błądu przez głównego bohatera może przywrócić ją do normalności.

W 1922 do władzy we Włoszech doszli faszyci. Szybko zauważyli oni potencjał wspomnianego medium, jeżeli chodzi o możliwość dotarcia z własną propagandą do dzieci i młodzieży. Na rynku pojawiły się periodyki „Il Giornale dei Balilla” oraz „La piccola Italiana” skierowane do najmłodszych.

Jednym z takich komiksów był *Sor Pampurio* Carlo Bisiego. Atakował on włoską burżuazję, ukazując tę grupę społeczną jako ludzi oszalałych na punkcie konsumpcjonizmu. Ich potrzeby miały być jednak nigdy niezaspokojone. Pasek komediowy sugerował też, że nie są oni w stanie znać szczęścia. Współcześni włoscy krytycy odnoszą się do tego tytułu dość negatywnie.

Za najciekawszy komiks wydawanym w tym okresie uznaje się zaś *Marmittone* autorstwa Bruna Angoletta, który na tyle, na ile ówczesna władza pozwalała, parodiował niedogodności życia żołnierza oraz sytuację włoskiego wojska. Często uderzał on w tony antymilitarne oraz subtelnie krytykował wartości faszystowskie.

1 stycznia 1939 roku wprowadzono w życie ustawę zakazująca publikacji komiksów innych niż rodzime na terenie z wyłączeniem *Topolino* (włoskie imię Myszki Miki), czyli historii rysunkowych z bohaterami Disneya. Sytuacja ta miała wynikać z uwielbienia, jakim Benito Mussolini pałał do Myszki Miki w młodości. Część wydawców omijała zakaz, tłumacząc na włoski tytuły zagranicznych serii oraz imiona ich bohaterów. Sytuacja skomplikowała się trzy lata później, kiedy to zabawny gryzoń stworzony przez Walta Disneya przestał być we Włoszech mile widziany.

Popularność postaci takich, jak Goofy

czy Kaczor Donald w słonecznej Italii wydaje się być w ogóle tematem na osobny artykuł. Pierwszy włoski komiks o przygodach Myszki Miki pojawił się już w 1932 roku. Jego autor – Giove Toppi – musiał jednak zmienić tytuł na *Topo Lino* (*Mysz Lino*) z uwagi na prawa autorskie. Po zakończeniu II wojny światowej Włosi jako pierwsi zaczęli publikować historyjki obrazkowe o wymienionych bohaterach w kieszkowych albumach mających po około 100 stron. Tworzone przez nich komiksy były dłuższe od amerykańskich (tam rysowano raczej krótkie paski do gazet bądź historie kilkustronicowe, a we Włoszech miały one po 30 stron), a także bywały parodiami, np. słynnych dzieł literatury.

Dziś około 50% wychodzących w ciągu roku komiksów o przygodach Goofy'ego i spółki tworzonych jest właśnie na Półwyspie Apenińskim. Włosi dali nam też postać Superkweka, czyli parodię amerykańskich superbohaterów z Kaczorem Donaldem w roli głównej.

Dwa lata przed wprowadzeniem wspomnianego zakazu powstał we Włoszech pierwszy katolicki magazyn komiksowy „Il Vittorioso”. Nakład tego tygodnika wynosił około 200 tysięcy egzemplarzy, a na jego łamach publikowali Enrico Basari czy Benito Jacovitti, który stworzył ponad 60 oryginalnych postaci, a także sam napisał i narysował 150 albumów komiksowych, co do dziś uchodzi za niesamowity wynik. W 1949 roku zainspirowani „Il Vittorioso” komuniści rozpoczęli wydawanie własnego czasopisma poświęconego temu medium - „Il Pioniere”.

Końcówka II Wojny Światowej oraz upadek rządu Mussoliniego doprowadziły do rozkwitu rynku, który zakończył się niestety upadkiem wielu magazynów komiksowych.



1. I stivali han grassa peste  
S'è infelato a un grassa arvicola,  
Dibbedu che s'arvicola  
ha già la bocca l'aperta.



4. Dell'arvicola si merita  
han vorrebbe un juost boccone:  
per strare un espediente  
agl' apuzai la merita.



3. Gi ha la morte sanzibule  
è di stare che è affante,  
si son quela brava gente  
s'are affare francamente.



5. Margia molto dibbedu,  
avere fete al suo talu,  
de rancori si ricordava  
e la mamma la rancia.

©Attilio Mussino

Zbyt wielu wydawców chciało szybko zarobić, wprowadzając na rynek produkty słabej jakości. Chwilową popularność zdobyły amerykańskie komiksy przygodowe takie, jak *The Phantom*, *Flash Gordon* czy *Rip Kirby*. Z czasem jednak Włosi zaczęli preferować przede wszystkim bohaterów powołanych do życia przez rodzimych twórców i do dziś tendencja ta się utrzymuje. Ów lokalny patriotyzm zauważalny jest na listach sprzedaży. Co miesiąc tamtejsi fani kupują około 200 tysięcy kopii nowego tomu z przygodami Texa Willera, a tymczasem standardowe nakłady dla zeszytów oraz wydań zbiorczych z nowymi przygodami Avengers czy Batmana oscylują wokół 10-11 tysięcy egzemplarzy.

Rok 1945 przyniósł debiut „Lasso di

Picche” – pisma tworzonego przez grupę rysowników i scenarzystów zamieszkujących Wenecję. Tak zwana „wenecka szkoła komiksu” reprezentowana była przez twórców takich, jak Damiano Damiani, Dino Battaglia, a także znanego i w Polsce Hugo Pratta (*Corto Maltese*, *Indiańskie Łato*). Ich prace były lekko eksperymentalne, bawili się znanymi z tytułów amerykańskich schematami oraz gatunkami, tworząc komiksy przygodowe i detektywistyczne. Silną inspiracją były dla nich serie takie jak, *Dick Tracy*, *The Phantom* czy *Flash Gordon*.

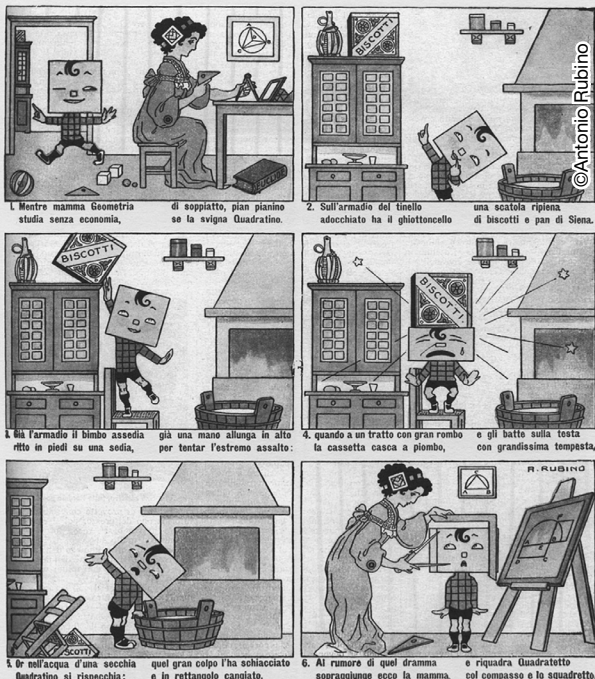
Prawdziwy przełom na włoskim rynku komiksowym nastąpił jednak wraz z pojawieniem się *Texa Willera*. Gian Luigi Bonelli (scenariusz) oraz Aurelio Galleppini (rysunki) stworzyli w 1948 roku jedną

z najbardziej ikonicznych postaci tamtejszej popkultury. Tex to żyjący w Arizonie (!) Strażnik Teksasu, którego życiowym celem jest pomaganie słabszym. W pewnym momencie udało mu się zostać wodzem plemienia Indian Navajo, z którymi był związany od początku swojej komiksowej kariery. Poza bandytami czy businessmanami zdarzało mu się walczyć z czarownicami oraz szalonymi naukowcami.

Tex Willer był pierwszym komiksem wydawanym w formacie zwanym *Bonelliano* (od nazwiska wydawcy), który miał zdominować włoski rynek wydawniczy. Nie przerwanie do dziś co miesiąc ukazuje się kolejny tom jego przygód mający około stu czarno-białych stron i poręczny (16 x 21 cm) format.

Podobnym formatem jest tak zwany „format Diabolika” (wymiary 12 x 17 cm), który został opracowany w 1962 roku przez Angelę Giussani na potrzeby serii „*Diabolik*”, stworzonej przez nią i jej siostrę Lucianę. Miał on być odpowiedzią na potrzeby pasażerów pociągów, którzy kupowali zwykle jakieś czytało przed podróżą, aby następnie je wyrzucić po osiągnięciu swojego celu. Główny bohater tego mocno sensacyjnego komiksu jest złodziejem wykorzystującym swój geniusz do okradania innych przestępców. Nie boi się przy tym ubrudzić i często zdarza mu się kogoś zabić w trakcie swoich misji. Wspomaga go jego partnerka/narzeczona Eva Kant, a ściga niejaki Inspektor Ginko.

Siostry Giussani stworzyły tytuł bezparadonowy. Czerpiąc z postaci Fantomasa, wykreowały bohatera, który do dziś cieszy



się wyjątkowym statusem w Italii. W wielu miastach (na przykład Licacie na południu Sycylii) istnieją bary tematyczne poświęcone Diabolikowi, a w roku 2000 powstał serial animowany o jego przygodach.

Zapoczątkował on też podgatunek znany jako *fumetti neri* (czarne komiksy). Zaliczające się do niego tytuły zwykle pełne są przemocy czy erotyki. W Polsce jego przedstawiciele pojawili się już w latach 90., gdy Wydawnictwo Rekin zaprezentowało czytelnikom pojedyncze tomy serii *Black Jack*, *Wallestein*, *Donna Blu* oraz *Jolly*. Komiksy tego typu mocno skrytykował Jerzy Szyłak w swojej książce *Zgwałcone oczy. Komiksowe obrazy przemocy seksualnej*, w której opisywał je jako kolejną wersję pornografii. Uważał, że często obecne w nich sceny gwałtu bądź różne dewiacje seksualne miały za zadanie jedynie przyciągnąć nowych czytelników. Jego ocena *fumetti neri* była jednoznacznie negatywna, choć

lecz sam zauważył też ich wkład w rozwój komiksów dla dorosłych.

5 lat po *Diaboliku* pierwszy tom swojego *opus magnum* opublikował wspomniany wcześniej Hugo Pratt. *Corto Maltese* to prawdziwy klasyk opowiadający o przygodach tytułowego marynarza i awanturnika, wzorowanego na postaci Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego. Autor zadał sobie wiele trudu, aby oddać realia historyczne początku XX wieku, acz często pojawiają się też w jego dziele wątki mistyczne bądź stricte fantastyczne.

Jest to fascynująca lektura pełna odniesień do europejskiej literatury, mistycyzmu i historii. Corto wielokrotnie spotykał na swojej drodze słynne osobistości epoki, a także brał udział w znanych nam z kart podręczników konfliktach oraz wydarzeniach.

Nasz dzielny wilk morski uczestniczył w wojnie rosyjsko-japońskiej, widział zestrzelenie Czerwonego Barona, a także (podobnie jak Ossendowski) walczył w rosyjskiej wojnie domowej. Zdarzyło mu się też odwiedzić zaginiony kontynent Mu.

Niewątpliwie cieszył się on ogromnym szacunkiem napotkanych postaci, co nieraz uratowało mu życie. W trakcie pobytu na granicy turecko-armeńskiej okazało się, że do grona osób życzących mu dobrze zalicza się nawet Józef Stalin. Miał okazję poznać też chociażby Hermanna Hessego, Josepha Conrada czy Barona Ungerna, którego doradcą w prawdziwym życiu był nasz wspomniany wcześniej rodak Ferdynand Antoni Ossendowski. *Maltese* miał też okazję wspomóc swoimi działaniami czardzieja Merlina oraz króla wrózek Oberona.

W Polsce kilka albumów o przygodach tego niepokornego ducha ukazało się nakładem wydawnictwa Post, są one jednak

w chwili obecnej dość trudno dostępne. Na szczęście Egmont zapowiedział ponowne wydanie *Corto Maltese* na przyszły rok.

Warto też dodać, że choć Hugo Pratt zmarł w 1995, to jego najważniejsze dzieło doczekało się w zeszłym roku kontynuacji stworzonej przez Rubena Pellejero i Juana Diaza Canalesa. Niestety nie miałem jednak jeszcze okazji się z nią zapoznać, więc ciężko mi ocenić, czy panowie stanęli na wysokości zadania.

Od lat 60. liczba wydawanych we Włoszech komiksów obezwładnia. Co roku powstają kolejne serie, a część z nich doczeka się wieloletniej publikacji. Jeżeli będziecie kiedyś mieli okazję, zapoznajcie się z przygodami Nathana Nevera lub Zagora czy zanurczcie w świecie erotycznych fantazjach Valentiny. Twórczość włoskich autorów jest na tyle różnorodna, że na pewno coś przypadnie wam do gustu. Szczególnie, jeżeli lubujecie się w pulpie czy powieściach z wielką intrygą w tle. Co ciekawe, jedynym gatunkiem, który nigdy się w tym kraju nie przyjął jest romans. Sami Włosi zwyczajowo twierdzą, że jedyne wydawane u nich komiksy romantyczne to mangi.

Nie mógłbym jednakże nie wspomnieć szerzej w mym artykule o *Dylanie Dogu* stworzonym przez Tiziano Sclaviego. Ten drugi najpopularniejszy tytuł komiksowy we Włoszech osiągnął szczególny status między innymi dzięki zmarłemu niedawno Umberto Eco, który stwierdził niegdyś, że mógłby czytać go całymi dniami.

Dylan Dog to detektyw mroku. Wraz ze swoim pomocnikiem Groucho (wcale nie wyglądającym jak słynny komik Groucho Marx) zajmuje się rozwiązywaniem spraw paranormalnych. Czasami pomaga Scotland Yardowi (Dylan mieszka w Londynie), choć częściej działa na własną rękę. Sprawy,

którymi się zajmuje, bywają bardzo skomplikowane. Kolejni autorzy serii lubią bawić się z czytelnikiem w kotka i myszkę, igrając ze schematami, a także zmuszając nas do przemyślenia danej historii. To komiksowa jazda bez trzymanki warta każdych pieniędzy.

Niestety nie jestem w stanie polecić wam amerykańskiej ekranizacji – *Dylan Dog: Dead of Night*. Filmowcy z USA nie zrozumieli do końca fenomenu ekranizowanego tytułu i nakręcili w miarę typowy horror klasy B. To, czym jest dzieło Tiziano Sclaviego, pokazuje zaś idealnie historia *Świt żywych trupów*, mogąca uchodzić za swego rodzaju pierwowzór filmu. Zarówno w komiksie, jak i w ekranizacji detektyw mroku mierzy się z nieumarłymi. Jednakże w wypadku historii obrazkowej nigdy tak naprawdę nie mamy pewności, czy zombie są prawdziwe, czy nie. Twórca bawi się z nami i każe się dokładnie zastanowić nad tym, co widzimy. Umiejętnie gra schematami gatunku, aby wywieść nas w pole.

O wiele lepszym filmem, któremu udało się uchwycić niezwykłość tego tytułu, jest *O miłości i śmierci* z 1994 roku. Ten włoski horror będący adaptacją powieści autora *Dylan Doga* opowiada o pracy i życiu Francesco Dellamorte (grany przez Ruperta Everetta – aktora, któremu Dylan zawdzięcza swój wygląd), opiekującego się dość niezwykłym cmentarzem. Część pochowanych na nim osób powraca do życia po siedmiu dniach, a zadaniem naszego bohatera oraz jego pomocnika Gnaghi (tutejszego odpowiednika Groucho) jest się ich pozbywać. Ich życie staje się jeszcze bardziej szalone, gdy nasz grabarz zakochuje się w młodej wdowie, która niedługo potem umiera. Główny bohater zaczyna powoli popadać w paranoję, widząc kolejne kobiety wyglądające jak jego ukochana, a spokojne

miasteczko okazuje się dziwniejsze, niż można było się tego spodziewać.

Niezwykły nastrój produkcji oraz jej zakończenie sprawiają, że zapamiętacie ją na naprawdę długo. Należy jednak dodać, że jest to film dla widzów dorosłych z uwagi na bardzo drastyczne sceny (dużo elementów *gore*) i odważne podejście do erotyki.

Kilka tomów *Dylan Doga* wydał u nas Egmont, a ostatnio kolejne dwa albumy opublikowało wydawnictwo BUM Project.

Włoscy twórcy komiksowi prezentują trochę inne podejście do tego medium niż ich koledzy z Francji czy Ameryki. Większość z publikowanych przez nich historii ma w sobie coś z najtańszych powieści sensacyjnych pełnych brutalności i seksu, lecz jednocześnie bywają o wiele mniej trywialne, niż mogłoby się nam wydawać. Wiele tytułów odnosi się do europejskiej i włoskiej kultury, używając jej elementy na swoje potrzeby. Dzięki temu otrzymujemy bardzo apetyczny miks będący czymś naprawdę wyjątkowym. Walczący z wampirami bohaterowie mogą dywagować na temat natury miłości, dziewczyny superbohaterów oddawać się erotycznym marzeniom, a awanturnicy o skomplikowanej przeszłości – odbywać podróże w celu odnalezienia zaginionego kontynentu Mu.

Nie wszystkie pozycje wydawane na Półwyspie Apenińskim są warte uwagi. Jednakże wiele z nich zasługuje moim zdaniem na większe uznanie na świecie. Następnym razem, gdy odwiedzicie słoneczną Italię, zajrzyjcie do pierwszego lepszego kiosku z prasą i sięgnijcie po pierwsze lepsze *fumetto*. A nuż się zakochacie?

■ KRZYSZTOF PIELASZEK

# Fantastyka niderlandzka

Autor: Damian Olszewski

Dla typowego czytelnika zarówno fantastyki, jak i innych gatunków, literatura niderlandzka jest światem na tyle odległym, że rzadko porusza się ów zakurzony i oblepiony pajęczynami temat. Zaczniemy od pytania – czy ktoś z Was miał już do czynienia nawet nie z fantastyką, lecz z jakąkolwiek literaturą niderlandzką? Czy na myśl przychodzą jacyś autorzy lub chociaż tytuły? Niech każdy przejrzy sobie bibliotekę osobistych doświadczeń i wzruszeń literackich i odpowie w duchu.

Niemcy i Francja to główny bufor dla literatury niderlandzkiej. Dlaczego? Wielojęzyczni autorzy zazwyczaj wolą wydać swe powieści najpierw po francusku, niemiecku, czy nawet angielsku lub, nieco rzadziej, po szwedzku (w końcu dawne kontakty handlowe i polityczne nie zostały zapomniane także przez pisarzy) niż po niderlandzku, ponieważ tamtejszy rynek przyjmie ich o wiele chętniej niż ten w ojczystym kraju. W końcu „standardowy model” Niderlandczyka to oschły i rzeczowy mężczyzna, który twardo stąpa po ziemi, a na fantastykę patrzy z obrzydzeniem, niczym dobrze znany każdemu tamtejszemu uczniowi Batavus Droogstoppel z powieści *Maks Havelaar, czyli Aukcje kawy Holenderskiego Towarzystwa Handlowego*. Dopiero gdy książka odniesie sukces za

granicą (np. we Francji, której rynek jest o wiele bardziej otwarty na teksty w tym gatunku), tłumaczona jest na rodzimy język autora. Przyznać jednak trzeba, że z tą rodzimością można by się sprzeczać.

Rynek literatury fantastycznej rozwija się więc w Holandii bardzo powoli. Na półkach widnieją w głównej mierze pisarze zagraniczni, choć polskich widujemy tam tak często, jak u nas niderlandzkich. Jeżeli już ktoś z Holandii odważy się sięgnąć po pióro, wykrzesać parę słów i pobiec do wydawcy, ciężko to nazwać fantastyką. Co prawda jest wielu pisarzy, którzy inspirowa się naszym sławnym i znamienitym Lemem, ale Niderlandczycy piszą co najmniej specyficznie. Większość pozycji łączy: seks, subtelna przemoc, groteska, lekkie akcenty fantastyki. Często występuje bowiem motyw opętania, zjaw, koszmarów na jawie czy kontroli umysłów. To akurat zapożyczone zostało z mitów indyjskich (dawną kolonią Holendrów były regiony Indii), gdzie dużo mówi się o predestynacji człowieka oraz zjawach ścigających nieszczęśnika i jego rodzinę za wszelkie przewinienia. Bardzo często pojawia się także motyw walki człowieka z naturą, choć nierzadko pokazywana jest ona również jako opiekuńcza matka, a nie złośliwy żywiołak rzucający kłody pod nogi ludzkości.

Jako nacja handlarzy, Holendrzy bardzo szybko wyrobili w sobie nawyk pisania wszelkiego rodzaju dzienników pokładowych, opisów podróży do różnych nieznanych łądów i różnorakich pism. Na każdym statku zawsze musiał być pisarz, choć nierzadko rolę tę pełnił sam kapitan. Stąd też nastąpił bardzo szybki rozwój autobiograficznych przygód, tych bardziej i mniej wiarygodnych. Prawdopodobnie w tym właśnie należy się doszukiwać źródła quasi-autobiograficznych elementów w wielu powieściach niderlandzkich.

Sami Holendrzy nadal spierają się i dyskutują na forach internetowych, czym jest fantastyka i jakie są jej granice, a przede wszystkim – czy one w ogóle istnieją. Dla nich mogą to być książki z dziedziny filozofii lub powieści obyczajowe, ale i typowe historie rodem z polskiego fantasy, z mieczami, smokami, silnymi wojownikami, pięknymi kobietami i żołnierzami podziemia.

Nie oznacza to jednak, że poszukiwanie przykładów niderlandzkiej fantastyki okazało się wyzwaniem całkowicie pozbawionym sensu. Głównym założeniem poszukiwań było dla mnie znalezienie tekstów ogólnofantastycznych, które rzeczywiście w języku niderlandzkim zostały napisane, a nie na ten język przełożone. Warto przypomnieć, że niderlandzki, w Polsce zwany zazwyczaj językiem holenderskim, występuje na terenie Holandii oraz w dwóch odmiankach w Belgii i na Surinamie. Pewien odsetek ludzi mówi po niderlandzku także na Antylach. Przez to zakres poszukiwań zawęził się niesamowicie do jedynie kilku powieści i opowiadań. Te jednak, które powstały, warte są szczególnej uwagi.

Na początek przyjrzyjmy się antologii *Smutny kos. Opowieści niesamowite i osobliwe*.

Jest to zbiór opowiadań najprzeróżniejszej maści – od typowego fantasy, przez horror, na science fiction kończąc. Przeważa w nim właściwa dla Holendrów groteska oraz częste nawiązania do obrazów. Bardzo dużo mówi się o człowieku jako istocie szarej, zwykłej, bez żadnych cech charakterystycznych. Jednak ze względu na różnice między opowiadaniem, jedynym ogniwem spajającym antologię nie jest nawet fakt, że pisarze swe dzieła wydali po niderlandzku, lecz to, że pochodzili z regionów niderlandzkojęzycznych.

Moją uwagę przykuło głównie opowiadanie, które w bardzo wyraźny sposób odnosi się do dzieł malarskich Hieronima Boscha, a mianowicie *Wielkie wydarzenie* Belcampo. Najzwyklejszy mężczyzna na tym globie nagle doświadcza widzenia. Zaczyna zauważać wokół siebie różnego rodzaju demony i fantastyczne stwory niczym z obrazów wspomnianego malarza. Okazuje się jednak, że nie tylko on widzi owe istoty – tajemniczych wizji doświadczają wszyscy mieszkańcy miasteczka. Ludzie próbują ignorować dziwadła do czasu, gdy przybyśże z obserwatorów zmieniają się w oprawców i katów – jak się okazuje – wysłanych przez samego Stwórcę.

Drugim opowiadaniem, o którym warto wspomnieć, jest *Tajemniczy posłaniec* Louisa Couperusa opowiadający o spotkaniu mężczyzny z kosmitą. Stwór z obcej planety, aby nie dziwić zwyczajnego człowieka swą złożonością i wielowymiarowością, przybiera postać budzika. Ma prowadzić badania nad ciałem ludzkim, stąd jego chęć uśmiercenia głównego bohatera w celu przeprowadzenia dokładniejszych analiz. I w tym momencie zaczyna się motyw ucieczki przed zabójczą techniką, a zwłaszcza przed... porannym budzikiem.

Opowiadania w tomiku charakteryzuje

w większości jedno – szczęśliwego zakończenia w nich nie uświadczymy. W końcu tytuł też nie został nadany bez powodu – coś naszego kosa smuć musi. Co ciekawe, historie te napisali głównie autorzy, których do fantastów zaliczyć byśmy nie mogli. Jedynie kilku z nich rzeczywiście w swej twórczości bardzo często wykorzystywało wątki fantastyczne i elementy surrealistyczne, jednak niektórzy należeli przede wszystkim do nurtu realistów i naturalistów, a te i kilka innych opowiadań traktowali jako jednorazową odskocznię.

Nieco poważniejszym dziełem jest *Odkrycie nieba* Harry'ego Mulischa. Ta długa i wciągająca powieść jest w Holandii niemal taką lekturą obowiązkową, jak u nas *Potop* czy *Bajki robotów*.

Głównym wątkiem są tu perypetie życiowe dwóch naukowców – filologa Onno Quista, który przez całe życie próbuje złamać szyfr dawno wymarłego języka, oraz astronoma Maxa Deliusa. Po przypadkowym i bardzo intrygującym spotkaniu mężczyźni stają się przyjaciółmi. W końcu obydwaj zakochują się w Adzie Brons. Relacje między tą trójką zaczynają się robić coraz bardziej zażyłe. Ostatecznie Ada wybiera na partnera Maxa, z którym jednak nie jest w stanie wytrzymać zbyt długo. Porzucony Max wyjeżdża zwiedzać Niemcy i Polskę, zafascynowany obozami zagłady. W tym czasie dochodzi do romansu i zacieśnienia się więzi Onno z Adą. Rzeczywista akcja powieści zaczyna się, gdy po zdradzie Ada zachodzi w ciążę z najlepszym przyjacielem swego męża, a niedługo później, po wypadku samochodowym, do którego zresztą przyczyniają się siły nadprzyrodzone, zapada w śpiączkę. Mimo to udaje się jej urodzić dziecko, którym opiekuje się później Onno wraz z Maxem.

Autor zastosował tutaj budowę szkatułkową, znaną wszystkim zapewne najlepiej z *Mistrza i Małgorzaty*. W opowiadaniu niderlandzkiego pisarza dwie historie nie przeplatają się jednak tak subtelnie, bowiem pierwsza z nich to rozmowa dwóch nadprzyrodzonych istot, które kierują losami ludzi. Bynajmniej nie są to Bóg i Diabeł, a jedynie pomniejsze anioły, które upodobały sobie kontrolowanie żywota grupki osób, wyjątkowych ludzi, aby wypełnić swoje własne zadanie. To dopiero przez ich słowa poznajemy historię właściwą.

Zaskakujące, a momentami niemal rażące, jest przepełnienie rozdziałów opisami miłości cielesnej. Opisy aktów spotkać możemy co kilka, kilkanaście stron, niejednokrotnie z soczystymi szczegółami. Nie brak także ciągłych sporów charakterów – tutaj mają one miejsce głównie między osobami o różnym poziomie wykształcenia i dojrzałości umysłowej. U Maxa pojawia się także problem psychologiczny, gdyż bohater niemal do końca akcji zmagają się ze zdradą i z tym, że dziecko, z którego tak dumny był Onno, nie jest synem filologa, lecz astronoma. Widzi bowiem, jak młody chłopiec wyrasta na równie wielkiego naukowca, jak on.

Właściwy motyw fantastyczny, obok występowania sił nadprzyrodzonych oraz niepoprawnie wysokiego ilorazu inteligencji bohaterów, pojawia się na samym końcu powieści, jednak nie odważę się go zdradzić. Dużą rolę w tekście odgrywają także sny bohaterów, które zdają się przewidywać przyszłe wydarzenia, choć oczywiście nie na tyle dosłownie, aby można było się uchronić przed postępującym nieszczęściem. Tych, którzy od książek stronią może zainteresować fakt, iż powieść została w roku 2001 zekranizowana.



A teraz zajmijmy się innowacyjną powieścią biograficzną w oryginalnej i niespotykanej formie mniej lub bardziej zatartych wspomnień głównego bohatera – chodzi o *Fauna z zimnymi różkami* autorstwa Hugo Raesa.

Główną postacią jest tutaj nauczyciel o nazwisku Houtdrager, który opowiada nam historię swej pracy w szkole w jednej z mniejszych holenderskich miejscowości. Zagadką z początku jest, dlaczego wie tak wiele o współpracownikach, swych uczniach oraz ich rodzinach. Miejscami wręcz jego własna biografia ustępuje pola czystym charakterystykom innych osób, pełniących jedynie rolę trzecioplanowe. Dodatkowo w głowie mieszają nam się rozdziały, w których rola narratora i fokalizatora (czyli bohatera, którego poglądy w sposób widoczny wpływają na narrację) przechodzi z Houtdragera na tytułowego Fauna – mistrza gry na flecie, cynicznego szydercę, który umiłował sobie

wyśmiewanie marności rasy ludzkiej. Nic jednak nie wskazuje na to, aby tego rodzaju stworzeń istniało więcej. Wiemy jedynie, że fauni byli panami świata w erze mezozoiku.

Faun jest obserwatorem, który dzieli się najokrutniejszymi i najzabawniejszymi historiami prawdopodobnie właśnie z Houtdragerem. Co więcej, używa szeregu nadnaturalnych zdolności, jak telekinaza, telepatia, jasnowidzenie. Współpracował także przy budowie tajemniczej, futurystycznej maszyny – pozwalała ona na wcielenie się w wybraną istotę i odczuwanie wszystkiego tak, jak ona to przeżywa. Początkowo ludzie chcą tylko wiedzieć, co czuje ptak latający, czy ryba pływający, jednak wkrótce urządzenie przyjmuje funkcję domu wiecznej rozpusty, gdzie rozkosz seksualna może trwać, póki nie skończą się pieniądze w portfelu.

Sam nauczyciel jest chyba w mieście dość znany i poważany, jako że wpadł niegdyś na genialny pomysł sadzenia drzew na dachach budynków, dzięki czemu miejsce to przerodziło się w zurbanizowany las. Może to dlatego faun wybrał go na powiernika swych historii? Podczas gdy fantastyczne stworzenie jedynie szydzi i wyśmiewa, Houtdrager zdaje się być jego całkowitym przeciwieństwem. Widzi marność ludzką, jednak nadal wierzy w swój gatunek. Jego przemyślenia nierzadko mają charakter egzystencjalny.

Drugim wyraźnym kontrastem w powieści jest tęsknota fauna do natury i dzikości świata w kontraście z umiłowaniem Houtdragera dla schematów, rozwoju technologii oraz samorozwoju. Jedną z teorii mówi, iż Faun i Houtdrager to jedna i ta sama osoba, czy raczej – że faun jest jedynie wytworem wyobraźni nauczyciela. Często bowiem belfer nazywa nieludzkie stworzenie

Marą, gdy to znikąd pojawia się w jego domu.

Prócz samego fauna, w powieści pojawiają się także inne postaci fantastyczne – mówi się o wielkiej wojnie faunów ze skrzatami. Dodatkowo jedyną osobą, z którą tytułowy Faun utrzymuje bliższe stosunki, jest Bzykoludek, którego więzi i niejednokrotnie wystawia jako atrakcję, aby zarobić na nieszczęściu więzionej istoty.

W utworze niesamowity realizm przepleciony jest cienką nicią fantastyki oraz grubym sznurem erotyzmu, nieraz bardzo wulgarnego. Jeżeli jakakolwiek pozycja na rynku polskim miałaby być modelową powieścią niderlandzką z motywem fantastycznym – moim zdaniem będzie to właśnie ta. Wywołuje dokładnie takie emocje, jakich autor według mnie oczekiwał, tzn. zakłopotanie, zaintrygowanie, pozostawienie czytelnika z pytaniami, na które odpowiedzi nie ma lub lepiej ich nie szukać.

Nie zapominajmy jednak, że fantastyka sięga nawet XIX wieku. *Maty Janek* Frederika van Eedena jest prawdopodobnie najtrudniejszą do zdobycia pozycją z tutaj wymienionych, ponieważ ostatnie jej wydanie w Polsce miało miejsce w roku 1904. Sam tekst również nie jest „najświeższy”, bo pochodzi z 1884, jednak dzięki temu uświadczycy możemy pięknych, dość charakterystycznych wstępów do holenderskich powieści tego typu.

Na samym początku narrator prosi nas, abyśmy uwierzyli w każde słowo, mimo że opowieść brzmieć może jak bzdurna bajka. Osobiście uważam tego typu wstęp za bardzo praktyczny – dzięki temu wiemy od początku, na czym stoimy. W końcu Niderlandczyk też chce wpierv wiedzieć, czy będzie czytał praktyczny podręcznik dla młodego ekonomisty, czy też bajkę dla

dzieci, na którą nie warto nawet spojrzeć.

Głównym bohaterem historii jest Janek – ciekaw świata i otaczającej go przyrody chłopiec, który pewnego razu prosi w modlitwie, aby stał się cud. I tak też się dzieje – pływając łódką wraz ze swoim psem, spotyka elfa, który uczy Janka mowy roślin i zwierząt, pomniejsza go, a następnie zabiera na zwiedzanie świata. Podczas podróży chłopiec musi zetknąć się z okrutną prawdą – dla fauny i flory to człowiek jest tym niebezpiecznym i strasznym stworzeniem, które niszczy świat. Nikt z dorosłych jednak nie wierzy w jego historie, mimo iż chłopiec niejednokrotnie spotyka wiele magicznych stworzeń i dowiadyuje się o świecie rzeczy, które dla większości ludzi pozostają niedostępne. Janek przeżywa wiele nieszczęść – ucieczkę z domu, przymus nauki religii u przybranej rodziny, zawód miłosny, spotkanie z Pluizerem oraz doktorem Cijferem [Nid. *cijfer* – cyfra], którzy próbują mu udowodnić, że natura jest słaba i krótkotrwała, a światem rządzą cyfry i korzyści płynące z (często śmiertelnych) eksperymentów naukowych.

Ta bajkowa powieść pokazuje nam przede wszystkim, jak magiczny może być świat widziany oczami dziecka, oraz że rzeczywistość nie składa się jedynie z liczb. Życie nie zawsze kończy się śmiercią, a to, co zwyczajnie, zawsze zawiera w sobie choćby okruszynę magii. Świat, który tak dobrze znamy, kryje jeszcze przed nami wiele tajemnic.

Niderlandzcy mają też swojego „małego” Lema – Eddy’ego C. Bertina. W Polsce ukazał się zbiorek jego opowiadań, czy raczej cieniutki zeszyt, *Powrót donikąd*. Autor w pięciu krótkich tekstach ukazuje swoje zamiłowanie do futurystycznych wynalazków, na przykład wehikułu czasu.

Mimo że jego twórczość jest raczej odświeżeniem znanych już schematów – podróżnika odnajdującego starą świątynię i tamtejszego mędrca, dysputy z własnym *alter ego* przed lustrem – nadal pozostaje jednym z najbardziej znanych pisarzy fantastyki w Belgii. Tematyką plasuje się głównie w gatunkach literatury grozy oraz science fiction, a sam określa się mianem fana Lovecrafta.

Z całego zbioru chciałbym zwrócić uwagę na opowiadanie właśnie pod tytułem *Powrót donikąd*, gdzie pojawia się dobrze znany motyw choroby psychicznej. Główny bohater zostaje umieszczony w szpitalu psychiatrycznym, ponieważ traci pamięć, a rzeczywistość miesza mu się z dziwnymi wizjami. Myli ludzi, imiona, fakty z życia. Ciągłe ucieka przed czymś, co nazywa Mrokiem. W końcu zostaje ze szpitala wypuszczony, a znajomi czekają na niego z przyjęciem powitalnym. Mrok jednak wraca ze zdwojoną siłą. Bohater stara się go ignorować, a napady paniki tłumaczy upojeniem alkoholowym, jednak w końcu dziwne zjawisko atakuje. Co dzieje się dalej – pozostawiam waszej ciekawości.

Tutaj niestety wątek fantastyki niderlandzkiej na rynku polskim musimy zamknąć. Kolejne dzieła nie zostały jeszcze przetłumaczone, jednak miejmy nadzieję, że już niedługo ten stan rzeczy ulegnie zmianie. Mimo wszystko uważam, że powyższe lektury nie do końca obrazują charakter fantastyki niderlandzkiej, dlatego też posiłkuję się poniższymi przykładami.

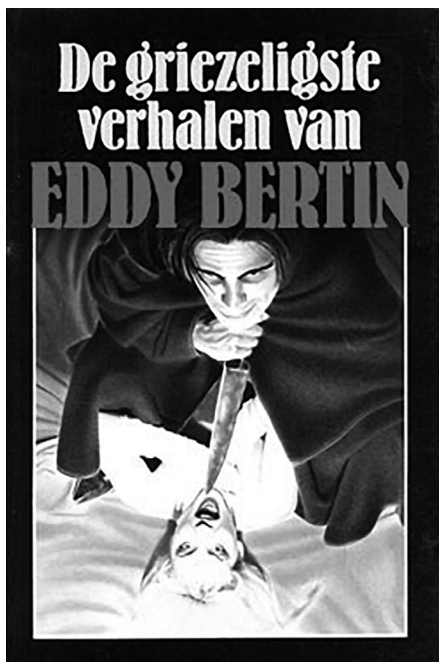
Za pierwszą powieść niderlandzką z gatunku science fiction uważa się aktualnie napisaną przez Bilderdijka w 1811 *Koort verhaal van eene aenmerklijke luchtreis en nieuwe planeetontdekking*, czyli *Krótkie opowiadanie o dziwnej podróży powietrznej i odkryciu nowej planety*. Fenomen jej polega

głównie na tym, iż powstała dobre pół wieku przed słynnymi powieściami Julesa Verne'a. Oto, co Morcińcowie mówią o fabule powieści w swoim opracowaniu *Historia literatury niderlandzkiej*: „Akcja zaczyna się w Persji, gdzie bohater po wynalezieniu gazu lotnego napełnia nim balon i zamierza wraz z grupą śmiałków odbyć podróż powietrzną. Gdy balon unosi się w górę, towarzysze wpadają w panikę i wyskakują za burzę, a balon pozbawiony balastu płynie w przestworza, by w końcu wylądować na nieznannej planecie, gdzieś między Ziemią a Księżycem. Po zbadaniu planety i przeżyciu dziwnych przygód w końcu udaje się bohaterowi naprawić balon i powrócić w strefę przyciągania ziemskiego. Ląduje na oceanie, skąd wylawia go rosyjski okręt”.

Korzeni fantastyki na ziemi holenderskiej doszukiwać możemy się także w neoromantycznej pogoni za bogami różnej maści, a także żwawo rozwijających się sektach wyznających wszelkie bóstwa indyjskie. Nie będzie to jednak typowa powieść ze smokami, lecz oniryczny majak przepelniony lękiem, niepewnością, nierzadko groteską i turpistycznymi wizjami. Przykładami mogą tutaj być *De held van Temesa (Bohater z Temezy)*, narracja będąca wyznaniem mnicha wypełniającego krwawe obrzędy i dokonującego mordu na sprzymierzeńcu Odyseusza, czy *De keller en de levenden (Keller i żywi)* opowiadający o dotyczących wiary zmaganiach dwunastu śmiałków w surrealistycznej krainie cieni.

Kolejnym charakterystycznym elementem półki niderlandzkiej jest literatura z gatunku zwanego magicznym realizmem. Pierwszy tego określenia w XX wieku użył Johan Daisne do opisu powieści, które sam tworzył – realizm bowiem występował tam na równi z „irrealizmem”, a co za tym idzie, ciężko

było przyporządkować taki twór do jakiegokolwiek innego gatunku. Powieści te opierały się głównie na motywie snu na jawie, czy *alter ego* bohatera walczącego w nieznanym mu świecie. Pomocna w zrozumieniu problemu tej literatury może być myśl Platona, na której według Daisne'a opiera się ów gatunek. Mówię tu o założeniu, jakoby ludzkość widziała i doświadczała jedynie odbicia, ułamka doskonałości i rzeczywistości, stąd i to, co postrzegamy jako prawdę, okazuje się być jedynie ułudą, fantazją, iluzją. Tak też postrzegali świat autorzy, którzy w tym duchu tworzyli. Mary stają się niemal integralną częścią dlenia człowieka i jego codzienności, więc dlniego za prawdę mielibyśmy uważać to, co postawione obok koszmarów i marzeń? Daisne tworzy więc dzieło pt. *De trap van steen en wolken* (*Schody z kamieni i obłoków*, 1942) oraz wiele innych, często czytanych pozycji. Jedna z nich,



a mianowicie *De man die zijn haar kort liet knippen*, czyli po polsku *Człowiek z ogoloną głową*, doczekała się ekranizacji.

Daisne ze swoim magicznym realizmem nie pozostał oczywiście sam. Kolejnym pisarzem, na którego warto zwrócić uwagę jest Hubert Lampo. On bowiem dokłada do tej mieszanki także elementy powieści historycznej. Akcja w jego dziełach krąży głównie wokół wątków biblijnych oraz średniowiecznych. Szczególnie widoczne jest zainteresowanie pisarza mitologią egipską. Postaci zazwyczaj są naukowcami lub odkrywcami, do których życia brudnymi buciurami wdziera się drugi, mniej realny, a z pewnością niezrozumiały świat. W taki sposób autor pokazuje nam ideę magicznego realizmu oraz próbuje udowodnić, że żadna informacja czy stała prawda nie była rzeczywiście prawdą, a jedynie opcją w danym momencie akceptowaną. Dużą uwagę skupia także na kształtowaniu profili psychologicznych postaci, ich rozwoju oraz wpływie wydarzeń, zwłaszcza tych oderwanych od rzeczywistości, na jaźń. W swojej powieści *Powrót Joachima Stillera*, wspomnienia, jak i wszelkie inne emocje oraz odczucia, traktuje niczym namacalne istoty, które w równie fizyczny i materialny sposób oddziałują na ludzi i ich postępowanie. Tekst ten został przetłumaczony także na język polski, jednak realizm magiczny jako nurt literacki nie zalicza się ściśle do fantastyki, a przynajmniej nie do tej, do której zostaliśmy przyzwyczajeni. To prawda – niewyjaśnione zjawiska często przypominają wiele motywów z literatury fantasy i horrorów, jednak problem tkwi w tym, że zazwyczaj ani czytelnicy, ani bohaterowie nie otrzymują jednoznacznej odpowiedzi czego doświadczyli, gdy niewyjaśnione mija. Jeśli nie zostaje konkretnie powiedziane:

„To skrzat wydzwaniał do mnie po nocach i szeptał niezrozumiałe słowa.” nadal pozostaje otwarta furtka domysłu, że dzwonił w rzeczywistości mleczarz o zaawansowanej wadzie wymowy. I taki właśnie jest realizm magiczny – żadna z zagadek nie zostaje do końca wyjaśniona, a interpretacja oddana jest w ręce czytelnika.

Ciekawe twory literackie kreślił także Anton Koolhaas, który skupił się raczej na przedstawianiu toku rozumowania zwierząt niż istot ludzkich. Pisał bajki, opowiadania, powieści, w których to właśnie miejska fauna odgrywała główną rolę. W genialny sposób przedstawił zwierzęta jako stworzenia myślące i odczuwające empatię w niemal ten sam sposób, co ludzie. Jak sam twierdził, na pomysł wpadł, obserwując myszy, które zagnieździły się w jego małym mieszkanku w Rotterdamie.

W drugiej połowie XX wieku, tak jak i u nas, zaczyna rozwijać się powieść futurystyczna, a najbardziej znanym jej przedstawicielem w Niderlandach jest Jan Cremer, którego *Ik Jan Cremer, czyli Ja Jan Cremer* doczekała się tłumaczeń na liczne języki. Formą przypominać miała autobiografię tytułowego Jana – mordercy, seksoholika, niedosłzłego artysty, społecznego buntownika. Jego zaplątany życiorys opisany w powieści niejednokrotnie spotkał się z ostrą krytyką, co nie zmienia faktu, iż książka niezmiennie jest w Holandii niezwykle popularna. Niestety wersja polska nadal nie powstała.

Niderlandczycy nie zapominają również o swej ukochanej grotesce i w tym duchu tworzy Heere Heeresma. Przykładem jego twórczości niech będzie powieść *Ryba*, a oto i jej opis zapożyczony od Morcińców: *Olbrzymia ryba, która jako tajemnicza siła wyższa zawisła nad miastem chaosu*

*i groteski, jest mimo swej niesamowitości upragnionym przez ludzi cudem, symbolem niezrozumiałych wyższych wartości, do których tęsknią.*

Podobnie absurdalną powieścią jest *Ranonkel of de geschiedenis van vereenzelving (Ranonkel, czyli historia identyfikacji)* Hamelinka, w której to roślina hodowana przez ogrodnika rozrasta się tak bardzo, że pochłania całe miasto, stając się wielkim drzewem, a sam zielona rączka zostaje bogiem Ranonklem, który na wzór Jezusa zbiera swych wyznawców i wysłał apostołów szerzyć dobrą nowinę o powstaniu drzewa. Hamelink w późniejszym okresie swojej twórczości skupia się na postaci Demiurga, który, nieczuły na ból i emocje, medytuje, stwarzając wszechświaty.

Obecnie największych niderlandzkich pisarzy fantastyki, których można w przyszłości oczekiwać także i na półkach polskich księgarń, szukać należy wśród zdobywców Nagrody Paula Harlanda (De Paul Harland Prijs), która aktualnie przyznawana jest w trzech kategoriach: najlepsze opowiadanie, najlepsza przetłumaczona książka oraz najlepsza książka niderlandzkójzyczna. Wszystko oczywiście z dziedziny tylko i wyłącznie fantastyki. Polskim miłośnikom świata czystej fikcji z pewnością przypomina ona Nagrodę im. Janusza A. Zajdla.

Jak widać, literatura niderlandzka może sprawiać problemy. Jest niewyraźna, problematyczna, miejscami dla Polaków nudna i niezrozumiała. Może właśnie dlatego jest jej u nas tak mało, a może to jedynie przez fakt, że Niderlandy są nam tak bardzo obce. Mimo wszystko warto, choćby sporadycznie, po te pozycje sięgnąć, gdyż niosą ze sobą niejedną prawdę i niejedno pytanie.

■ DAMIAN OLSZEWSKI

# Karaibska fantastyka

Autor: Karolina Fedyk

Wyobraźcie sobie następujący scenariusz: na nowej ziemi pojawia się grupa osadników. Choć przybyli na jednym statku, wywodzą się z wielu różnych narodów – i często nie mogą się ze sobą porozumieć. Zdarza się też, że byli zaciekłymi wrogami, i dopiero wyczerpująca podróż zmusiła ich do złożenia broni. Mało który spośród osadników znalazł się na statku z własnej woli; zostali schwytani i wybrani do tej niewdzięcznej, groźnej roli. Łąd, który odkrywają, ma opływać w bogactwa, ale jest przerażającą niewiadomą – krainą, która wkrótce spłynie krwią. Ci przybysze są tutaj obcy, to miejsce jest im nieprzyjazne, ale są też obcy sobie nawzajem. Są obcy wobec swoich porywaczy. Od początku wiedzą, że w tych surowych warunkach własne przetrwanie odbędzie się kosztem ich towarzyszy.

To, co może brzmieć jak fabuła powieści science fiction, jest zarysem historii regionu Karaibów.

Kto jest bardziej science fiction niż my? – pyta pochodzący z Dominikany Junot Diaz, odnosząc się do tygla kultur, zwyczajów i doświadczeń, jakim są Karaiby. I rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie, kto lepiej może zmierzyć się z obcością i kontaktem z nowym – zagadnieniami centralnymi dla fantastyki – niż potomkowie wyobcowanych

i wykorzenionych: niewolników.

Diaz, choć jest znany głównie ze względu na „głównonurtowe” teksty, zalicza siebie do miłośników science fiction i deklaruje, że pracuje nad powieścią z tego gatunku. Przed nim szlaki w karaibskiej fantastyce przetarli już inni. Od Trynidadu i Tobago po Bahamy, od realizmu magicznego po cyberpunk – karaibscy autorzy kreślą pejzaż równie różnorodny co miejsce, z którego się wywodzą.

Poniższy tekst jest próbą zaprezentowania tego bogactwa polskiemu czytelnikowi. Nie jest to jednak kompletny przegląd karaibskiej fantastyki; istnieje zapewne wielu pisarzy, do których tekstów nie udało mi się dotrzeć, i autorów skupionych wokół małych, lokalnych wydawnictw. Mam jednak nadzieję, że udało mi się nakreślić zarys literackiej mapy tego niezwykłego regionu.

## Nalo Hopkinson

Nalo Hopkinson urodziła się na Jamaice, w rodzinie blisko związanej z literaturą: jej matka była bibliotekarką, zaś ojciec – poetą i aktorem, jak również wykładowcą angielskiego i łaciny. Dzieciństwo spędziła wśród książek, nie dziwi więc, że pierwsze opowiadanie napisała w wieku około dziesięciu

lat – i wówczas, jak sama przyznaje, odkryła, że opowiadanie historii to jest to, co chce robić. Jej rodzina wspierała ją w tych wczesnych artystycznych dążeniach. „[Rodzice] nauczyli mnie miłości do tego, co się własnoręcznie stworzyło” – mówi. Mimo tej miłości, na powieściowy debiut autorki przyszło czekać ponad dwadzieścia lat od tego pierwszego opowiadania.

Hopkinson jest znana w polskim fandomie za sprawą swojego literackiego debiutu, *W kole stań, dziewczyno* (oryginalny tytuł: *Brown girl in the ring*). Powieść ta przynosi czytelnika do wyniszczonego kryzysem ekonomicznym Toronto, w którym co bardziej uprzywilejowani mieszkańcy miasta żyją w odległych, bezpiecznych enklawach, zaś w opustoszałym centrum panuje prawo pięści, narzucone przez tyrana Rudy'ego Sheldona. W tym dystopijnym świecie Ti-Jeanne, młoda kobieta wychowana przez babcię-zielarkę, próbuje zbudować bezpieczne życie dla siebie i swojego małego syna. Nie jest to łatwe zadanie, gdyż Ti-Jeanne podejmuje zwykle impulsywne, nietrafione decyzje życiowe, a w dodatku zaczyna się o nią upominać magia, którą dziewczyna całe życie wypierała. Bohaterka musi walczyć o siebie i swoją rodzinę, co będzie dla niej oznaczało nie tylko próbę odwagi, ale i konieczność akceptacji obecności duchów i magii w jej świecie.

*W kole stań, dziewczyno* otrzymało nagrodę Johna W. Campbella i Locus, a także odbiło się szerokim echem w mediach głównonurtowych. I choć to debiut, to wyznacza literackie zainteresowania Hopkinson: realizm magiczny i przeplatanie się folkloru z codziennością, intertekstualność (znancom teatru Ti-Jeanne zapewne skojarzy się z tytułowym bohaterem sztuki

*Ti-Jean and his brothers* noblisty Sir Dereka Walcott), problemy społeczne współczesnego świata, sytuacja kobiet. Bohaterki Hopkinson są dalekie od doskonałości; wikłają się w związki z agresywnymi lub samolubnymi ludźmi, dokonują moralnie wątpliwych wyborów, bywają zbyt dumne, by przyznać się do błędu. Hopkinson kreśli je z niesamowitą empatią i szacunkiem, przedstawiając je jako pełnowymiarowe, skomplikowane osoby i potrafi nadać im psychologiczną głębię, nawet jeśli pojawiają się na zaledwie kilku stronach opowiadania. Warto też dodać, że Hopkinson to pisarka, która nie boi się eksperymentów. W jej tekstach można znaleźć gry z chronologią, wplatanie w tekst slangu z Karaibów, zwodzenie czytelnika przewrotnie wykorzystanymi motywami. W połączeniu z barwnym, żywym językiem Hopkinson daje to książki, których lekturę trudno przerwać. Inspiracje afro-karaibskimi podaniami czynią te teksty wyjątkowymi i sprawiają, że czytelnik nieraz zostanie zaskoczony. Zapytana, co dla niej oznacza jej pochodzenie, Hopkinson wylicza: „to, gdzie się urodziłam, to, jak mówię, moje serce, jak i jedzenie, które lubię. To określa mój język i wrażliwość językową – chęć bawienia się z językiem i pomysłowość.” Literackie i podróżnicze doświadczenia Hopkinson zdecydowanie znajdują odzwierciedlenie w jej tekstach.

Hopkinson inspirowa także innych twórców – obecnie przygotowany jest film będący prequelem do *W kole stań, dziewczyno*. Reżyserka Sharon Lewis opisuje swój projekt jako pierwszy karaibsko-kanadyjski film sci-fi. Jego fabuła będzie opowiadać o życiu Ti-Jeanne przed wydarzeniami z powieści.

## Karen Lord

Życiorys Karen Lord sam w sobie przypomina powieść: ta pochodząca z Barbadosu pisarka pracowała jako nauczycielka fizyki, dyplomatką, żołnierką, badaczką. Obecnie zajmuje się pisaniem i konsultacjami akademickimi. Posiada doktorat z socjologii religii. Fascynacja nauką, życie w różnych krajach i badania nad religią spletają się w jej powieściach. Debiut Lord, *Redemption in indigo*, jest retellingiem senegalskiej opowieści o żarłocznym głupcu Ansige Karamba, który zostaje przykładnie ukarany. Lord nie kończy jednak historii wraz z morałem dla Ansige. Zamiast tego podejmuje wątek jego sprytnej żony, która ściągnęła na siebie uwagę bóstw i duchów. Paama, odąd posiadaczka potężnego artefaktu, odbywa niezwykłą podróż w towarzystwie bóstwa próbującego odkupić swoje winy. Lord opisuje te wydarzenia z subtelnym humorem, budując historię, która wciąż przypomina przekazywane w tradycji ustnej legendy, a jednocześnie jest zaskakująco świeża i współczesna. *Redemption in indigo* przyniosło Lord prestiżową nagrodę Mythopoeic, której laureatami są także między innymi Neil Gaiman i Catherynne M. Valente.

Późniejsze książki Lord zachowują jej wnikliwie, choć łagodne spojrzenie, ale przenoszą czytelnika w daleki kosmos – *The best of all possible worlds* i kontynuacja, *Galaxy game*, zaliczają się do nurtu social science fiction. W obu powieściach czytelnik śledzi konfrontacje ludzi należących do różnych kultur, w których wyewoluowały różne szczególnie zdolności parapsychiczne. Lord wykorzystuje ten barwny pejzaż, by zadawać pytania o naturę kontaktów międzyludzkich. Stworzone przez nią światy stanowią ukłon

w stronę starego science fiction; *The best of all possible worlds* zaczyna się sceną, w której czytelnik śledzi przedstawiciela kultury telepatów, odpoczywającego w swojej medytacyjnej samotni, i łądujący na jego oczach myślostatek. W następnej scenie ten sam bohater mierzy się z nieznaną mu planetą i mnogością jej społeczeństw – podczas gdy towarzysząca mu przedstawicielka lokalnego urzędu musi pogodzić ze sobą zawodowe obowiązki i współpracę z osobami, które myślą w zupełnie inny sposób niż ona sama. W konstrukcji tej historii widać jeszcze echo opowieści o Paamie, drugi tom jest jednak zupełnie inny. Czytelnik śledzi w nim losy Rafiego, pojawiającego się jako dziecko w *The best of all possible worlds*, który trafia pod skrzydła prestiżowej placówki edukacyjnej. Akademicka kariera Rafiego nie trwa jednak zbyt długo. Na pierwszy plan wysuwa się za to stworzony z myślą o psionikach sport drużynowy, który nie tylko ćwiczy ich zdolności i zapewnia widzom niebagatelne emocje – ale jest też metaforą czegoś dużo większego, co zdaje się młodego bohatera przerastać.

## Tobias S. Buckell

Nominowany do Nebuli Tobias S. Buckell opisuje siebie jako pisarza science fiction i futurystę. Urodzony w Grenadzie, obecnie mieszka w Ohio i jest blisko związany z amerykańskim fandomem. Sam będący absolwentem prestiżowych warsztatów literackich Clarion, uczył pisania w ramach tej i wielu podobnych inicjatyw. Uznanie przyniosła mu seria książek osadzonych na planecie Nanagada, której mieszkańcy odcięci są od ojczystej ziemi i uwikłani w konflikt z potężną rasą, niebezpiecznie podobną do krwiożerczych azteckich bóstw.

Choć to odrębne powieści, czytelnicy znajdą w nich powracające motywy i postaci. Sam Buckell określa swój debiut *Crystal rain* jako karaibski steampunk. Biorąc pod uwagę fakt, że steampunkowa, romantyczna wizja epoki wiktoriańskiej skupia się na angielskich dżentelmenach, nie na wyzyskiwanych przez nich mieszkańcach kolonii, ten opis wzbudził w fandomie pewien opór. Buckell oddziela jednak steampunk od rzeczywistej epoki wiktoriańskiej. O ile ta ostatnia dla wielu symbolizuje bezlitosny wyzysk, o tyle steampunkowa estetyka opiera się na etyce własnoręcznej twórczości, innowacji i ciekawości wobec świata.

Druga powieść Buckella, *Ragamuffin*, jest dynamiczną space operą, która poza wartką akcją oferuje rozważania na temat kolonializmu. Stawiając dotychczasowych zdobywców w roli pokonanych, Buckell zadaje pytania o wybaczenie i odpowiedzialność historyczną. To właśnie *Ragamuffin* przyniosło mu nominację do Nebuli – choć krytycy wytknęli mu, że dylematy moralne, które postawił przed postaciami, zostały potraktowane pobieżnie. Zdaje się jednak, że mimo zainteresowania problematyką kolonializmu, walki z opresją i tworzenia się kreolskich kultur, Buckell celuje w pisanie powieści przede wszystkim stanowiących źródło rozrywki. Bohater jego najnowszej książki, technothrillera *Hurricane Fever*, jest opisywany jako „anty-James Bond dla nowego pokolenia”.

## Nowe światy, dawne zwyczaje

Antologia *New Worlds, Old Ways* to w dużej mierze owoc warsztatów literackich zorganizowanych podczas Bocas Lit Fest. Zbiór ten

skupia się na tekstach debiutantów i młodych autorów. Jak przyznaje redaktorka antologii, Karen Lord, znalezienie i wybór tekstów nie były łatwe. Bogactwo fantastyki karaibskiej często ukrywa się w małych wydawnictwach, publikacjach o lokalnym zasięgu czy akademickich pismach z zakresu literaturoznawstwa. Mimo to Lord udało się stworzyć niezwykle barwną i oryginalną kolekcję tekstów, które są uniwersalne i ponadczasowe – a jednak nie ma wątpliwości, na gruncie jakich kultur powstały.

Zbiór otwiera opowiadanie *Once in a Blood Moon* autorstwa Tammi Browne-Bannister, poruszające zagadnienia ekologii i zagłady gatunków. Tekst ten zaskakuje łagodną, baśniową narracją i zmusza czytelnika do przemyślenia relacji między ludźmi a przyrodą. U Browne-Bannister świat ludzki i zwierzęcy łączą się i mieszają; jej bohaterka żyje na granicy między nimi. Opowiadanie, choć nie w pełni zaskakuje, urzeka eleganckim językiem.

Zupełnie innym tekstem jest *A New Life in a New Time* Portii Subran. Oto śledzimy losy pracownika korporacji, którego zadaniem jest zachęcać klientów do krótko- lub długoterminowej kriostazy. Jego wewnętrzny spokój zostaje zburzony, gdy marketingowiec dowiaduje się, że sam zostanie poddany kriostazie, rzekomo w celu łagodzenia konfliktów w pracy. Subran bierze pod lupę nie tylko korporacyjny styl życia, ale też potrzebę odnajdywania łatwych rozwiązań i eskapizmu. Z kolei Brandon O'Brien w *falle-nangel.dll* sięga po cyberpunkową estetykę, by zmierzyć się z zagadnieniami przemocy ze strony policji i nadużycia władzy – jego dynamiczna, szarpana narracja podąża za trójką ludzi, w rękach których znalazł się policyjny bot.

*The Ceremony* Elizabeth J. Jones opowiada historię rodziny, która – by zachować posiadłość – musi odnawiać sekretny pakt. Maggie, dziedziczka domu, chce go za wszelką cenę uniknąć; a mimo to dąży ku niemu, gdyż taki los, choć okrutny, jest przynajmniej znajomy. Określiłabym ten tekst jako traktujący przede wszystkim o starzeniu się i nieuchronnym upływie czasu, a także o próbach zatrzymania go i poświęceniu.

Starość, starzenie się, degradacja pamięci to częste wątki w tym zbiorze, poruszane często bardzo dosłownie: w *Daddy* Damiona Wilsona tytułowy ojciec, u którego rozpoznano chorobę Alzheimera, posługuje się różnorodnymi metodami, by ocalić rzeczywistość, którą zapamiętał ze wcześniejszych lat. Główna bohaterka *Cascadura* H.K. Williams stanowi zagadkę medyczną: nie starzeje się, a jej ciało świetnie się regeneruje. Ona sama widzi w tym jednak nie obietnicę dla medycyny i medialną ciekawostkę, a przekleństwo pamiętania świata, który dawno temu uległ katastrofie. Podobne tony pobrzmiwają też w *Past Imperfect* Ararimeh Aiyejina, moim ulubionym opowiadaniu w antologii: zmęczona życiem lekarka spotyka schorowanego człowieka obdarzonego eidetyczną pamięcią. Oboje – ona dzięki swej wiedzy, on dzięki niechcianemu talentowi – zachowali obrazy świata, który przeminął. W postapokaliptycznym pejzażu między tą pozbawioną złudzeń dwójką nawiązuje się nic porozumienia.

Te teksty nie wyczerpują jednak bogactwa zbioru. Można w nim znaleźć także realizm magiczny (*The Passing Over of Zephora* Summer Edward); opowiadania inspirowane karaibskimi wierzeniami, teksty o przemocy

domowej i nierównościach społecznych (*Maiden of the Mud* Kevina Jareda Hosein i *Water Under the Bridge* Richarda B. Lyncha), retelling opowieści o automatyzmach i sztucznych ludziach (*Quaka-Hadja* Briana Franklina). Autorzy nie tylko czerpią pełnymi garściami z bogactwa tradycji fantastyki, ale i śmiało eksperymentują z językiem. Można znaleźć i teksty o powolnej, niemal XIX-wiecznej narracji, i slang.

We wprowadzeniu Karen Lord stwierdza, że opowiadania w antologii łączy motyw domu i rodziny jako rzeczy kruchych, wymagających ochrony. I tak jest w istocie – ale, jak mówi Lord, „nasza literatura deklaruje, że mimo klęsk, nasze narody i to miejsce nie zostaną całkowicie zniszczone”. Bohaterowie opowiadań w *New Worlds, Old Ways* mierzą się z przeciwnościami losu, stratą, nienawiścią; ich życie przypomina nieustanną walkę i konieczność ochrony tego, co uważają za najcenniejsze. Miejsca i osoby, które powinny być ostoją, stają się słabymi punktami, których należy bronić. Mimo to lektura tej antologii daje nadzieję. „Te nowe opowieści pokazują, że nasze horyzonty są szersze niż nasze granice, a nasza literatura jest nie tylko rozrywką – ale ma zdolność odmieniania nas” – pisze Lord. I dodaje: „czekam na przyszłe prace autorstwa tych pisarzy i na świat, jaki zainspirują swoją twórczością”.

Warto na to czekać. Jeśli bowiem można sprowadzić literaturę danego miejsca do jednego wspólnego mianownika, dla karaibskich fantastów będzie nim odwaga, by mierzyć się z trudnymi zagadnieniami, i otwierać na nie oczy czytelnikom.

■ KAROLINA FEDYK

# Czerwona fantastyka,

czyli fantastyka doby socrealizmu

Autor: Piotr Górski

### ***Pomaluj mój kosmos na czerwono.***

#### **1.**

**B**iblia tłumaczy wszystko zrozumiale. Ludzie zostali stworzeni przez Boga, który przeznaczył im planetę Ziemię na kraj wiecznej szczęśliwości i radosnego bytowania w zgodzie z Jego przykazaniami. Jednak niektórzy ludzie sprzeniewierzyli się prawu, ściągając na siebie Boży gniew. Gniewny Bóg pokarał ich, otwierając bramy piekielne, z których wypęły czerwone diabły. Ludzie stracili nieśmiertelność, a ich skóra stała się czarna. Jednak Bóg nie chciał zagłady ludzkości. Dlatego wybrał 60 sprawiedliwych i dał im znak, by zbudowali Celestię. I sprawiedliwi budowali Celestię przez 15 lat, wspomagani przez dobre duchy kosmosu. Aż przyszedł dzień exodusu, kiedy Boży wysłannik Torch odwrócił uwagę czerwonych diabłów, pozwalając sprawiedliwym na ucieczkę. Im i ich potomkom dobry Bóg przeznaczył nową ziemię obiecaną – planetę Juwentę, towarzyszkę Gwiazdy Dobrej Nadziei. I choć Torch zginął, odrodzi się na nowo, gdy Celestia dotrze do celu swej podróży. Wówczas też ludzie odzyskają

łączność z Bogiem, którą utracili, co było karą za grzechy sprawiedliwych. Wreszcie Biblia stwierdza, że Celestia wyruszyła do Gwiazdy Dobrej Nadziei 2406 lat temu i od tej chwili liczymy lata...

W tak przedstawioną wizję rzeczywistości wierzą bohaterowie *Zagubionej przyszłości* Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki, klasycznej polskiej powieści SF wydanej po raz pierwszy w 1953 roku. Rzecz jasna słowa celestiańskiej Biblii mają z prawdą tyle wspólnego, że fałszują ją w imię utrzymania politycznego i społecznego status quo. W rzeczywistości Celestia nie jest kosmiczną Arką, ale dawnym satelitarnym centrum dowodzenia US Army, a 60 sprawiedliwych było nie Bożymi wybrańcami, lecz elitą amerykańskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego. Ponadto – ratowali się nie przed czerwonymi diabłami, a przed czerwoną rewolucją, która (w świecie powieści) na początku XXI wieku ostatecznie obala kapitalistyczny system przemocy i wyzysku. Nie było też żadnych wieloletnich przygotowań. Panowie z nadwagą i cygarami w zębach liczyli, że w przeciągu kilku miesięcy rewolucja się załame, co pozwoli im na tryumfalny powrót na Ziemię albo chociaż pertraktacje. Kiedy nowy porządek okazuje się trwały, zapada

desperacka decyzja o ucieczce w kierunku systemu Alfya Centaura.

*Zagubiona przyszłość* należy – obok *Astronautów* i *Obłoku Magellana* Stanisława Lema – do czołowych osiągnięć polskiej SF lat 50. Ich odpowiednikami w literaturze radzieckiej są *Mgławica Andromedy* Iwana Jefremowa oraz wczesne utwory braci Strugackich. Wszystkie one stanowią ważną cezurę oddzielającą literaturę przedwojenną od uprawianej po dziś nowoczesnej fikcji spekulatywnej. Z drugiej strony, każda z tych ważnych książek z lat 50. jest obciążona skazą, przez wielu uważaną za przekreślającą ich artystyczną wartość. Wszystkie są napisane w poetyce realizmu socjalistycznego.

## 2.

W ZSRR realizm socjalistyczny (w wygodnym skrócie – socrealizm) zadekretowano odgórnie w 1934. Od tego momentu wszystkie gałęzie sztuki – od architektury i rzeźby, przez malarstwo i muzykę po sztukę narracyjną

– podporządkowano jednemu stylowi, jednej poetyce i jednej metodzie twórczej. Artystom awangardowym zakazano uprawiania dotychczasowej twórczości bądź zmuszano ich do emigracji. W literaturze założenia socrealizmu opisywała praca Józefa Stalina *O polityce partii w dziedzinie literatury pięknej*.

W Polsce za początek socrealizmu uznaje się rok 1949, kiedy po sfałszowaniu referendum i wyborów parlamentarnych, po fizycznej likwidacji jawnej opozycji oraz zdławieniu oporu zbrojnego resztek polskiego państwa podziemnego, komunistyczna władza zdecydowała się zaostriżyć politykę kulturalną.

Co oznaczał socrealizm w literaturze? Przede wszystkim zrywał z „udziwnioną” literaturą awangardową, a jego docelowym czytelnikiem nie miał być wykształcony krytyk czy koneser, ale lud. W praktyce oznaczało to powrót do wzorów literatury realistycznej XIX wieku. Ponieważ celem społeczeństwa socjalistycznego było



wychowanie nowego obywatela, olbrzymi nacisk położono na dydaktyzm. Wreszcie w warstwie fabularnej literatura ta opisywać miała starcie wstecznicstwa z progresywiźmem, które zwyciężał Nowy Świat.

Autorzy socrealistyczni uprawiali prozę historyczną (zawsze sprowadzając przeszłe wydarzenia do wspólnego marksistowsko-leninowskiego mianownika, więc Iwan Groźny stawał się postacią postępującą, a Spartakus – wodzem proletariatu), hagiografie bohaterów rewolucji (tu sięgając po wzorce z literatury romantycznej) czy wreszcie tzw. literaturę produkcyjną.

Czym była literatura produkcyjna? Opiewała socjalistyczną przebudowę kraju. Miejscem akcji powieści produkcyjnej był przeważnie plac budowy jakiegoś potężnego kombinatu przemysłowego albo wzorcowego socjalistycznego miasta. Bohaterem zbiorowym był pracujący na budowie kolektyw robotniczy. Ludzie prości, pracowici, nieczuli na trudne warunki i z wzorcowym światopoglądem socjalistycznym. Ich antagonistą był wróg ustroju – relikw dawnej klasy posiadaczy, agent obcego wywiadu czy sabotażysta. Jego motywacje były podle a zamiary spełzały na niczym. Powieść produkcyjna stanowi ogniwo łączące socrealizm z fantastyką naukową.

Stosunek komunizmu do fikcji spekulatywnej był skomplikowany. Z pewnością każdego człowieka o mentalności socjalistycznej powinny być zrazić krzykliwe, kolorowe okładki pulpowych pism w rodzaju „Amazing Stories” czy „Fantasy & Science Fiction”. Nie do zaakceptowania był również sam system, w którym egzystowała SF, polegający na przemysłowej eksploatacji setek słabo zarabiających pisarzy. Z drugiej strony, science fiction z ortodoksyjnym

marksizmem-leninizmem sporo łączy: materialistyczny światopogląd, wiara w postęp naukowo-techniczny oraz optymizm. Nic dziwnego więc, że nawet przegrodzenie fantastyki żelazną kurtyną (przed 1939 w Polsce znano i ceniono H.G. Wellsa, wydano nowelizację przygód Flasha Gordona, a nawet pojedyncze przygody Supermana) i zakucie twórców w ideologiczne kajdany nie przeszkodziło w samodzielnym wymyśleniu nowoczesnej fantastyki naukowej. Byleby opisywać nowe wynalazki i konsekwencje ich użycia, przestrzegając przed bombą atomową i militarystycznym czy pytając o perspektywy kontaktu z Obcymi, pamiętali, że morał tych opowieści jest z góry ustalony.

### 3.

*Zagubiona przyszłość*, od której zacząłem niniejszy szkic, jest w dużej mierze komunistyczną satyrą na amerykański kapitalizm lat 50. – czy raczej satyrą na pewną wizję, która docierała do nas przez krzywe zwierciadło propagandy. Cztery wieki po szalonej ucieczce wewnątrz sztucznego świata kryje skarłłą wersję Stanów Zjednoczonych. Władzę sprawuje tu prezydent, a o tym, kto nim zostanie, decyduje wypadkowa sił pomiędzy producentami żywności a przemysłem. Języczek uwagi decydujący o przechyleniu szali na stronę któregoś ze stronnictw stanowią media. Wszystkie trzy frakcje są, rzecz jasna, monopolami w rękach wysokich rodów zwanych „sprawiedliwcami”. Większość społeczeństwa stanowią pozbawieni wpływu na politykę Szarzy oraz pozbawieni praw człowieka, będący niewolnikami Czarni. Kobiety również nie mają praw, gdyż (jak naucza Biblia) Bóg uwolnił je od troski o wielkie sprawy, przeznaczając do opieki nad domowym ogniskiem.

Władcy Celestii umacniają swoje wpływy, gromadzą bogactwa i używają życia (jednym z luksusów jest basen, na który wstęp mają tylko wybrani). Biedni Szarzy ciężko pracują, stale bojąc się o swoje jutro. Bezrobocie jest powszechne, a pozbawiani środków do życia nie mają praktycznie żadnych szans na odbicie się od dna. Wreszcie wielkim problemem sztucznego świata jest stały ubytek cennych pierwiastków. Najbardziej doskwiera brak jodu, który władza w całej swej perfidii uczyniła środkiem płatniczym. Całe stopy jodowych dolarów (doliodów) leżą w sejfach bogaczy, kiedy biedni stoją przed wyborem, czy mieć zdrową tarczę, czy umrzeć z głodu. Średnia wieku w tym społeczeństwie wynosi niewiele ponad sześćdziesiąt lat i stale spada.

Tak właśnie przedstawiała USA socjalistyczna propaganda lat 40. i 50. Jako państwo policyjne rządzone przez trusty, kartele i soldateskę. Kraj dobrobytu, w którym miliony ludzi żyją w nędzy, a nie-białych obywateli czeka jedynie stryczek nałożony rękami faszystów.

Taki stan nie może oczywiście trwać wiecznie. Marksizm-leninizm narzucał na historię ścisłe reguły, zgodnie z którymi u końca kapitalizmu musi się pojawić i zatryumfować komunizm. Nie inaczej jest u Borunia i Trepki. Już w pierwszych rozdziałach zasygnalizowane jest istnienie „nieugiętych”: zakonspirowanej samoobrony Szarych. Jednak impulsem do przemiany oporu w rewolucję jest pojawienie się w pobliżu Celestii statku z Ziemi.

Jeszcze inaczej sprawę przedstawił nieco późniejszy, ale bardzo komunizujący autor, Bohdan Petecki. Jego *W połowie drogi* jest miłą w lekturze, przygodową powieścią o eksploracji Marsa i odkryciu śladów

Obcych, nas jednak zainteresuje poboczny wątek, w którym bohaterowie wspominają tzw. bunt cybernetyków. Tak, w tej w wizji inicjatorami rewolucji są naukowcy. W memoriale zaadresowanym do całego świata stwierdzają, że nie mogą współpracować z rządami, które przedkładają własne interesy ponad dobro ludzkości, a zwłaszcza ponad postulowane przez naukę zmiany w życiu społecznym i gospodarczym. W dwudziestym pierwszym wieku żadne nowoczesne państwo nie może funkcjonować bez wykwalifikowanych kadr specjalistów (spadkobierców dawnej klasy robotniczej, jaki pisze Petecki), zatem takie globalne wypowiedzenie posłuszeństwa prowadzi do wielkich niepokojów. Decyzję cybernetyków wnet popierają państwa socjalistyczne, zaś konserwatywne koła przemysłowo-militarne (zwłaszcza te z Ameryki Północnej) próbują zbrojnie przywrócić stary porządek. Lokalne konflikty trwają wiele lat, ale gdy dobiegają końca, ludzkość wkracza na zupełnie nową ścieżkę rozwoju.

To wiedzie nas w prostej linii do rzeczy jeszcze ciekawszej od socrealistycznego opisu fantastycznego kapitalizmu przyszłości, czyli socrealistycznej utopii.

#### 4.

Starsi fani, gdy ich o to pytam, zawsze opowiadają, że pierwszy rozdział starych polskich i radzieckich powieści SF to był nudny opis komunistycznego raj, który wszyscy pomijali, spragnieni kosmicznych przygód dzielnych badaczy Wszechświata. Z kolei dla czytelnika współczesnego, który ma szeroki wybór literatury, od space opery po cyberpunka, właśnie te pogardzane przez stare pokolenie fragmenty stanowią zachętę do czytania. Takie bowiem szczerze

i bezkompromisowe aż do naiwności wizje trudno znaleźć gdziekolwiek indziej.

Na przykład kwestia klimatu. W dobie przerażenia globalnym ociepleniem szokować może fakt, że roztopienie lodowców było wręcz obsesją autorów z lat 50. *Astronauta* Lema rozpoczynają się sceną budowy termonuklearnego grzejnika w syberyjskiej tajdze. Nieco wcześniej (jest rok 2004 i choć od upadku ostatnich krajów kapitalistycznych minęło wiele lat, to wciąż utrzymywany jest podział na państwa i narody) skończył się projekt zalania Sahary wodami Atlantyku. Z kolei w jego następnej powieści, *Obłoku Magellana*, Grenlandia to tropikalny raj porośnięty gajami pomarańczowymi. Podobną drogą poszli Boruń i Trepka w trzecim tomie trylogii rozpoczętej *Zagubioną przyszłością – Kosmicznych braciach*. Różnica polega tylko na tym, że u nich wiecznie zielonym lądem zamieszkanym przez miliony ludzi jest Antarktyda. Globalnej antropogennej zmianie klimatu towarzyszy globalna kontrola pogody. Kolejność pór roku, letnie burze, morska bryza czy chłodne wieczory przydarzają się zgodnie z harmonogramem. W ośrodkach wycieczkowych panuje wieczne lato bądź wieczna zima, a naturalną, zmienną pogodę można spotkać tylko w rezerwatach przyrody.

Nie jest to wszystko jakąś fantazją wziętą znikąd. Jednym z największych projektów geoinżynieryjnych, jakie planował ZSRR, było odwrócenie biegu syberyjskich rzek i skierowanie ich ku stepom i pustyniom środkowej Azji, by nawodniły plantacje bawełny i rozlały się w wielkie, wewnętrzne morze, zamiast marnować się bezproduktywnie za kołem podbiegunowym. Zwycięstwo komunizmu miało polegać również na opanowaniu przyrody. Natura

przecież jest nie mniej okrutna, pełna nierówności i wyzysku, co kapitalizm. Inżynieryjnie modyfikowana jest również biologia. Znikają chorobotwórcze bakterie, drapieżniki tracą instynkt i potrzebę jedzenia mięsa.

Kto tym wszystkim rządzi? W państwach totalitarnych pytania o władzę zawsze były niebezpieczne. Pisarze zadowalali się więc kilkoma zdaniem o jakiejś globalnej radzie naukowej. Petecki wie w *Połowie drogi* zaryzykował opis czegoś na kształt demokracji bezpośredniej. Każdy pełnoletni obywatel świata ma w mieszkaniu terminal, pozwalający na udział w globalnej debacie nad jakimś palącym problemem. Niezależnie jednak od szczegółów technicznych, w komunistycznej utopii znikają takie pojęcia jak parlament czy wybory. Nie ma partii, gdyż partia stała się jednością ze społeczeństwem. Nie ma też już polityki, gdyż proces sprawowania władzy staje się ściśle naukowy.

Równie ciekawie, co organizacja utopijnego społeczeństwa, wygląda jego kultura. Wspominałem już, że w komunizmie spoglądano niechętnie na zachodnią popkulturę. Toteż postulowana przez socrealistyczną SF sztuka jest odmienna. Dostojna i posągowa. W *Ludziach jak bogach* Siergiej Sniegow serwuje opis symfonii odbieranej wszystkimi zmysłami: muzyce towarzyszą efekty świetlne, zapachy, a nawet sterowane zjawiska pogodowe. Z kolei wielki Iwan Jefremow sugeruje w *Mgławicy Andromedy* zanik sztuki narracyjnej. Za każdą opowieścią stoi bowiem jakiś konflikt bądź dramatyczne wydarzenia, a tych rzeczy nie ma w idealnym społeczeństwie jutra. Miejsce literatury, teatru i filmu zajmują taniec, muzyka i gimnastyka artystyczna. Jedyłą małą furtką dla opowieści pozostaje

eksploracja kosmosu – astronauta wśród gwiazd wciąż muszą mierzyć się z problemami, a raporty z ich lotów są słuchane niczym sagi o bohaterach.

Jak żyje przeciętny człowiek w komunistycznym raju? Jest zdrowy i wysportowany. Nie zajmuje się żadną uciążliwą pracą, gdyż nastąpiła pełna automatyzacja. Jeśli ktoś rąbie drzewo albo kopie rów melioracyjny, to w ramach rozrywki, a do tego typu atrakcji tworzą się długie kolejki. Wszyscy są naukowcami, artystami bądź nauczycielami. Wszystkie te zajęcia uważa się nie tyle za obowiązek, co za przywilej.

Częściowemu zanikowi uległa rodzina – dzieci są wychowywane przez całe społeczeństwo, nie dziedziczy się nazwisk (bądź dziedziczy nazwisko rodzica tej samej płci – takie rozwiązanie zaproponowali Boruń i Trepka). Kwestie orientacji seksualnej czy tożsamości płciowej były pomijane – głównie gdyż była to literatura targetowana na młodszych nastolatków, a po części dlatego, że nauka radziecka stała na stanowisku, iż niejasności w tych kwestiach to efekt choroby bądź wynik moralnej degrengolady późnego kapitalizmu. Wyjątkowa na tym tle jest sytuacja narratora *Galaktycznego zwiadu* Sniegowa, który po nieszczęśliwym zdarzeniu w wężozształtnej przybylszczyźnie z Węgi otrzymuje takie oto słowa pocieszenia: "Miłość – przedłużenie gatunku, tak. Tak się zaczynało. Będzie inaczej. Miłość – wspólnota dusz. Wyższe stadium". Poza takimi nielicznymi przypadkami w świecie komunistycznej SF panują niepodzielnie heteroseksualizm i monogamia, a w *Mgławicy Andromedy* wokół jednego i drugiego powstają rytuały społeczne – na przykład każdy dorastający młody człowiek z chwilą osiągnięcia pełnoletniości musi

wykonać 12 wyzwań, zwanych na cześć mistycznego herosa *pracami Herkulesa*.

Nie ma przestępczości. Nie oznacza to jednak całkowitego zaniku zła. Czasem w człowieku weźmie górę egoistyczna, jeszcze nie wyrugowana strona osobowości. Jefremow proponuje wysłać takich osobników na tropikalną wyspę, gdzie odbywałyby się resocjalizacja poprzez pracę. Petecki (w powieści *Strefy zerowe*) opisał specjalny korpus bezpieczeństwa złożony z osobników hardych i buntowniczych, którzy mogą w ten sposób spożytkować swoje trudne charaktery w służbie obrony Ziemi przed zewnętrznymi zagrożeniami. Z kolei Sniegow uważał, że najlepszym lekiem na problemy wychowawcze jest podróż w kosmos. Ciężka praca wykształci prawidłowy charakter, a kontakt z obcością nawróci nawet największego wsteczniaka i szowinistę.

Zawsze to lepsze od zesłania na Syberię.

## 5.

Socrealizm zakończył się w 1956 dokładnie tak, jak został powołany do życia – polityczną decyzją. Kresu dobiegł stalinizm i nowe władze krajów bloku wschodniego nie widziały potrzeby aż takiej kontroli artystów. Nie oznaczało to prawdziwej wolności, ale i tak było wielką ulgą w porównaniu z wcześniejszymi czasami.

Lem mógł nareszcie porzucić radosny optymizm i zacząć dawać wyraz swojej niewierze w naprawę człowieka. Wolny od ograniczeń napisał swoje najlepsze książki. Boruń z Trepką wielokrotnie poprawiali kolejne wydania kosmicznej trylogii, nie usuwając jej komunistycznego rdzenia, ale łagodząc co ostrzejsze fragmenty (np. celestiańskiemu Bogu zmieniono imię na

neutralnego Pana Kosmosu). W Związku Radzieckim odwilż przyjęto za dowód, że komunizm można zreformować i jeszcze przez kilka lat bracia Strugaccy nie byli pisarzami opozycyjnymi. Potem jednak przyszło rozczarowanie i w całym bloku wschodnim każdy prawie autor (jednym z wyjątków był lewicowiec Petecki) stał się zakamufLOWANYM opozycjonistą.

Czy więc czerwona fantastyka jest jedynie epizodem i ciekawostką?

Funkcjonująca w zupełnie innych warunkach fantastyka zachodnia nieraz wpadała na podobne tropy, co jej wschodnia siostra. Cała *Fundacja* Isaaca Asimova jest wyrazem wiary w postęp i ścisłe prawa rządzące rozwojem społeczeństw. Arthur C. Clarke napisał w *Fontannach raj* własną wersję powieści produkcyjnej – od komunistycznej różniące się tylko udziałem prywatnego kapitału w budowie kosmicznej windy. Cała reszta, od wykonania po cel, jest ludzko podobna.

Wreszcie znów wraca do fantastyki pragnienie utopii. Powstała cała antologia *Shine* poświęcona optymistycznej fantastyce, a Neal Stephenson w *Seveneres* reaktywuje stare marzenia ludzkości o wyciągnięciu ręki do nieba.

Warto wspomnieć o ruchu solarpunkowym, który nie ma jeszcze wielkich

osiągnięć, ale na pewno ma wielkie ambicje. Solarpunk to próba pisania nowoczesnej, optymistycznej fantastyki w kontrze do cyberpunku czy modnych ostatnio dystopii oraz postapokalipsy. Solarpunk odrzuca również techniczny raj oferowany przez transhumanizm i wyznawców Osobliwości, mając go za byt odległy, stworzony do generowania nowych nierówności, zamiast likwidacji starych. Inspiruje się punkową ideologią DIY, ekologią, feminizmem, ekonomią zrównoważonego rozwoju i klasykami literatury takimi jak Ursula K. Le Guin, Iain Banks czy Octavia Butler.

Aż chce się sprawdzić, jak Neal Stephenson, solarpunkowcy czy autorzy z antologii *Shine* wypadliby w konfrontacji z zapomnianą, wschodnioeuropejską SF sprzed pięćdziesięciu-sześćdziesięciu lat. Lepiej? Gorzej? A może byłoby to spotkanie dwóch odmiennych cywilizacji, niby wyrastających z tego samego korzenia i mających wspólny cel, lecz całkowicie różnych? Na pewno inicjatywy w rodzaju angielskojęzycznego wydania „Smokopolitana” zbliżają nas do znalezienia odpowiedzi na powyższe pytania.

■ PIOTR GÓRSKI  
holwitz@gmail.com

# Paradoks Bliźniąt

Autor: Magdalena Kucenty

Ilustrator: Magdalena Kucenty

Za tamten wypadek Gemma próbowała zrzucić winę na Inni. Siostra była idealnym kozłem ofiarnym. Spała jak kamień, trwając w błogiej nieświadomości, gdy pod łóżkiem umierał ich brat.

To był głupi odruch – wepchnąć go tam, żeby zmienił się w coś mniej realnego, w sennego potwora. Gemma zwyczajnie spanikowała. Miała wówczas cztery lata i naprawdę wierzyła, że jeśli położy się i zamknie oczy, to chłopiec po prostu zniknie.

Niestety, nie zniknął. Na domiar złego dostał jeszcze drgawek. Jego drobne ciało sprzeciwiało się rozkazom zakłętego umysłu. Niezdolny do krzyku, tłukł głową o spód łóżka i uderzał chudymi rękami o podłogę. Jedno łupnięcie, drugie, trzecie...

Słuchając odgłosów tej nierównej walki, Gemma nabierała pewności, że Inni się zaraz obudzi. Ale bliźniaczka ani drgnęła. Tymczasem ona zaciskała mocno powieki, powstrzymując napływające do oczu łzy. Powtarzała sobie, że nic z tego nie dzieje się naprawdę. To tylko sen, zwykły koszmar, obie śpią, a pod łóżkiem nikogo nie ma.

Chłopiec tracił siły. Łomotanie wyraźnie słabło, by na koniec przejść w serię nierównych, mokrych uderzeń. Ostatni dźwięk umarł wraz z braciszkiem, a w pokoju zaległa ciężka, świdrująca uszy cisza.

Gemma otworzyła oczy.

Instynktownie wiedziała, co należało

zrobić. Szybko zerwała się z łóżka, ani myśląc zajrzeć pod spód. Sięgnęła tam na oślep, macając dłonią po chłodnej podłodze, aż natknęła się na coś śliskiego i ciepłego. Żołądek natychmiast podszedł jej do gardła, oczy znowu zaszkliły się od łez.

Zmusiwszy się do przełknięcia śliny, zatopiła palce w mokrych włosach chłopca. Nie spojrzała nawet na wilgotną, drżącą rękę, tylko od razu dotknęła nią uśpionej Inni.

Wiśniowe krople krzepły na policzku siostry i zasychały pod jasnymi paznokciami. W tym czasie Gemma pobiegła do łazienki i stając na palcach, odkręciła kran w umywalce. Wciąż starała się nie patrzeć na ubrudzone dłonie, podstawivszy prawą pod strumień wody. Unikała również odbicia jej nic innego niż wpatrywanie się w ziemię.

Na nieskazitelnie białych kafelkach widniały dwie maleńkie plamy. Były czerwone jak oczy diabła. Takiego, które w kreskówce pojawiało się nad głową głównego bohatera, aby wyklócać się z aniołem.

Gemma nie mogła sobie przypomnieć, skąd kojarzyła tę scenę. Pamiętała tylko, po której stronie zawsze się opowiadała. W przeciwieństwie do Inni nie zapalała wielką miłością do białoskrzydłych stróżów. Z kolei słowa rogatego, czerwonoookiego stworzenia wywoływały u niej szczery

uśmiech.

Jako czterolatka nie rozumiała jeszcze, co reprezentował sobą diabeł i czym właściwie było zło. Wiedziała tylko, że tamtego dnia zrobiła coś bardzo niedobrego. Że zepsuła Virgo.

Ale przecież ojciec potrafił naprawić wszystko.

Virgo też. Na pewno.

\*\*\*

Inni zbudziła się z naciągniętą na głowę kołdrą i brzuchem pełnym strachu. Z jakiegoś powodu była przekonana, że stało się coś okropnego.

W pierwszym odruchu zawołała siostrę, ale Gemma nie odpowiadała. Jakby obraziła się na nią bez przyczyny. Bo że tylko udawała śpiącą, było dla niej oczywiste. Inni zawsze umiała powiedzieć, co działo się z siostrą, a w tamtym momencie ciężar milczenia Gemmy napelniał ją czystą trwogą.

Nie mogąc znieść przytłaczającej ciszy, wyplątała się z pościeli i krzyknęła piskliwym głosem, tym razem wzywając tatę. Tata zawsze wiedział, co robić. I zawsze przychodził, kiedy go wołała. A jednak nie przyszedł.

To całkiem sparaliżowało Inni. Dziewczynka zastygła w bezruchu, oddychając jak najpłycej, cichutko, byleby nie zbudzić potwora z szafy. Nagle bowiem zrozumiała, że w szafie czaił się potwór. Słyszała w snach, jak dobijał się do drzwi swojego więzienia. Czuła dławiący smród wydobywający się z zębatego paszczy.

Tylko jedno mogło go powstrzymać: leżąca pod szafą maskotka. Pluszowy anioł uśmiechał się pokrzepiająco, wyciągając ku Inni kluskowate ręce. Kusząc poczuciem bezpieczeństwa.

Gdy wreszcie przełamała strach, przesuwała się na brzeg łóżka i chwyciła ręką siostry wezgielce. Potem wyciągnęła własną dłoń w stronę pluszaka, by zawisnąć tak nad podłogą. Oczy zogromniały jej na widok ubrudzonych paznokci.

I wtedy Gemma puściła oparcie.

Świat natychmiast wywinął koźla. Przedramię Inni eksplodowało bólem. Ale nie dlatego znowu zaczęła krzyczeć.

Krzyczała, bo zobaczyła potwora. Stwór wyszedł z szafy, wczołgał się pod łóżko. A teraz patrzył na nią wilgotnymi ślepiami, szczerząc skrawione kły.

Wyglądał koszmarnie. Wyglądał jak...

Wyglądał jak Virgo.

\*\*\*

Histeryczne wrzaski i płacz Inni wreszcie sprowadziły pomoc. Do pokoju przyszła któraś z mam, już nawet nie pamiętały która. A plany Gemmy, żeby zwalić winę na siostrę, rzecz jasna spaliły na panewce.

Równie dobrze mogłaby próbować zrobić samą siebie. W pewnym sensie próbowała. Bo chociaż były dwie, to stanowiły jedno. Założenie, że pomimo wspólnej cielesności, rozdzielnie poniosą konsekwencje, okazało się zwyczajnie błędne.

Prościej rzecz ujmując: po tyłku za karę dostały obie.

W końcu to był ich wspólny tyłek.

## 1. TAKIEJ TRÓJKI, JAK TYCH DWOJE, TO NIE MA ANI JEDNEJ

– Nie myślcie o tym – przekazał bliźniaczkom.

– To wydarzyło się dawno temu.

– Zresztą ojciec mnie naprawił – wysłał

Gemmie.

– *Przecież tato mnie naprawił* – wysłał Inni.

Blizniaczki kipiały mieszaniną smutku oraz złości. Wręcz namacalnie wyczuwał ich spojrzeń.

– Naprawił, też coś! – powiedziały ciępkę, lecz za słowami stała tylko Gemma.

Mimo ślepoty, Virgo bez problemu mógł sobie wyobrazić sztylety w dwubarwnych oczach. Jedna tęczęwka brązowa, druga jasnokremowa, obie źrenice wężone i lśniące groźnie – przynajmniej dopóki Inni nie przejmie sterów nad ciałem.

Jako jedyny potrafił tak rozmawiać z bliźniaczkami. Z każdą „na osobności”. Chyba że akurat któraś spała, podczas gdy druga pozostała świadoma. Wtedy tylko ta przytomna mogłaby z kimś porozmawiać bez wiedzy siostry. O ile przy okazji by jej nie obudziła. A że Gemma miała bardzo lekki sen, w praktyce Inni nigdy nie pozostawała sama.

– Nie nazwałybyśmy tego naprawą – dodały już razem, nieświadomie zmuszając Virgo, by spojrział poprzez nie. By użył ich wzroku.

Tym sposobem mógł zobaczyć samego siebie. Swoją błądą, cienką jak pergamin skórę, wyzierającą spod spodu węzły żył oraz kabli, przesłonięte bielmem, nieruchome oczy i włosy przywodzące na myśl pajęczne nici. Pomiędzy długimi, białymi pasmami wił się gruby światłowód łączący go z siecią. W wąskim nosie tkwiła plastikowa rurka, kolejne wychodziły z brzucha i przegubu lewej ręki – jednymi odprowadzano nieczystości, przez inne płynęły środki odżywcze, a wszystko to w komorze izolacyjnej, która chroniła Virgo przed zabójczymi dla niego zarazkami, pyłkami i kurzem.

Gdyby nie naga, zapadnięta pierś, wyglądałby na tym katafalku maszynierii, pod wiekiem przezroczystej osłony, niczym śpiąca królewna. W zasadzie i tak przypominał dziewczynę, tyle że wyjątkowo płaską oraz młodą.

– *Mogło być gorzej* – odesłał Gemini. – *Przecież jestem śliczny.*

Zaraz usłyszał pociągnięcie nosem. Wyczytał z dualnego umysłu, że bliźniaczkom zaszklili się oczy.

To Inni zdominowała Gemmę.

– Tak, jesteś... – potwierdziły cicho.

Virgo westchnął w duchu. Naprawdę nie chował urazy wobec siostr i nie lubił, kiedy same w kółko się obwiniały. Zdecydowanie wolał być żywy niż martwy, tkwić w komorze niż sześć stóp pod ziemią, a poza tym... Poza tym Gemini nie znały całej prawdy. Ani o nim, ani o wypadku sprzed ponad dwudziestu lat.

– *Dlaczego w ogóle do tego wracaliście?*

– Przez najnowsze zadanie od Voxa – odpowiedziły. – Musimy posprzątać bałagan po Rybce...

Od bliźniaczek powiało niechęcią. Od jednej silnie skrywaną, od drugiej całkiem jawną.

– *Z biedną Pisces jest gorzej* – pomyślała smutno Inni. – *Wciąż wierzy w istnienie Hare, wciąż karmi ją krwią...*

– *Ryba urządziła sobie spontaniczną rzeź* – wyjaśniła bez ogródek Gemma, klarownie formułując myśli. – *Poszatkowała jakiegoś Nieskalanego i całą jego ochronę. Vox nie wie, dlaczego to zrobiła, ale nie ma wątpliwości, że to ona. Użyła tych swoich idiotycznych pazurków, więc równie dobrze mogła podpisać się ofiarom na czole.*

– *O jej stan też nie powinnyście się obwiniać* – ledwie dokończył przekaz,

usłyszał drwiące parsknięcie.

– A kto się obwinia? – Gemma znowu sprawowała kontrolę. Inni natomiast milczała. Dzisiaj całkiem nie była sobą.

– *Jakie dokładnie macie zadanie?* – Virgo postanowił zmienić drażliwy temat.

– Będziemy atrakcją na bankiecie charytatywnym. Trzeba sprzedać Nieskalanym kilka sekretów w zamian za kłopoty. Oficjalnie nikt Rybki o nic nie oskarżył i tak ma pozostać.

– *Wyczuwam w tym rękę Capri'ego. Gasi pożar, zanim pojawi się iskra.*

– Nie do końca. Pierwsza iskra już poszła, a my musimy zdusić ją w zarodku – odparły razem. Coś w ich głosie i myślach sugerowało, że nie mówiły mu wszystkiego.

– *Dostałyście zgodę na użycie bata?*

Powoli skinęły głową.

– Tylko, jeśli marchewka nie zadziała.

– *A kto jest iskrą?*

Obie umilkły na dłużej.

– Reinkarnant – wydusiły wreszcie.

No tak, stwierdził w duchu Virgo. To tłumaczy zachowanie Inni.

– *Ile lat od transmigracji?* – spytał jeszcze, chociaż domyślał się odpowiedzi.

## 2. MY

Prezentacja ciągnęła się w nieskończoność od mniej więcej godziny, a Gemini trwały w wyjątkowej jak na siebie desynchronizacji. Pozostawały zgodne tylko w paru czysto fizycznych kwestiach: były zmęczone, odrętwiały, głodne, swędziały je oblepiona elektrodami skóra i cierpiał przyklejony do krzesła tyłek. Poza tym Inni czuła treść, ciągle zerkając na obracające się hologramy. Z kolei Gemma miała wszystko gdzieś i słuchając wykładu Voxa, zwyczajnie się

nudziła.

Długowłosa, ulizany szatyn w okularach, w garniturze, bez krawata, za to z butami świeącymi jak psie klejnoty, mówił tak miękkim, wypranym z emocji głosem, że można było zasnąć na siedząco. Prezentowane przez niego wzory, wykresy i symulacje niewiele pomagały w zrozumieniu naukowego bełkotu. Wprawdzie prezentacja nawet ciekawiła Gemmę, ale tylko z początku. Dopóki nie zorientowała się, że pełnomocnik ojca mówił wyłącznie o podzielnosci ich półkul mózgowych. Zresztą trudno się temu dziwić. Skoro miały użyć swoich umiejętności, lepiej, żeby nikt na sali o nich nie wiedział. Tylko czy byle ochłapy informacji uspokoją burzliwe nastroje wśród Nieskalanych?

Gemma śmiała w to wątpić. Inni pamiętała, żeby się uśmiechać.

– Oczywiście, chętnie odpowiem na wszelkie pytania – zakończył gładko Vox.

Z podświetlonej sceny bliźniaczki miały niezły widok na cudacznie wystrojonych, usadowionych przy okrągłych stołach ludzi. Nie przegapiły ich zniecierpliwionych spojrzeń i kwaśnych min; zauważyły obracane w palcach kieliszki szampa. Naliczyły też ponad trzydziestu czystych, którzy w trakcie pokazu przeszli do innej sali. Wolałyby więc wypłatać kable ze swoich platynowych i czarnych, poskręcanych włosów, by rozprostować nogi i dołączyć do gości. Choć tak naprawdę najchętniej odeszłyby w siną dal. Wyfrunęły ze złotej klatki, w której trzymał je ojciec, uciekły od wszelkich salonowych gier...

Lecz zamiast tego czekały cierpliwie.

Na szczęście wśród śmietanki towarzyskiej panowała nie tylko czystość pod względem błędów genetycznych czy chorób

cywilizacyjnych, ale również nieskazożność głębszą myślą. Paru gości ostentacyjnie ziewało, kilku co rusz zerkało na drzwi. W końcu przyszli się tutaj zabawić, a nie słuchać nudnego wykładu o nietypowym rozdzieleniu jaźni, jak zapewne interpretowali prezentację. Oni oczekiwali rozrywki. Czegoś bardziej pokazowego niż żywe ucieleśnienie yin i yang, ciekawszego od krzywych bioelektrycznych mózgu, które w skrócie opisywały zmienność nastrojów typową dla przeciętnej kobiety z PMSem.

Gemnę nawet cieszyłoby ich rozczarowanie, gdyby nie zdawała sobie sprawy, że to tylko utrudni zadanie siostrze.

– *Jesteś kochana* – usłyszała w głowie. – *Ale nie musisz się o mnie martwić.*

Inni nie potrafiła czytać w myślach jak Virgo. Przynajmniej nie tak dosłownie. Mogła tylko odbierać świadome przekazy od Gemmy. A jednak zawsze jakoś wiedziała, co chodziło jej po głowie. Zresztą trudno było ukryć emocje przed kimś, z kim dzieliło się ciało.

– W takim razie miałbym pytanie. – Charakterystyczny głos pozbawił bliźniaczki nadziei, że prezentacja niebawem się zakończy.

To był głos reinkarnanta. Nienaturalnie rzeczowy dyszkant z ledwie słyszalną nutą sygmatyzmu. Jeszcze trochę ćwiczeń dykcji, a całkiem przestanie seplenić.

– Słucham – odparł uprzejmie Vox.

– Czy ona choruje na epilepsję?

Gemini powstrzymały grymas irytacji. Nie lubiły, gdy ktoś mówił o nich w liczbie pojedynczej.

– Nie – zaprzeczył pełnomocnik ojca. – Skąd to podejrzenie?

– Jeśli dobrze rozumiem, miała przecięte ciało modzelowate, a to przestarzała metoda

„leczenia” – podkreślił sarkastycznie reinkarnant – ostrych rzutów epileptycznych. Co mogłoby implikować, że mamy do czynienia z biedną, okaleczoną dziewczyną, a nie ze zjawiskiem dualizmu psychicznego.

Jego słowa nie wywołały większego efektu. Goście wprawdzie trochę się rozbudzili, ale w ich szepcach i spojrzeaniach było więcej konsternacji niż ciekawości, a co ważniejsze – ani śladu wzburzenia. Atmosfera pozostawała całkiem letnia, więc Vox pozwolił sobie nawet na chwilę wymownego milczenia. Potem zerknął na szklanke soku w dłoni reinkarnanta i uśmiechnął się z politowaniem. Jak do dziecka.

To natychmiast rozpałiło ogień w oczach Nieskalanego. Zapłonęły również jego pucołowate policzki.

– Rozszczepienie mózgu może dawać z pozoru zbliżone efekty – podjął spokojnie Vox – lecz tak naprawdę mamy tutaj do czynienia z zupełnie odmiennym przypadkiem. Przede wszystkim nie doszło do żadnego zabiegu. Cięcia zostały przeprowadzone już na poziomie DNA. Dzięki edycji genomu w Crispie<sup>1</sup> doszło do agenezy ciała modzelowatego, to jest spoidło między półkulami nie wykształciło się całkiem, a jedynie częściowo. Skarłowaciały pień służy u Gemini do komunikacji ejdetycznej, która nie jest możliwa w przypadku operacyjnego przecięcia ciała modzelowatego. Tłumacząc prościej: powiedzmy, że pacjent po zabiegu patrzy na przedzielony stół z rozłożonymi symetrycznie klockami. Lewe oko widzi tylko klocki po lewej stronie stołu, a prawe tylko po prawej. Założmy również, że te klocki są różne – przykładowo po lewej stronie leżą sześciany, po prawej kule. Jeśli

1 Skróć dotyczy systemu CRISPR-Cas (clustered regularly interspaced short palindromic repeats-CRISPR associated).

spytamy pacjenta, co widzi, wspomni tylko o kulach. Jeśli poprosimy, żeby wskazał jakiś sześcian, odpowie, że nie widzi żadnego. Jednocześnie jego lewa ręka wskaże prawidłowy obiekt. Wynika to z prostej zależności: każda z półkul zobaczyła co innego i automatycznie uzupełniła widziany obraz. W lewej półkuli znajdują się ośrodki mowy, ale to prawa widzi sześciany i odpowiada za ruch lewą ręką. W ten sposób próbuje się porozumieć. Niemo, no migi, ponieważ normalny kanał komunikacji został odcięty i mówić może tylko lewa półkula. Natomiast Gemini świadomie podzieliłyby się informacjami. Zresztą obie zachowują pełną funkcjonalność motoryczną i werbalną, więc każda może powiedzieć, co widzi. I jeśli miałbym tu użyć jakiegoś porównania, to porównałbym je do dwóch pacjentek po hemisferektomii.

– *Czy on nazwał nas parą półgłówek?* – spytała Inni.

– *Dokładnie tak, siostrzo* – potwierdziła Gemma.

Po wywodzie Voxa poruszenie wśród gości całkiem zdechło. Znów rozbrzmiewały lekceważące ziewnięcia, szampan pienił się w opróżnianych z nudy kieliszkach. I tylko reinkarnant wyglądał na zaintrygowanego.

– A co, jeśli się pokłóć? – spytał z błyskiem w oku.

Zanim Vox zdążył odpowiedzieć, Gemini uniosły rękę.

– Możemy?

Pełnomocnik skinął głową.

– Proszę.

Blizniaczki powiodły po zaciemnionej sali długim spojrzeniem, wciąż z uśmiechem na ustach, o który dbała Inni.

– W dzieciństwie zdarzało nam się sprzeczać – zaczęły. Właściwie Gemma

zostawiła mówienie siostrze. – Miałymy nawet taki podział: to twoja ręka, to moja ręka, to twoje oko, to moje oko... A także: to twój pośladek – uśmiechnęły się szerzej – to mój pośladek. W razie kłótni każda próbowała usiąść na swojej części pupy, najlepiej jeszcze odwrócona plecami do tej drugiej. To był dopiero widok!

Po sali rozeszła się fala rozbawionych pomruków. Wciąż za mało, żeby ożywić atmosferę, ale zawsze do jakichś początek.

– Okres dojrzwania też dał nam w kość. – Mrugnęły przekornie. Inni była w swoim żywiole. – Czas, kiedy dziewczęta przestają traktować chłopców jak głupowatych brzydali i zaczynają dostrzegać w nich niebrzydkich głupków.

Żeńska część widowni wyraźnie się zgadzała.

– Ponieważ gusta mamy różne – ciągnęły – to kłóciłyśmy się bez przerwy. Och, ten blondyn jest taki przystojny – powiedziały rozmarzonym tonem, bezbłędnie podchwytyjąc spojrzenia jasnowłosych mężczyzn. – Nie ma mowy! Ja wolę tego z ciemną czupryną! – zniżyły głos i kusząco mrużąc powieki, wodziły wzrokiem od jednego bruneta do drugiego. – Na szczęście szybko doszliśmy do korzystnego dla obu stron porozumienia... – zawiesiły głos i spuściły wstydliwie oczy, by nie pozostawić wątpliwości, co miały na myśli. Lekki rumieniec oblekł im policzki, na ustach błąkał się figlarny uśmiech.

Czuły na sobie spojrzenia męskiej części sali.

– A teraz? – Reinkarnant podniósł głos. Nie wyglądał na oczarowanego. – Już się nie kłóćcie?

Cóż, przynajmniej zaczął mówić per „wy”.

– Sporadycznie – odparły miękko.

Gemma włączyła się do rozmowy. – Odkryliśmy starą prawdę, że klótnie donikąd nie prowadzą. Ale każdym przecież targają rozterki. Pod tym względem niewiele różnimy się od zwykłych ludzi. Być może prawie wcale. – Popatrzyły na holosłajd za plecami Voxa. Świetliste impulsy bez ustanku obiegały trójwymiarową reprezentację ich mózgu. – W końcu pacjenci z rozdzielonymi półkulami mieli nie tylko zaburzoną percepcję. Zdarzało im się również dokonywać sprzecznych wyborów. Na przykład przy wyjmowaniu ubrań z szafy. Gdy jedną ręką sięgali po płaszcz, druga odpychała ją i wyciągała kurtkę. Albo kiedy na śniadanie nasypali sobie płatków, a potem chwycili do tego kromkę chleba. – Gemini uśmiechnęły się, pierwszy raz spoglądając reinkarnowanemu prosto w oczy. – Może w każdym człowieku żyją dwie osoby? Może stanowimy najnormalniejszą istotę ludzką na świecie, tyle że świadomą własnej dwoistości? Może po prostu wiemy, że nie ma żadnego „ja”?

Jesteśmy tylko „my”.

### 3. PIĘKNY UMYŚŁ

Po zakończeniu prezentacji Gemini poszły do łazienki. Inni przechodziła lekkie załamanie nerwowe, kiedy zamiast pozbyć się resztek żelu przewodzącego z włosów, musiały nałożyć go jeszcze więcej. Gemma natomiast wolała zostać tutaj jak najdłużej, choćby miały wylać sobie kubel pomyj na głowę. Nie przepadała za ludźmi, a już zwłaszcza za napuszonymi ignorantami, więc nie spieszyło jej się do powrotu.

Virgo dowiedział się o tym, a także o przebiegu samej prezentacji, gdy siostry włożyły neurotransponder. Urządzenie

stwarzało pozory zwyczajnego diademu – anteny z ciemnego i białego złota spletały się niczym pędy bluszczu, siatka sensoryczna wyglądała jak kunsztowny płatlik, a żel przewodzący... Cóż, równie dobrze mógł być żelem do włosów.

– Jak wyglądamy? – spytały Gemini, przeglądając się w lustrze.

Loki rozpuściły luźno, tak że jasne pasma przeplatały się z ciemnymi. Na nosie miały okulary cyfrowe o biało-czarnych oprawkach. Ubrane były w długą, odkrywającą ramiona suknię z połyskliwej tkaniny, która pod światło wpadała w kremową biel, a w półcieniu nabierała koloru gorzkiej czekolady. Jednym słowem wyglądały...

– *Jak zawsze.*

– *Czyli? – Uniosły brew.*

– *Pięknie.*

Udało im się jednocześnie uśmiechnąć szelmowsko i zarumienić wstydliwie.

– *Pochlebca* – wysłała mu Gemma.

– *Dziękuję* – wysłała mu Inni.

– *Chodźmy już* – powiedziały razem.

Na sali głównej zrobiło się tłoczno. Po bliźniaczkach scenę przejęła grupa akrobatów. Normale obojga płci mieli naoliwioną skórę, nosili przepaski biodrowe, a zważywszy, jakich dokonywali wygibasów, widowisko w każdej chwili mogło płynnie zmienić się w orgię. To dodatkowo potwierdzało, że naukowy wykład pasował tutaj jak pięść do oka.

Szczęśliwie, nie wszyscy goście byli zainteresowani występem półnagich gimnastyków. Parunastu czystych zgromadziło się w pomieszczeniu obok, gdzie stały wyściełane aksamitem fotele i zastawiony frykasami stół. Przebywający tutaj czyści podzielili się na mniejsze grupy. Dziewięciu otoczyło Voxa i dyskutowało hałaśliwie, reszta

siedziała na fotelach, rozmawiając przyciszonymi głosami. Znalazło się też kilku bez towarzystwa, a tacy byli najbardziej podatni.

– Hrabino... – Gemini skłoniły lekko głowę, zbliżywszy się do stojącej samotnie Hedvigi pur’Kosel.

Mimo srebrzystych włosów miała pozbawioną zmarszczek, naciągniętą do granic możliwości skórę. Jej rozkloszowaną kreację można było opisać jednym słowem: koronki. Mnóstwo, mnóstwo koronek. I jeszcze odrobina. Gwoli dobrego smaku.

Rzecz jasna, kobieta nie była żadną hrabiną. Virgo zalecił jednak bliźniaczkom, by zwracały się do niej w ten sposób. Jako że posiadał informacje o wszystkich gościach bankietu, wiedział, za kogo się uważali, o czym najchętniej plotkowali, a jakich tematów woleli unikać. Znał też ich dziwactwa oraz pragnienia i mógł mógł wyczytać najbrudniejsze z czystych myśli. Wystarczyło poprowadzić rozmowę na odpowiednie tory.

A tym już zajmowały się Gemini.

– Przynajmniej uczą się manier w tym Zodiaku. – Hedviga trzasnęła rozkładanym wachlarzem. Potem powachlowała się nim, chociaż klimatyzacja działała bez zarzutu.

Bliźniaczki nie przejęły się protekcyjnym zachowaniem kobiety. Niedługo będą miały ją w garści, a to z kolei przybliży je o krok do zaciśnięcia palców na Danielu pur’Koselu. Zastępca Głównego Purysty był ponoć strasznym maminsynkiem i tylko dzięki wpływom rodzicielki udało mu się zająć tak daleko.

– Ależ dobre maniery to podstawa – odparły gładko.

Tymczasem Virgo zaraportował, co udało mu się odczytać z umysłu hrabiny.

– *Uroda... Zazdrości wam urody.*

*I sukienki też.*

– Niemniej ośmielimy się spytać – Inni przejęła pałeczkę – gdzie nabyła pani taką cudowną kreację, pani hrabino?

Jednocześnie Gemma zainicjowała wydzielanie odpowiednich hormonów we wspólnym ciele. Kilka głębokich wdechów i staną się w oczach Hedvigi co najwyżej przeciętnie ładne.

– Oczywiście, była szyta na miarę, wedle moich... – zaczęła wywód. Kąciki jej zminkowanych warg uniosły się lekko.

Przy odrobinie dobrej woli można było to uznać za uśmiech. Prawdopodobnie najszybszy, na jaki hrabina mogła sobie pozwolić bez uszczerbku na zdrowiu.

– *Jest dobrze* – pochwalił siostry Virgo. – *Odbieram od niej pobłażliwą sympatię.*

Gemma odetchnęła wewnętrznie, wpuszczając słowa hrabiny jednym uchem i wypuszczając drugim. Dziękowała w duchu Inni za prowadzenie konwersacji. Sama chyba oszalałaby, zmuszając się do wysłuchiwania tych bredni.

Ile można gadać o koronkach?

\*\*\*

Pycha, żądza, chciwość, zazdrość...

Bliźniaczki nie wahały się wykorzystywać żadnego z grzechów.

– *Boi się utraty pozycji* – podpowiadał Virgo, a one zapewniły dyrektora Instytutu Czystości Genetycznej, że jest niezastąpiony.

– *Chciałby was osiąść* – raportował głucho braciszek, więc złożyły komendantowi Straży Wewnętrznej kilka niedwuznacznych obietnic, których nigdy nie zamierzały spełnić.

– *Temu zależy tylko na pieniądzach. A tamten chętnie szasta kredytami.*

Dlatego zapoznały szefa Fundacji Pomocy Deformantom z próżnym czyszciochem w złotym smokingu.

– *Mąż ją zdradza* – odebrały od brata, spoglądając w opalizujące oczy kierowniczkę Laboratorium Transgenicznego.

Potem znalazły jej męża. Czysty był w głównej sali, przy narożnym stole, a na kolanach siedziała mu jedna z akrobatek. Rozchichotana normalka była naga od pasa w górę, nie licząc warstwy oliwki. Musiała zostać tutaj po występie, bo obecnie scenę okupował założyciel Stowarzyszenia Mechanicznych. Gdy Gemini weszły do pomieszczenia, akurat przedstawiał możliwość współczesnej protetyki na przykładzie wielkiego cyborga, robiącego obwarzanka z prętów grubości kciuka.

– Niezłe widowisko, nie sądzisz? – zagały męża transgeniczkę, wskazując dłonią żelaznego precla.

W tym momencie chichot akrobatki urwał się niczym ucięty nożem. Dziewczyna spojrzała lękliwie.

Wprost idealnie.

Siostry chwyciły ją za podbródek, pochyliły się jak do pocałunku. Małeńkie wypustki na opuszkach Gemmy przywarły do lśniącej skóry. Z palców popłynęła katecholaminowa esencja czystego przerażenia.

– Odejdź – wyszeptaly normalce na ucho.

To było zaledwie muśnięcie bata, lecz akrobatka i tak zerwała się jak oparzona, po czym uciekła z przeprosinami na ustach.

Oszołomiony czysty wodził wzrokiem – to za nią, to za bliźniaczkami.

– Nie sądzisz? – powtórzyły Gemini.

Mężczyzna chrząknął gardłowo. W końcu odzyskał głos:

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? – Uśmiechnęły się

promiennie, zajmując miejsce naprzeciw niego.

Potrzebowały dłuższej chwili, by zrzucić z siebie smród strachu i otoczyć się bardziej kusząca nutą. Na szczęście dreszczyk emocji łatwo było przekształcić w pożądanie.

– Nie mogę oderwać od ciebie wzroku – wyznał Nieskalany.

Gemini zmrużyły oczy, starając się nie uśmiechać za szeroko. Jeszcze nauczą mężczyzną, jak powinien się do nich zwracać.

– *To nie będzie trudne* – przesłał im Virgo.

Nic więcej nie musiał mówić. Czysty był wyjątkowo uległy – praktycznie sam pchał się bliźniaczkom do rąk. Wystarczyło muśnięcie palców, by do krwioobiegu mężczyzny trafiła spora dawka tęsknoty.

Zanim zorientował się, że coś jest nie tak, już należał do nich.

– Kochasz swoją żonę, prawda?

– Kiedyś kochałem – odparł półprztomnie.

– Wciąż kochasz.

– Wciąż kocham – powtórzył za nimi.

– Bardzo.

– Najbardziej na świecie...

– I nie pożadasz nikogo innego.

– Nikogo innego.

– Grzeczny chłopiec – wymruczały pochwałę, klepiąc go po rękę.

Wiedziały, że zmiana nie będzie trwać długo. Musiałyby wpływać na mężczyznę regularnie, żeby efekt się utrzymywał. A tak nie miną trzy, cztery tygodnie i czysty znowu zacznie zdradzać żonę.

Na dobrą sprawę wcale nie pomagały tej kobiecie. Dawały jej tylko chwilę radości i złudną nadzieję, z czego jedynie Gemma jasno zdawała sobie sprawę. I nie zamierzała uświadamiać siostry.

– Idź, przeproś ukochaną za wszystkie swoje błędy – poleciły hipnotyzującym tonem. – I przekaz jej nasze pozdrowienia.

Mężczyzna, skinąwszy głową, podniósł się z krzesła.

– Dziękuję wam – rzucił jeszcze na odchodnym.

Przynajmniej uczył się szybko.

– To było ekstra! – usłyszały za swoimi plecami. – Nic dziwnego, że jesteście ulubienicami tatusia.

Znały tylko jedną osobę, która potrafiła skradać się w szpilkach.

– Ryba...

– Oj, co za groźne spojrzenie. – Pisces wyszczerzyła zęby, skinąwszy na kogoś ręką. W krwistoczerwonym mini była żywym ucieleśnieniem prowokacji. – Już szykujecie bakik?

Kiedy dosiadła się do stołu, krzesło obok niej zajął szczupły blondyn w golfie.

– *Głupki!* – jęknęła w duchu Inni.

– *Głupki* – potwierdził głucho Virgo.

Tymczasem Gemma zrugala

nowoprzybyłe rodzeństwo.

– Po tobie spodziewałabym się najgorszego – powiedziała kruczowłosej siostrze, a potem zwróciła oczy na młodszego brata. – Jednak myślałam, że ty masz choć odrobinę oleju w głowie.

Inni aż się skurczyła w środku.

– Uuu, liczba pojedyncza, Gem? – zadrwiła Pisces. – To nie przelewki, co?

– Chyba nie zależy ci na własnym życiu – odparła spokojnie Gemma.

– No co ty! Bardzo zależy. Dlatego przyszłam spytać, czemu się tak opierdalacie, kochani? – Mrugnęła zawadiacko. – Tak, wiem, że z nimi jesteście, prawiczku. Grzeb mi w głowie do woli. Może dostaniez buziaka od Hare.

Virgo był wdzięczny występującemu cyborgowi. Za jego głośne powarkiwania, za jęk wyginanego żelaza i okazjonalne oklaski widowni. Jeszcze tego brakowałoby, żeby goście usłyszeli, co mówiła Pi.

– *Chodzi jej o to, że nie wykorzystujecie pełni swoich możliwości* – wyjaśnił. – *Z kolei Capri czuje bezsilność. Próbował powstrzymać Pisces, ale mu się nie udało.*

Gemma wpatrzyła się w szare, zmęczone oczy Koziorożca. Potem nabrała głęboko powietrza i wypuszczając je powoli, przycięgnęła Inni ku sobie.

Na powrót stały się całością.

– No, dlaczego jeszcze nie owinęłyście sobie wszystkich wokół palca? – ponaglała znicierpliwiona Ryba.

– Robimy, co możemy – odpowiedziały, po czym zwróciły się do Capricorna. – Wytłumacz jej.

Blondyn, wciąż milcząc, splótł dłonie na stole i zapatrzył się w nie pośępnie.

– Po pierwsze – zaczął cicho – rozkazy całkiem sprzeczne z naturą obiektu



z czasem mogą wzbudzić jego podejrzliwość. Przykładowo mężczyzna, który odszedł od tego stołu, nie będzie kwestionował powodów swojej decyzji, bo darzy żonę jakimś uczuciem. Z drugiej strony, za trzydzieści dwa dni wróci do swoich starych nawyków.

To i tak dłużej niż sądziła Gemma, pomyślał Virgo. Nie zamierzał się z nikim dzielić tą refleksją.

– Im delikatniejsza perswazja – ciągnął Capri – tym pewniejsze efekty. Jeśli przekonać ludzi, że sami podjęli jakąś decyzję, będą się jej trzymać. Poza tym – omiół wzrokiem salę – jest tu za dużo ludzi, i to przynajmniej paru takich mniej podatnych na wpływy bliźniaczek. Nie zapanowałaby nad całym tłumem. Najwyżej nad jakimś pię...

– Brawo – weszły mu w słowo. – Masz naprawdę piękny umysł.

– Najpiękniejszy – wtrąciła z uśmiechem Pisces, chociaż widać było, że zezłościła się na Capriego. Jakby nie patrzeć, śpiewająco wykonał ich polecenie.

– Nie – odrzekły beznamiętnie. – Nikt nie ma piękniejszego umysłu od Virgo. I nie znajdziecie drugich takich bliźniaczek jak my. – Zajrzały w ciemne oczy siostry. – Jest tylko stuknięta rybka, która wierzy w istnienie królika.

Druga jaźń na moment rozbłysła w zwężonych źrenicach Pisces. Odśloniła drapieźnie kły. A potem wróciła na swoje miejsce.

– *Zazdrość...* – odczytał Virgo.

– *Zazdrość* – powtórzyły za nim Gemini.

– To twój grzech, Pi.

– Jeden z najmniejszych, braciszku – odparła butnie Ryba.

Następnie wstała z krzesła i chwyciła Capricorna pod ramię.

– Dobra, zaczęło mnie to nudzić. Chcę potaćńczyć!

Na pożegnanie Koziorożec rzucił bliźniaczkom przepaszające spojrzenie. Ryba z kolei posłała im buziaka i stuknęła obcasem, pociągnawszy biedaczka za sobą.

– Będą z tego kłopoty – orzekły jednogłośnie Gemini.

Virgo nie mógł się z nimi nie zgodzić.

## 4. WIRUS REINKARNACJI

Nazywał się Niklas pur'Artell i miał sześć lat. Albo sto czterdzieści osiem. Zależy, jak na to spojrzeć.

Kiedyś był starszym bratem Logana pur'Artella. Potem już raczej młodszym. Zależy, jak na to spojrzeć.

Długie lata zarządzał NucEnergą. Po śmierci wciąż był i nie był CEO firmy. Zależy, jak na to spojrzeć.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Przed reinkarnacją ludzie okazywali mu należyty szacunek. Teraz traktowali go jak dziecko.

Nienawidził ich za to.

– Może dokładki, paniczu? – spytała Marta, gdy dokańczył łososia. Oficjalnie była jego sekretarką, lecz wszyscy i tak widzieli w niej niańkę.

– Prosiłem, żebyś zwracała się do mnie normalnie.

– Wybacz, Nik. – Kobieta spuściła wzrok na stół. Zmarszczki wokół jej ust pogłębiły się w grymasie smutku. Grafitywy zakiet wisiał na kościstych ramionach jak worek.

Marta kiedyś rzeczywiście była jego asystentką, prawą ręką, okazjonalnie również kochanką. Teraz stała się odsuniętą na bok pracowniczką NucEnergi. Zmęczoną, podstarzałą pięknnością – niespecjalnie

potrzebną i bardzo samotną.

Niklas powinien ją odesłać, ale nie miał serca.

Dawniej miałbyś, zaszeptał mu w duchu wirus reinkarnacji. Kod jego istnienia. Zapisane w materiale genetycznym „ja”.

Czy mogło z tego powstać „my”? Sześciolatek i stuletni przyk? Paniel i prezes?

Reinkarnant spojrział na siedzącą dwa stoliki dalej reprezentantkę Zodiaks Inc. Nie przyznałby tego głośno, ale ta przedziwna kobieta trafiła w czuły punkt. Namieszała mu w głowie. Zresztą nie tylko jemu.

Obserwował Gemini, odkąd wyszła z łazienki. W krótkim czasie zaczął się zastanawiać, czy nie nakloniłaby rekina, aby przeszedł na wegetarianizm. Ludzie miękli przy niej jak wosk, sztywne sylwetki i marsowe miny rozplływały się w mgnieniu oka. Co niewyobrażalne, udało jej się nawet rozbawić starą pur’Kosel. Niklas chyba nigdy wcześniej nie widział, żeby hrabina się uśmiechała. Ani w tym, ani w poprzednim życiu.

Bardzo mu się to nie podobało. Daniel był marionetką w rękach matki, co z kolei pozwalało jej pociągać za sznurki w Puryfikatorium, zaś Główny Purysta miał ostateczny głos we wszystkich sprawach karnych. Ponadto Nik był przekonany, że wkrótce jego niełatwe życie stanie się jeszcze odrobinę trudniejsze. A to za sprawą tego zacofanego pierdziela od eugeniki, profesora Reutera. Pracownicy INCG-u sprawowali nadzór nad wszystkim reinkarnantami, toteż w bardzo prosty sposób mogli zaszkodzić każdemu z nich. Nie trzeba było mieć setki na karku, żeby wiedzieć, do jakich okrucieństw zdolni są urzędnicy.

Przeczuwał również, że niebawem straci dwójkę starych przyjaciół. O ile

kiedykolwiek można było ich nazwać przyjaciółmi. W końcu Karlowi przede wszystkim zależało na zbieraniu funduszy dla swojej organizacji. Jak dotąd Nik był jego najhojniejszym donatorem, ale cholera wie, czy Zodiaki nie podbiją stawki. Albo czy Karl nie zdecyduje się grać na dwa fronty. W każdym razie Niklas nie mógł mu już ufać. Z kolei Irmę ostatnio ogarnęła obsesja na punkcie własnej urody. Transgenicznka ciągle coś w sobie zmieniała – a to kolor tęczówek, ust lub włosów, a to rysy twarzy, grubość talii albo kształt bioder. Nie miał pojęcia, co nią owładnęło. Zważywszy, że odpowiadała za przebieg jego reinkarnacji, już wcześniej miał się czym martwić. Teraz zwyczajnie nie wiedział, co myśleć. Pierwszy raz od miesięcy widział ją roześmianą, kiedy wirowała ze swoim mężem na hali tanecznej. A ten, nawiasem mówiąc, chwilę wcześniej odbył rozmowę z Gemini.

Dodać jeszcze figlarne uśmieszki, które wymieniła z komendantem Straży, i Niklas przestał liczyć, że szybko pomści brata. Przynajmniej nie za pomocą legalnych środków. Co nie znaczyło, że zamierzał dać za wygraną. Musiał tylko wpierv wybadac grunt.

Niestety, zanim zdążył wrócić z hali i dosięść się do reprezentantki Zodiaków, kobieta miała już nowe towarzystwo. Pozostało mu więc czekać, na razie zadowolając się porcją niedoprawionej, lekkostrawnej dla żołądka rybki. I szklanką soczku.

Miał ochotę kogoś zabić.

– Na pewno niczego więcej nie potrzebujesz? – Matowy głos Marty wyrwał go z zamyślenia.

Być potrzebną. Tylko tego chciała, lecz on nie mógł dać jej nawet tyle. Nie w tym

ciele, nie przez następnych parę lat – dopóki dawni współpracownicy nie zaczną znowu traktować go poważnie. A wtedy będzie już za późno.

– Właściwie chciałbym, żebyś porozmawiała z Ilmą. – Odchrząknął, mlaskając niezgrabnym językiem. – Z Irmą... Zaczniij od umówienia mnie na kompleksowe badania, wypytaj, kiedy powinienem odzyskać wszystkie wspomnienia, a przy okazji spróbuj się wywiedzieć, skąd wzięło się jej nagle rozweselenie... Możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście, Nik – przytaknęła, choć wcale nie wyglądała na przekonaną.

Reinkarnant dobrze wiedział, co mogło jej chodźć po głowie. Miała zostawić sześciolatnie dziecko samo na bankiecie pełnym zбочeńców, hedonistów i oszołomów. Już podczas występu akrobatów omal nie dostała zawału. Błada jak ściana doszła do siebie dopiero, gdy opuścili razem salę.

– Jeszcze jedno – zatrzymał ją, kiedy wstała już od stołu. – Możesz nazywać mnie „paniczem”. Po namyśle stwierdzam, że nawet mi to pasuje. – Zdobył się na odrobinę wesołości, chociaż tyle mógł dla niej zrobić.

Marta nie odwzajemniła uśmiechu.

– Dobrze, paniczu – rzekła jedynie, zanim odeszła.

Chwilę później towarzysze Gemini podnieśli się z krzeseł. Dotychczas Niklas widział tylko ich plecy i zdawało mu się, że w ogóle nie zna tej pary. Na pewno nie byli powiązani z nim tak, jak poprzedni rozmówcy lobbytki. Niemniej, gdy ujrzał twarz czarnulki w czerwonej kiecce, drgnęła jakaś struna w jego głowie.

Wirus natychmiast przyszedł z pomocą.

„Kto to?” – rozbrzmiało Niklasowi pod czaszką. Reinkarnant rozpoznał swój stary

głos. „To moja nowa zabaweczka” – odpowiedział mu Logan.

Tak, uświadomił sobie. Widziałem kiedyś tę dziewczynę. W domu brata.

Niewiele brakowało, by zerwał się na równe nogi. Zamiast tego zacisnął dłonie w pię... piastki. Wziął głęboki oddech. Ukradkiem zerknął na stojącego w pobliżu ochroniarza. Najpierw ledwo dostrzegalnie skinął na niego, potem na dziewczynę. Mężczyzna bez zwłoki ruszył za czarnulą.

Szacunek szacunkiem, lecz i bez niego można było sterować ludźmi. O ile miało się pieniądze, a na ich brak Niklas nie mógł narzekać. Z jego majątkiem opłacenie ochrony bankietu stanowiło zaledwie drobny wydatek.

Tylko co zrobić z tą przedziwną kobietą? Jakoś wątpił, że dałaby się przekupić.

– Potrzebuje pan towarzystwa? – Sama przysła do niego.

– Nik – odparł zwięźle, wskazując reprezentantce krzesło.

Na moment zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć, że wygląda słodko, kiedy jest taki poważny.

– O ile możemy mówić sobie na „ty” – dodał, rumieniąc się.

Nie cierpiał tych swoich puców. Były zdecydowanie za mocno ukrwione.

– Jasne, tyle że raczej na „wy” – rzuciła już nieformalnym tonem.

Miała zdecydowanie zbyt piękny uśmiech. Niklas od razu się rozproszył i zapomniał, co zamierzał powiedzieć. Technicznie rzecz biorąc, miał mózg sześciolatka, więc naprawdę łatwo tracił koncentrację.

– I jak łośoś? – Kobieta wskazała palcem rozbabrane resztki na jego talerzu.

– Bez smaku – odrzekł szczerze.

Nagle wokół zrobiło się głośno. Był

niemal wdzięczny, że jego zatrważająco piskliwy głos utonął we wszechobecnych oklaskach.

– Może pójdziemy w jakieś cichsze miejsce? – zaproponowała Gemini, nachylając się Niklasowi do ucha i wyciągając ku niemu dłoń.

Wciąż nieco roztargniony, mimowolnie chwycił jej rękę. Potem dał się wyprowadzić z sali.

– Wiem, co próbujesz osiągnąć – wydusił z siebie. Brzmiało to zdecydowanie mniej nonszalancko, niż planował. Wręcz rozpaczliwie.

– Ciągłe nam nie wierzysz – zignorowała zaczepkę, spoglądając na niego spod zmrużonych powiek.

Dopiero teraz zauważył, że nawet rzęsy miała dwukolorowe.

– W dualizm psychiczny? – upewnił się, a kiedy skinęła głową, dodał: – Oczywiście, że nie. Może sama w to wierzysz... Tak, na pewno wierzysz. Ale zostałaś okaleczona. Nic więcej.

To już zabrzmiało lepiej. Pewniej. Mniej dziecinnie...

– Ciekawe. – Gemini znowu się uśmiechnęła. Tym razem w regularnych rysach zagościło coś wilczego, heterochromiczne czy rozbłysły niepokojąco.

Nie mógł powiedzieć, żeby umniejszało to jej urodę. Wciąż była atrakcyjna, tyle że w dużo mniej urokliwy sposób. Ciągłe również prowadziła go za rękę, a mijani goście posyłali im półuśmieszki, prześlizgując się wzrokiem po splecionych razem dłoniach. Niklas nie miał pewności, czy próby wyrwania się nie byłyby dla niego bardziej żenujące niż dalsze podążanie za kobietą. Na szczęście długo nie musiał się zastanawiać. Gemini skrzyknęła w korytarz i po

chwili znaleźli się na tarasie. A ona puściła jego dłoń.

Niemal czuł żal z tego powodu.

– Ciekawe? – Zadarł głowę, by pochwycić jej wzrok. W ciele sześciolatka naprawdę trudno było patrzeć na kogoś z góry.

– Nie sądziłyśmy, że ktoś, kto już raz umarł, by odrodzić się na nowo, będzie tak...

– zawiesiła głos, opierając się o marmurową balustradę – ...zaściankowy.

Omiotła wzrokiem rozpościerający się w dole ogród. Podobne do bluszczu pędy matre oplątywały wszystko – abstrakcyjne rzeźby, kute ogrodzenie, cienkie drzewa. Tworzyły jeden wielki, skłębiony labirynt cieni pod bladym księżycem. Pięły się po ścianach belwederu, wspinały na stojący przed budynkiem cokół, oplatały bijący w niebo filar. A tam daleko w górze, setki metrów nad ziemią rozwarstwiały się na cieniutkie, przezroczyste pasma, które przykrywały miasto ochronnym kloszem. By filtrować powietrze i blokować szkodliwe promieniowanie.

Nocą trudno było je dostrzec. Tylko lekko zamazane kontury księżyca i rzadkich chmur wskazywały, że Kopusła Matki wciąż tkwiła na swoim miejscu.

– Dobrze... – stwierdził niepewnie Niklas i stając obok reprezentantki, wsparł się plecami o balustradę. Starał się za wszelką cenę nie pokazywać po sobie, że jej słowa ubodły go do żywego. Niestety, po części miał również ochotę tupnąć nogą i wyduć policzki.

I jak tu normalnie funkcjonować? Ech.

– ...przyjmijmy, że jesteście dwie – ciągnął. – To nic nie zmienia. Nie pozwolę się omotać ani wykić waszemu pracodawcy. Mój brat został zabity niedługo po tym, jak skontaktował się z Zodiakami. Złożył

mi również obietnicę... Obietnicę, która musiała doprowadzić do konfliktu między wami. A wy woleliście się go pozbyć niż pokojowo załatwić sprawę... Ekhm, sprawę.

Szlag by to trafił. Już tak dobrze mu szło.

- Nic nie zamierzacie powiedzieć?  
- spytał, gdy jej milczenie zaczęło się przedłużać.

Gemini popatrzyła na niego z nieodgad-nionym wyrazem twarzy.

- Logan nie był dobrym człowiekiem. Bez względu na to, co obiecywał ci przed śmiercią.

Niklas zmarszczył brwi.

- To również niczego nie zmienia. Chcę po prostu, żeby winna stanęła przed sądem.

Trafił.

Widział to w jej oczach, choć nawet nie mrugnęła. Logana naprawdę zabiła „ona”, kimkolwiek była - seksowną czarnulką czy dwukolorową ekscentryczką.

- Pragniesz sprawiedliwości, a nie obchodzi cię, że twój brat zabijał ludzi. Podejście typowe dla Nieskanalnego. I przy okazji takie wygodne...

Niklas przymknął powieki, wciągając ze świstem powietrze. Nie wiedzieć czemu, zachciało mu się płakać.

To już była, kulwa, przesada.

- Nie poddam się waszemu czarowi.  
- Zwrócił na Gemini wilgotne oczy, po czym wskazał brodą wejście tarasu. - Oni czują się zbyt bezpiecznie. Nie rozumiem, że jeśli przyzwolą na śmierć jednego, zaraz polecą kolejne głowy. Bo skoro można zabić czystego, a potem wykpić się paroma uśmiechami, to czemu nie wybić ich co do nogi? W końcu to tylko banda zarozumiałych, zadufanych w sobie utracjuszy. Dopóki mają co chłać, co jeść i co posuwać, dopóty nie przejmą się okazjonalnym zaginięciem czy

dwoma. Zorientują się, że coś jest nie tak, dopiero jak będzie już za późno... Czyż nie?

- Więc jesteś zwolennikiem teorii spiskowych - stwierdziła, nawet nie zerknąwszy na niego.

Znowu wpatrywała się w ogród.

- Po prostu lubię wybiegać myślą dalej niż czubek własnego penisa - odparł spokojnie, a ona wybuchnęła perlistym śmiechem.

Cóż, takie słowa musiały brzmieć naprawdę idiotycznie w ustach sześciolatka. Pewnie według niej zachowywał się rozkosznie.

- Niezwykłe - stwierdziła, jakby usłyszała jego myśli. - Jesteś bardzo niezwykłym człowiekiem, Nik.

Jej wypowiedź sprawiła mu irracjonalną przyjemność, ale zmusił się, by stłumić to uczucie. Nie mógł sobie pozwolić na sympatię wobec tej kobiety.

- Wręcz przeciwnie, bywam całkiem przyziemny. Dlatego też nie obchodzi mnie, czy mój brat był dobrą czy złą osobą. Był rodziną. Tylko to się liczy.

## 5. PARADOKS BLIŹNIĄT

- Rozumiemy - wydusiły przez ściśnięte gardło.

Nagle pojęły, że najzwyczajniej w świecie nie radzą sobie z dziećmi. Zresztą Virgo też miał problemy z odczytywaniem reinkarnanta. Zaprogramowany przed laty wirus nieustannie splotał neurony w jego nie w pełni skonfigurowanym umyśle. Umysłe dziecka.

- To dobrze - odrzekł pur'Artell. - A teraz wybaczenie - odkrył zegarek na rękę, urządzenie mrugnęło zieloną ikonką - ale ktoś do mnie dzwoni.

- Powinniśmy go śledzić - zasugerował

Virgo.

Myśli reinkarnanta wciąż pozostawały dla niego mgliste, lecz co do jednego nie miał wątpliwości. Brunetką w jego głowie była Pisces, a przed chwilą znowu o niej pomyślał.

– Nie – wyszeptaly bliźniaczki. – Najpierw chcemy porozmawiać z...

Voxa znalazły przy szwedzkim stole, gdzie urabiał jak ciasto kolejnego z wpływowych gości bankietu.

– Możemy go ukraść na chwilkę? – Posłały uśmiech jego rozmówcy, a potem złapały pełnomocnika pod ramię.

– Kłopoty? – spytał zwięźle. Również się uśmiechał, jakby odbywali niezobowiązującą pogawędkę.

Ale oczy miał zimne.

– Chodzi o Rybę... – zaczęły przyciszonym głosem. Z początku nie chciały donosić na Pisces, lecz skoro reinkarnant się nią zainteresował, nie miały większego wyboru.

Kiedy skończyły opowiadać, dotarli już na taras.

– Najchętniej bym się jej pozbył – oznajmił Vox. Bez mrugnnięcia powieką, wyprany z emocji głosem.

– *Mówi prawdę* – zaraportował Virgo, chociaż siostry ani przez chwilę w to nie wątpiły.

– Spróbowałbyś tylko – mruknięły ostrzegawczo.

– Nie rozumiem, dlaczego została sparowana z Capricornem – kontynuował niewzruszenie Vox. – Same z nią kłopoty.

Każdy w rodzeństwie miał swoją parę. Koziorożec – Ryby. Bliźnięta – Pannę. Waga – Byka... I tak dalej. Lecz nie to było najważniejsze.

Przed wszystkim liczyło się, że Pisces stanowiła rodzinę. Więc najpierw wyciągną

ją z tarapatów, a dopiero potem własnoręcznie uduszą.

– W takim razie, co... – Gemini urwały w pół zdania, kiedy drzwi na taras otworzyły się z trzaskiem.

– Tu jesteście! – wysapał Capri, ukazując się w wejściu. Był blady, jakby właśnie zobaczył śmierć. Z jego rozszerzonych źrenic wycierała czysta panika.

Nigdy go takim nie widziały.

– Pisces pozwoliła się złapać – wyrzuciła z siebie pospiesznie. – Ja przewidziałem... Ale ona tak szybko... i zaraz osłabła. Złapał ją ochroniarz. Drugi wyrósł nade mną. Udawał, że mnie uspokaja, ale widziałem jak ten drugi... Ale nie mogłem... – Kucnąwszy, zacisnął powieki i wyszeptał, łapiąc się za głowę: – Nie dałem rady...

– Już, już, ciii... – Poglądziły roztrzęsionego brata po włosach, kierując wzrok na milczącego ponuro Voxa.

Nie musiały zadawać pytania, a on nie musiał na nie odpowiadać. Virgo i bez tego poznałyby odpowiedź. Jak na razie jednak w głębi nieruchomych źrenic ziała pustka. Vox nie myślał o niczym, tylko zastygł w bezruchu niczym posąg. Równocześnie, jakby... nasłuchiwał. Aż wreszcie przyknuął powieki. Jedno krótkie słowo rozbłysło w jego umyśle.

Zezwolił na użycie bata.

\*\*\*

Niklas nie lubił uciekać się do takich metod, ale miał obawy, że podobna okazja już się nie powtórzy. Zresztą, nie zamierzał nikogo krzywdzić. Znał bardzo humanitarne sposoby na wyciąganie z ludzi informacji. Liczył też po cichu, że czarnowłosa ślicznotka wystraszy się na tyle, by bez dodatkowej

zachęty wyśpiewać wszystko, co wie.

Teraz leżała nieprzytomna na tylnym siedzeniu elektrycznego sedana, za połyskliwą przegrodą ekranową, która wyświetlała mapę z ich obecną lokalizacją. Na przedniej szybie widniał dokładnie ten sam obraz, a samochód jechał automatycznie, chociaż miał też wmontowaną kierownicę. Obecnie za kółkiem siedział drugi obok Marty opiekun Niklasa – ciemnoskóry Joseph.

Reinkarnant spojrział na niego spodoba. Wedle przepisów nawet w samonawigującym się pojeździe musiał zajmować miejsce pasażera, chociaż pojazd włókł się niemilosiernie. Oczywiście, nic wielkiego nie stałoby się, gdyby Nik siadł za kierownicą i zostali zatrzymani przez Straż, ale po co ryzykować stratę kilku cennych minut? Naburmuszonym czystym kierowały wyłącznie dziecięce humory.

Cholera, pomyślał, kiedy mi to wreszcie przejdzie?

Z drugiej strony rozumiał, dlaczego wirus powoli dokonywał zmian w jego mózgu, dlaczego brnął przez układ nerwowy jak mucha w smole. Po pierwsze, gdyby wtłoczono w niego wszystkie wspomnienia, całą osobowość i wiedzę Niklasa pur'Artella naraz, prawie nic nie zostałoby mu w głowie na dłużej. Po drugie, jakby nie patrzeć, jego mózg wciąż się rozwijał, kształtował, więc pełna reinkarnacja wymagała czasu. No i po trzecie, mógłby zwyczajnie nie przeżyć tak gwałtownej przemiany.

Co, niestety, nie ułatwiało mu życia jako takiego.

Właściwie, gdyby nie upór brata, chyba już dawno by się poddał. Zmienił imię, zrzekł się majątku wraz z nazwiskiem. Jednak Logan ani myślał mu odpuścić. „Znajdę

sposób” – mówił. „Wyciągnę z tych dziwadła wszystkie ich sekrety. I już nigdy nie będziesz musiał przez to przechodzić”.

A teraz nie żył, zaś jemu zostały tylko wspomnienia. I bezużyteczne nagranie z monitoringu.

Kamery uchwyciły jedynie rozedrgany cień przemykający między ludźmi. Ci nagle padali na ziemię, łapiąc się za rozorane gardła. Plamy krwi wykwitwały na mahoniowej podłodze. Tymczasem komisarz Straży Wewnętrznej zarzekł się, że chociaż Logan leżał już martwy, zdołał odbyć z nim rozmowę przez telefon.

Nic nie trzymało się kupy.

Niklas jeszcze raz spojrział na tylne siedzenie. Nie wyobrażał sobie, by czarnulka mogła być ciemnym kształtem z nagrania. Związana i nieprzytomna wyglądała całkiem bezbrinnie – niczym krucha, porcelanowa lalka.

Takie są najgorsze, zaśpiewało mu w duszy. Westchnął ciężko. Kogo miał słuchać? Siebie czy siebie?

Oszaleć od tego można.

– Joseph?

– Mhm...? – Jego dawny i zarazem obecny ochroniarz zawsze był małomówny.

Miało to swoje zalety.

– Nie rozmawiaj o tym z Martą. – Niklas zagryzł dolną wargę. Kiedy dotarło do niego, co robi, nabrał ochoty, by uderzyć się w twarz.

– Okej – przytaknął Joseph.

– Powiemy tylko, że miałem kolejną migrenę.

– Mhm.

– Zadbaj też, by ktoś odebrał ją z pałacu.

– Jasne.

To sobie pogadali...

Nik usłyszał jakichś warkot i spojrzął za

okno, ale nie dostrzegł niczego. Jednocześnie poczuł się bardzo samotny.

Rety, co mi jest? Potrząsnął głową. Jakbym się nałykał estrogeneru, przeszło mu przez myśl. Co za idiotyczny pomysł...

\*\*\*

– Zaczekajcie tutaj – wydały polecenie, zanim wróciły do budynku.

– Nie, pójdę z wami – sprzeciwił się Capri. – Chcę pomóc.

Mimo że nadal wyglądał jak trup, udało mu się zapanować nad głosem.

– Już wystarczająco pomogłeś – odparły chłodno Gemini, dodatkowo usadzając go wzrokiem.

Może zareagowały zbyt ostro, ale wołały nie tracić czasu na bezsensowne kłótnie. Prawda była prosta: jego naiwna rycerskość na nic by im się nie przydała. Musiały teraz popracować w pojedynkę.

To znaczy we dwie.

– *Raczej we troje* – poprawił je Virgo.

No tak. Tylko we troje. Nie potrzebowały nikogo więcej.

– Dokąd zabrano dziewczynę? – zapytały pierwszego napotkanego ochroniarza. – Drobna, czarnowłosa, niedawno zemdląca...

Na szczęście korytarz był pusty, a wysokiemu osiłkowi nie udało się dotknąć zegarka z komunikatorem. Gemini złapały go za gardło, nim zdążył chociażby mrugnąć, a serum prawdy już dobrą chwilę płynęło w jego żyłach.

– Nie wiem – odpowiedział półprytomnie.

Przez moment rozważały, czy nie zmusić go do wypytania reszty ochroniarzy. Szybko jednak stwierdziły, że tylko wzbudzą podejrzenia, a bez tego raczej nie będzie go kusiło,

by za parę dni opowiedzieć kolegom, jak został obezwładniony przez niższą o głowę dziewczynę.

Następny, którego znalazły, stał przy głównym wyjściu.

– Odjechała z dziecakiem – zdradził, pochwycony w sidła ich wzroku.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Kurde – sarknęły z irytacją. – A kto może wiedzieć?

Mężczyzna, marszcząc czoło, wahał się przez sekundę.

– Może jego niania?

Gemini spojrzały na ochroniarza z zaciekawieniem, a ten rozpromienił się jak dziecko, które właśnie zabyły inteligencją przed rodzicami.

– Wiem, gdzie ją znaleźć – dodał.

– Prowadź. – Bliźniaczki skinęły głową.

Niedługo później siedziały przy jednym stole z Martą Zenovic.

Wszystko w tej kobiecie było wyblakłe jak zbyt często prana koszula: płowe włosy, wodniste oczy, zmęczona twarz. Na sam jej widok serce ścisnęło się żalem.

– Panicz pur'Artell prosił...

Tak właśnie o nim myślała: „panicz”.

– ...byś dołączyła do niego na zewnątrz.

Zenovic wyglądała na zdziwioną, ale zgodziła się pójść z bliźniaczkami i ochroniarzem.

Gemini odstawiły mężczyznę przy wyjściu, każąc mu liczyć do miliona od tyłu i zapomnieć o wszystkim wraz z zerem. To nie zawsze działało, ale przynajmniej kupowało im trochę czasu. Kobiętą natomiast zajęły się tuż za progiem belwederu.

Powietrze na dworze było przyjemne. Orzeźwiający i niezbyt zimny zarazem. Inni z całych sił starała się myśleć tylko o nim.

Tylko o oddychaniu. Tymczasem Gemma trzymała Zenovic w żelaznym uścisku. Dała jej nawet chwilę na wyzbycie się wszelkich obaw. Poczekała, aż przestanie wbijać paznokcie w ich przedramiona...

Potem zadała pytanie, a kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Jeśli w tym dziecku naprawdę żyje cokolwiek z mojego Nika... to wiem, dokąd mogli pojechać.

\*\*\*

Jeżeli głębiej się zastanowić, był nie tylko klonem, ale i własnym synem. Czy wobec tego pochwalał podjętą przez siebie decyzję? Nie miał pewności. Wiedział za to, że niedługo rozboli go głowa. Od takich myśli zawsze bolała.

– Dotarłeś do celu – oznajmił komputer samochodowy. Najwyższy czas! Jechali zdecydowanie zbyt długo.

Mapa zniknęła z przedniej szyby, odsłaniając zimne wnętrze podziemnego parkingu. W przezroczystym filarze, obok którego stanęli, rozbłysło logo NucEnergi. Miniaturowa chłodnia kominowa wypuszczała obłoczek trójwymiarowej pary. Z głośników popłynął miły, kobiecy głos:

– Witaj w domu, Nik.

Może dawni współpracownicy nie traktowali go już jak szefa, może dopiero za dwanaście lat będzie mógł objąć swoje stanowisko na nowo, a oni do tego czasu wielokrotnie spróbują się go pozbyć... Lecz dla SI wciąż był jedynym panem i władcą NucEnergi. Zadał o to przed śmiercią, wgrzywając NEgi pozaoficjalną aktualizację. Można by rzec: „nielegalnego robaka”, ale przecież to był jego system.

– Witaj, Ne – powiedział, wysiadłszy

z pojazdu.

Hmm... „Nik i Ne” brzmi jak tytuł jakiejś bajki, przemknęła mu przez głowę kolejna niedorzeczna myśl.

Tymczasem Joseph stanął obok, przykładając klucz elektroniczny do tylnych drzwi samochodu. Te otworzyły się z miękkim sykiem, jednak leżąca w środku dziewczyna ani drgnęła.

Niklas cofnął się o krok, by przepuścić towarzysza. Ciemnoskóry ochroniarz zanurkował do wnętrza pojazdu. A wtedy czarnulka otworzyła oczy.

I zniknęła.

\*\*\*

Gemini od początku wiedziały, że muszą się spieszyć. Po wysłuchaniu Zenovic nabrały też pewności, co zamierzała zrobić Ryba.

Zabić.

Zabić wszystkich, którzy staną jej na drodze.

*Przecież nie istniał lepszy sposób na rozwiązywanie problemów, szydziła Gemma. Proszę państwa, oto śmierć: zbawienie duszy i lekarstwo na każdą bolączkę. Do zakupienia w najbliższym krematorium.*

Och, jakże miały ochotę przetrzepać skórę Pisces. Wygrzmocić z niej te wszystkie pokłady głupoty, które chowała pod czaszką.

– W jaki sposób możemy się tam dostać? – zapytały jeszcze Martę.

– Mam zapasowe klucze... – Kobieta wyciągnęła z eleganckiej, czarnej torebki kartę chipową i niedużego pilota.

– Dziękujemy – powiedziały, odbierając od niej przedmioty. Musiały podciągnąć sukienkę, by schować je w ukrytej na nodze szaszetce.

Gdy z powrotem uniosły głowę,

dostrzegły lzy w błękitnych oczach.

– Tęsknię za nim. – Zenovic pociągnęła nosem. – Ten malec... To nie mój Nik. To tylko dziecko... Odrażająco dorosłe, ale jednak... – Głos jej się załamał.

Inni delikatnie pogadziła policzek kobiety. Musnęła wargami słone usta, przytknęła czoło do czoła.

– Odejdź – wyszeptła bez udziału Gemmy. – Pogódź się ze stratą i odejdź.

Blondynka powoli skinęła głową.

– Odejdę – powiedziała.

I tak też zrobiła.

Nie wróciła już do belwederu, tylko ruszyła ku trzymetrowej, kutej bramie. A tam jak spod ziemi wyrósł niewysoki normal w białym stroju – chłopiec parkingowy.

Bliźniaczki nie pozwoliły mu zatrzymać Marty.

– Ty, chodź tu – rozkazały, machając na niego ręką i dziękując losowi za pychę Nieskałanych. Większość nowoczesnych samochodów mogła zaparkować się sama, więc do nadzoru parkingu starczyłby zwykły automat.

Ale ludzie lubili, kiedy inni ludzie im usługiwali.

– Cicho. – Gemma dotknęła szyi chłopaka, kiedy ten już otwierał usta.

Słowa momentalnie uwięzły mu w gardle.

– Podstaw najszybszą – ciągnęły razem – najwściekleszą maszynę, jaką masz do dyspozycji.

Normal pobiegł wykonać polecenie, a one zastanowiły się, czy mówić cokolwiek Voxowi. Lepiej nie, postanowiły. Zastępca ojca mógłby się nie zgodzić, by same ruszały w pogoń. Najwyżej powiedzą później, że skoro pozwolili im działać, to działały.

Virgo nie skomentował tej decyzji. Jego milczenie zaczynało martwić bliźniaczki, ale

pomruk silnika nagle odwrócił ich uwagę.

– *O nie...* – Inni na widok maszyny, którą podstawił parkingowy, zrobiło się słabo.

Gemma za to uśmiechała się w myślach, gdy odebrawszy kask od chłopaka, wsiały na smukły pojazd.

– Będę prowadzić.

– *Dobrze, tylko uwa...*

Czarny chopper ruszył z piskiem opon.

– Wolniej, wolniej! – krzyczała Inni, lecz na przekór niej Gemma jeszcze dodała gazu.

Ich sukienka zafurkotała na wietrze. To zdecydowanie nie był najlepszy strój do jazdy na motocyklu. Cóż, przynajmniej pantofle miały na płaskim obcasie.

– *Włącz nawigację* – poleciła siostrze Gemma.

Po chwili ich e-kulary wyświetliły ścieżkę ze strzałek i informację, ile kilometrów zostało do celu. W takim tempie powinny bez problemu dogonić pur'Artella. To znaczyło również, że chopper musiał być zhakowany. Wszelkie blokady prędkości instalowane w pojazdach miejskich po prostu w nim nie działały.

Bliźnięta mogły gnać na złamanie karku.

\*\*\*

Otworzył usta do krzyku. Wszystko działało się tak szybko. Czarnulka zniknęła z samochodu, nagle pojawiła się za plecami Josepha. Białe kły załśniły w uśmiechu. Coś mignęło srebrzyście.

– Stój! – Rozkaz odbił się od ścian i sklepienia podziemi.

Jakby kilka głosów wypowiedziało go jednocześnie.

\*\*\*

Dzięki chopperowi nie tylko dogoniły pur'Artella. One go przegoniły.

Przez chwilę bały się nawet, że Marta źle przewidziała ruchy podopiecznego. Potem szlaban parkingowy zaczął się unosić, a Gemini ledwo zdążyły ukryć motocykl.

– Witaj w domu, Nik.

– Witaj, Ne.

„*Nik i Ne...*”, odczytał Virgo.

Drzwi samochodu odsunęły się bezgłośnie. Ryba włączyła ślepowidzenie, rzucając się z pazurami na ochroniarza.

– Stój! – wykrzyczały z całych płuc bliźniaczki.

Siostra zamarła w miejscu. Jej metalowe pazury zawisły o włos od tętnicy szyjnej mężczyzny. Reinkarnat patrzył na to wszystko zognionymi oczami.

– Stój, nie ruszaj się, ani drgnij – powtarzały rozkazy bliźniaczki, wychodząc z cienia, aż chwyciły Pisces za kark. – A teraz opuść rękę.

Ryba wykonała polecenie.

– Nienawidzę was – wyszczała głosem Hare. – Przeszkodziłyście mi...

– Tak, tak, wiemy. Kiedy łowisz ryby, królik rucha cię w dupę. Czy jakoś tak. Mało eleganckie rozwiązanie, nie uważasz?

Kliknięcie odbezpieczanej broni przeszkodziło Pisces w odpowiedzi. Ochroniarz wycelował glocka prosto między jej oczy.

– Ręce do góry albo strzelam – rzucił nieco bełkotliwie. Dłonie mu się trzęsły.

Nielatwo było sprzeciwić się rozkazom Gemini. Nawet takim niebezpośrednim.

– Jeśli podniesiemy ręce, ona będzie wolna. – Wskazały brodą na Pisces. – Naprawdę tego chcesz?

Mężczyzna zawahał się, spoglądając w czarne oczy Ryby. Bliźniaczki wykorzystały ten moment, by wyskoczyć do przodu i chwycić rękę z bronią.

Glock wystrzelił, ale był już wycelowany gdzie inaczej. Pocisk z głuchym łoskotem wbił się w ścianę.

– Zaśnij...

Ochroniarz, wiotcząc jak szmaciana lalka, upadł na ziemię. Gemini powiodły spojrzeniem od niego do trzymanej za szyję siostry. Kiedy Ryba również zmiękła, skierowały wzrok na szykującego się do ucieczki sześciolatka.

– Teraz twoja kolej, Nik – wymruczały, spoglądając za biegnącym dzieckiem.

Nie musiały nawet przyspieszać, by go złapać. Po paru krokach sam się przewrócił, a chwilę później leżał już obok pozostałych.

Wtedy też bliźniaczki zaczęły się spierać.

– *Nie możemy tego zrobić dziecku...* – protestowała Inni.

– *To nie jest dziecko* – odmyślała stanowczo Gemma.

– *Ale...*

– *Do diabła, li, on ma wspomnienia sprzed ponad stu lat! Zresztą wiesz, że Ryba nie dała nam wyboru.*

Virgo też to wiedział. Wprawdzie w podziemiach miał bardzo słaby odbiór – z głowy reinkarnanta wyłowił tylko jakieś strzępy, myśli Pisces w ogóle nie był w stanie odczytać, a ruch ochroniarza wyczuł zdecydowanie za późno – jednak sytuacja była dla niego jasna. Zatuszowanie tego wszystkiego przekraczało możliwości Gemini. Mimo młodego wieku Niklas pur'Artell był wysoce odporny na ich czar. Nawet teraz Virgo czuł, że chłopiec ocknie się najwcześniej z trójki. No i jak dotąd nie udało mu się znaleźć niczego, co mogłoby skłonić reinkarnanta

do rezygnacji ze swoich zamiarów.

Ogólnie rzecz biorąc, albo one musiały zniknąć, albo dzieciak. Najlepiej tak, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń. A przecież nikogo nie powinno dziwić, jeśli coś zepsuje się w głowie reinkarnanta. Ot, wirus źle połączy kabelki i tragedia gotowa.

Czyste rozwiązanie godne Nieskalanego.

– Odwróć wzrok, Ii – wyszeptwała Gemma, przejmując kontrolę nad całym ciałem.

Czasami zwracała się tak do niej w dzieciństwie, kiedy ojciec przeprowadzał swoje testy. Inni miała kryjówkę wewnątrz podzielonego umysłu – nie widziała stamtąd ani nie słyszała, co działo się z obiektami doświadczalnymi.

Gemma nigdy nie doznała tego luksusu. Zwyczajnie nie potrafiła „odwrócić wzroku”.

– To nie będzie trwało długo – obiecała.

\*\*\*

Niklas uniósł ociężałe powieki. Kręciło mu się w głowie. Jego świat kurczył się do dwóch rozedrganych punkcików. Jasnego i ciemnego.

Dopiero po chwili zorientował się, że to oczy.

– Czujesz, jak oddychasz – usłyszał. – Wdech i... wydech. Wciągasz i wypuszczasz powietrze. Twoja klatka piersiowa unosi się i opada. Myślisz o każdym oddechu. To powoduje takie dokuczliwe uczucie, prawda? Świadomość oddychania. Jakby proste stwierdzenie faktu potrafiło rozsynchronizować tak skomplikowaną maszynę, jaką jest twój organizm. Rozumiesz, o czym mówię?

Z trudem przełknął ślinę. Nagle ścisnęło go w piersi.

– Czujesz to? Czujesz, jak twoje nozdrza rozszerzają się, wciągając powietrze? Jak

wypełniają się płuca jeszcze nie w bolesny, ale już w namacalny, nieprzyjemny sposób? Spokojnie, to tylko złudzenie. Weź głęboki wdech i zrób powolny wydech... Znowu wdech... Wstrzymaj powietrze... I wydech. A teraz bądź tak miły i zapomnij...

Zapomnij, jak się oddycha.

\*\*\*

Inni kuliła się w ciemności.

Teoretycznie nie odbierała żadnych bodźców. Problem w tym, że nie musiała. Dobrze wiedziała, co działo się wokół niej. Słyszała w myślach łomot, czuła odległy smród moczu. Skrobanie paznokci, odór śmierci. Nie potrafiła zapomnieć strzaskanej twarzy. Wybałuszonych oczu, zmiażdżonego nosa i czerwonych, wyszczerzonych zębów. Nie umiała zmyć śladów krwi.

Znów była małą, bezsilną dziewczynką. Znów pograżała się w czarnej rozpacz, próbując zmusić braciszka, by ożył, by zaczął na powrót oddychać. Przytulała go do piersi, wsączając w żyły adrenalinę i płakała. Płakała, bo to nic nie dawało.

Poprzedni Virgo umarł.

– *Więc jednak się domyśliłyście.*

Inni uczepliła się głosu brata jak liny. Jakby mozolnie wygrzebywała się z bagna.

– *Tylko ja...*

– *Od kiedy?*

– *Nie wiem.*

Chyba nigdy nie pomyślała o tym wprost. Zwyczajnie w głębi serca czuła, że jej drugi braciszek umarł tam, pod łóżkiem, gdzie kryły się potwory.

– *Tylko że potworem okazałyśmy się my.*

– *Nie – zaprzeczył Virgo. – Nie tylko wy...*

W przeciwieństwie do Gemini nie byli bliźniętami. Byli jednym: nadajnikiem

i odbiornikiem, umysłem i ciałem. Nie istniał żaden poprzedni Virgo.

Od początku był wyłącznie on.

I to on doprowadził do wypadku. Zagłębił się w najmroczniejszych sekretach Gemmy, wyciągnął najczarniejsze z jej koszmarów na powierzchnię. *Jesteś tą gorszą, tą niegrzeczną, szeptał złośliwie. Nikt cię nie pokocha, skoro sprawiasz tylko kłopoty. Sama nie umiesz kochać. Przez to kiedyś zranisz tatę, zranisz siostrę... W końcu zranisz mnie.*

– Nie! Siedz cicho! – pisała czterolatka. – Nic nie mów, nawet nie oddychaj!

Zatem nie było żadnego „w końcu”. Było teraz, już. Dwa słowa wystarczyły, by stworzone do odbierania rozkazów ciało przestało funkcjonować. Część Virgo uduśliła się w mękach, lecz druga część wciąż żyła. Zupełnie sama, bez oczu, uszu i czucia, jak po drastycznej amputacji, w której traciło się całe ciało i połowę duszy. Zostało jedynie zamknięte w bezużytecznej powłoce „ja”.

– Rozumiesz, Inni? Zawsze wyglądałem tak, jak teraz. Nie ma w tym waszej winy. Możecie odejść. Przecież tylko to was powstrzymywało... A nawet nie wiedziałyście, kim jestem.

– *Wiedziałyśmy* – pomyślała Inni. – *Jesteś rodziną. Nie opuszcza się rodziny.*

– *Ani nie zmusza się jej do zostania.*

Na to nie miała odpowiedzi. Milczała, a czas nieubłaganie leciał.

– *Ona też cierpi, Inni. Też nie chce tego robić... Tak mocno czują jej ból. Jest nie do zniesienia, ale ona go jakoś wytrzymuje. I wiesz, że potem nic nam nie powie. Ale ja nie chcę, żeby więcej cierpiała. Nie chcę jej zostawiać samej.*

Przecież Gemma też jest rodziną.

\*\*\*

W paradoksie bliźniąt jedno starzeje się szybciej niż drugie. Wynika to z błędnego założenia, że ich układy nie są równoważne.

Tyle że w przypadku Gemini rzeczywistość nie do końca była. Wbrew wszelkim pozorom Inni żyła nieco dłużej od Gemmy. Była tą starszą; tą, która wybudziła się pierwsza. I mogła kontrolować siostrę. Od dzieciństwa pilnowała się jednak, by tego nie robić.

Aż do teraz.

– Przypomnij sobie! – krzyknęła, potrząsając chłopcem. – Oddychaj!

Sześciolatek zacharczał, zwijając się w kłębek. Miał sine usta i wywrócone oczy, ale jakimś cudem nie stracił jeszcze przytomności. Walczył z rozkazem Gemmy, rzucał się niemrawo. Po którymś razie w końcu sobie przypomniał i zaczerpnął oddechu. Zaraz potem zwymiotował na podłogę.

Wciągając spazmatycznie powietrze, rozplakał się jak małe dziecko, którym przecież był.

– Patrz na mnie! – Inni klepnęła go w twarz. – Patrz!

Patrzył szklistym wzrokiem.

– Wiesz, kim jestem?

Potaknął.

– Boisz się?

Skinął jeszcze gorliwiej.

– Dobrze, zapamiętaj jedno. To wszystko moja wina. Moja. Zabiłam twój brata, ciebie też próbowałam zabić. Oszukać. Kłamałam, że jesteście dwie. Traktowałam cię jak głupie dziecko. Teraz bawię się z tobą w chowanego. Szukaj mnie. Tylko pamiętaj, że nie jestem już w Zodiakach. Uciekłam. Narobiłam bałaganu, wepchnęłam ci fałszywe wspomnienie do głowy i uciekłam.

Niczego nie możesz być pewien.

– Niczego – wymamrotał, ocierając smarki spod nosa i zemdlął z nieprzytomnym uśmiechem na ustach.

Między jego okrwawionymi zębami widniała urocza szczerba.

\*\*\*

Na koniec musiała zająć się ochroniarzem, a ten nie należał do rozmownych, więc minęło trochę czasu, zanim nabrała pewności, że niczego nie pamiętał. Potem trzeba było jeszcze ocucić Rybę i zabrać ją w bezpieczne miejsce. Koniec końców zaczynało już świtać, gdy dotarły pod wieżę Zodiaks Inc.

– Mamy prośbę – powiedziała do zsiadającej z motocyklu Pisces, tak by nie zdradzać, że działała na własną rękę.

– To coś nowego – siostra parsknęła kpiąco. – Znudziło się wam dyrygowanie ludźmi?

Inni nie odpowiedziały. Patrzyła tylko bez złości, aż cisza zaczęła być przytłaczająca.

– No, dobra. – Pisces wzruszyła ramionami. – Czego chcecie?

– Żebyś wydrapała coś swoimi pazurami.

Ryba zmarszczyła brwi.

– Chyba nie macie na myśli...

*Tak, Pi. Chodzi o mnie* – przesłał Virgo. Na krótką odległość od wieży mógł też nadawać, nie tylko odbierać myśli.

– Daj nam chwilę – poprosiła jeszcze Inni.

Pierwszy raz w życiu nie potrafiła powiedzieć, co mogło się dziać w umyśle siostry. Gemma nie odezwała się ani słowem, od kiedy starsza siostra przejęła kontrolę.

– *Przejdzie jej* – pocieszał braciszek.

– *Mam nadzieję* – odmyślała.

Potem delikatnie pogładziła neurotranponder. Wymacała cieniutki kabel, który wił się pomiędzy włosami aż do ukrytej pod potylicą wszczepki.

– *Wrócimy po ciebie* – obiecała.

– *Wiem.*

Rozdzielił swoje myśli.

– Kocham cię, Inni.

– Kocham cię, Gemmo.

– *My ciebie też, Virgo...*

O dziwo, nie był w stanie określić, która z siostr odpowiedziała. Potem już tylko patrzył ich oczami. Widział, jak Pisces unosi zakończone metalowymi pazurami palce. Jak Bliźnięta pochylają głowę, odgarniając włosy. Aż wreszcie poczuł delikatne ukłucie bólu.

I został całkiem sam.

■ MAGDALENA KUCENTY

# Cichy błękit

Autor: Karolina Fedyk

Ilustrator: Elżbieta Głowacka

Bariera wznosiła się wokół jeziora. Krajobraz rozmywał się w półprzezroczystym plastiku, tworząc smugi: czerni, błękit, złoto. Ich brzegi przyjmowały kształt zgodny z teksturą tworzywa. Z zewnątrz nie dało się dostrzec tafli wody, porastających brzeg drzew ani półksiężycy plaży. Nad barierą zamykała się kopuła z siatki przezroczystych nici, o obecności których przypominały tylko spływające po ich zewnętrznej stronie iskry wyładowań.

Farid zatrzymał się. Na ten znajomy widok zakłuło go w sercu, jakby zebra stały się nagle zbyt ciasne. Opuścił to miejsce rok temu i nie wiedział, co zastanie, wracając – lecz spodziewał się większych zmian, podobnych do tych, które zaszły w nim. Okolica wydawała się zamrożona w czasie i Farid nie miał wątpliwości, że trzyma ją w ryzach właśnie bariera.

Odczekał, aż ucisk w piersi osłabnie. Poprawił szelki plecaka i zszedł z wybetonowanego peronu. Budka zawiadawcy stacji od lat stała pusta, a turystyczne pociągi od dawna nie kursowały. Można było liczyć co najwyżej na pojedyncze miejsca w wagonach pracowniczych taborów towarowych. Farid był dziś jedynym podróżnym. Wyminął napis z nazwą stacji i odnalazł wydeptaną w trawie ścieżkę. Jego buty szybko stały się mokre od wieczornej rosy.

Zapomniał nakręcić zegarek i wskazówki zamarły na wpół do siódmej, choć o tej

godzinie pociąg dopiero opuszczał stację. Niebo nad horyzontem wciąż złościła luna słońca, które o tej porze roku nigdy tak naprawdę nie zachodziło. Światło sączyło się w chłodny błękit, na którym wisiał błądy księżyc. Blask nie docierał tylko do wschodniego krańca widnokregu, gdzie jarzyła się kolejna burza. Powietrze smakowało żywicą.

Farid szedł skrajem wycinki. Księżyc na niebie nabierał ostrości; musiała dochodzić północ. W sennym lesie poza jego krokami słychać było tylko odległy trzask iskier. Siatka nad jeziorem zdawała się płonąć. Przezroczyste nici zmieniły się w kopułę białego ognia. Farid znów poczuł ukłucie w sercu. Przez chwilę był gotów błąkać się wśród drzew tylko po to, by odwlec moment powrotu do rodziny, ale zszedł prosto do osady.

Jego dom znajdował się przy drodze, bliżej stacji niż jeziora. Farid nacisnął klamkę i wszedł w półmrok sieni.

– Farid? Wróciłeś?

Chciał odpowiedzieć, że tak, że to on, ale ucisk w piersi powrócił, silniejszy niż poprzednio. Farid przełknął łzy. Miał dwadzieścia lat. Nie dawał już sobie prawa do takich wzruszeń.

Podczas gdy trwał w bezruchu, dom ożył: rodzina zebrała się w sieni. Pomiędzy uściskami Faridowi udało się zdjąć plecak, kurtkę i buty. Przez chwilę szukał kapci, ale te zniknęły ze swojego zwyczajowego miejsca.

– Czekaliśmy na ciebie. – Matka złapała go za rękę, prowadząc w stronę salonu. Farid z niepokojem przyjrzał się jej krągłej twarzy o obwisłych policzkach i drobnych, lecz przenikliwych oczach. Zmieniła się? W tak skąpym świetle nie mógł tego stwierdzić.

Ktoś zapalił lampy naftowe. Zaczęto przynosić jedzenie. Na ten widok Farid przypomniał sobie, że od jego poprzedniego posiłku minęły długie godziny. Usiadł na skraju kanapy i sięgnął po chleb. Zdołał przelknąć dwa kęsy, nim zaczęły się pytania.

– No i jak tam jest? Jak ci się studiuje?

– To prawda, że niektóre miasta zupełnie opustoszały?

– Jak twoje oczy?

Odruchowo poprawił okulary. Szkła nie były dobrane do jego wady – ale na lepsze nie mógł teraz liczyć.

– Wszystko dobrze. – Uśmiechnął się do rodziny.

– Jak długo zostaniesz?

– Czy czegoś ci brakuje?

– Jutro cię zmierzmy, przyda ci się nowy płaszcz.

– Ahti Korhonen o ciebie ostatnio pytał.

– Często się, na uczelni na pewno nie karmią cię dobrze. Heikki przyniósł nam zajęcia.

Napięcie stopniowo ustępowało, gdy krewni upewniali się, że to wciąż on, że rok spędzony z dala od domu nie zmienił go tak bardzo. „Wróciłeś?”. Nie miał serca przypominać, że to będzie krótki powrót – do pierwszego sierpniowego pociągu.

Gdy przebywał w mieście, listy od rodziny przychodziły nieregularnie, zależnie od kursów pociągów z północy: kulfony najmłodszego kuzyna, eleganckie, starannie kaligrafowane opowieści Zahry, lakoniczne notki od rodziców przyczepione

do pakunków z jedzeniem. Farid zawsze odpisywał, niczego nie ukrywając, mimo narastającego poczucia frustracji, że choćby pisał codziennie, dystans między nim a bliskimi będzie rósł. Miasto było przerażające – tego nie dało się zawrzeć w liście.

Zahra rozumiała go najlepiej. W swoich listach opisywała mu na nowo to, co sam jej chciał powiedzieć, znajdując słowa, które jemu się wymknęły. Wyczytywała między wierszami najważniejsze, ale Farid wątpił, by dzieliła się tym z rodziną. Teraz też słuchała go cierpliwie, jakby nie cytował jej własnych słów. Tylko w oczach siostry tliło się rozbawienie. Albo rozczulenie? Nie miał czasu się zastanowić, dzieląc uwagę między stęsknionych bliskich.

W końcu ochryplą, a zmęczenie uderzyło w niego ze zdwojoną siłą.

– Muszę odpocząć. – Zaczął wstawać od stołu. Życzenia dobrej nocy zajęły następne dziesięć minut. Wreszcie Farid podniósł rzucony w kąt plecak i skierował się ku schodom. Wróciła niepewność. Chyba wolałby pokój gościnny od swojej starej sypialni na poddaszu.

Dopiero u szczytu schodów zorientował się, że jego krokom towarzyszyły inne, cichsze. Odwrócił się. Kilka stopni niżej stała właśnie Zahra. Wbiła w niego poważne spojrzenie.

– Dlaczego za mną idziesz?

Wzruszyła ramionami. Farid powtórzył ten gest i pchnął drzwi do swojego pokoju.

– Ahti o ciebie pytał.

– Wiem. Usłyszałem za pierwszym razem.

Wciąż czekała na schodach. Farid zmierzył ją niechętnym spojrzeniem. Z jej twarzy znikł wcześniejszy upór.

– Dobranoc – powiedziała i odeszła.

Farid odetchnął głęboko.

„Ahti o ciebie pytał”  
Oczywiście.

\*\*\*

– Wstawaj – obudziła go rano Zahra. –  
Idziemy za barierę.

Czekała już ubrana w roboczy kombinizon. Włosy spięła w kok, odsłaniając odziedziczone po matce okrągłe policzki. Po ojcu Zahra otrzymała arystokratyczny nos i brwi jak pociągnięcia pędzlem do kaligrafii. Podobieństwo między nią a rodzicami stawało się z roku na rok coraz bardziej wyraźne.

Rodzeństwo w milczeniu wypilo kawę. Zahra zaczęła mówić dopiero na zewnątrz, gdy oddalili się od domu i zbliżyli się do bariery.

– Dobrze, że jesteś. – Wduśła przyciski w zamku szyfrującym, topornym i ciężkim jak cała reszta ocalałego sprzętu. – Tęskniliśmy.

– Ja też – odparł.

Rzuciła mu długie spojrzenie.

– Nie tak, jak my – powiedziała łagodnie. – Zrozum. Stąd się nie odjeżdża. Większość ludzi myśli, że nie ma po co. Tęskniliśmy – powtórzyła z naciskiem – bo musieliśmy odchorować twoją nieobecność. I to, że w ogóle była możliwa.

Popchnęła bramę ramieniem. Oboje weszli za barierę, zatraskując wejście za sobą. Nie po raz pierwszy Faridowi przyszło do głowy, że jeśli stary mechanizm zamka nie wytrzyma próby czasu, mogliby zostać na zawsze pod kopułą, bezpieczni z dala od reszty świata.

– Ale przecież wróciłem – podjął, gdy Zahra wpisała ich imiona, datę i godzinę do zeszytu ukrytego w budce strażniczej.

– Teraz wróciłeś. A gdy skończysz studia, czy będziesz miał po co wracać?

– Przecież po to się uczę.

Uśmiechnęła się smutno, jakby chciała stwierdzić: teraz tak mówisz.

Nic nie odpowiedział. Za barierą rozciągał się odmienny świat, choć krajobraz pozostawał ten sam. Ale dźwięki były inne. Znad jeziora dobiegało tęskne nawoływanie gęsi. Gdy Farid się wśluchał, wyłowił też odgłosy innych ptaków.

Po wewnętrznej stronie bariery niebo było ciche.

Zahra schowała dłonie w kieszeniach kombinezonu i zapatrzyła się na pejzaż wewnątrz rezerwatu.

– Baliśmy się trochę o to nasze stado, zima była wyjątkowo paskudna. Trzeba było je zamykać w ogrzewanej szopie. – Machnęła ręką w stronę budynku na skraju lasu. – Ahtiemu udało się zagonić wszystkie poza dwiema. Ale liczymy na pisklęta.

O tym Farid wiedział już z listów. Chciał jednak usłyszeć to raz jeszcze od siostry, widząc blask w jej oczach. Jak oni wszyscy, widziała w opiece nad stadem zadanie dużo większe i ważniejsze, niż mogło się wydawać: chroniła gatunek przed zagładą.

– Kiedyś przestaną się mieścić w obrębie bariery.

Parsknęła.

– Chciałabym mieć taki problem.

– Daj im jeszcze kilka pokoleń.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

Gdy nadeszła apokalipsa pod postacią cichych burz, które uczyniły pole elektromagnetyczne Ziemi niestabilnym, wydawało się, że to ludzie ucierpieli najbardziej. Po impulsach Courtillota, rejestrowanych każdego dnia, płonęły elektrownie, a komputery i sprzęty domowe stały się

w najlepszym razie nieprzydatne, w najgorszym – śmiertelnie groźne. Obietnice przyszłości miały pozostać tylko obietnicami. Na początku nie mówiono o niczym innym, jak o straconych technologiach. Aż ktoś podniósł głowę do góry i zauważył: niebo opustoszało i ucichło.

Nieobecność ptaków wędrownych – i ich osiadłych krewnych – przestała być zagadką, gdy na odległych krańcach świata morza zaczęły wypływać na brzegi martwe stada. Tory ich lotów, zamiast prowadzić do bezpiecznych zimowisk, chaotycznie oplotły planety. Europejskie bociany wyłowiono w Nowej Zelandii. Niektóre gatunki jaskółek i gołębi zniknęły zupełnie. Gdy rzucono się budować rezerwy pod siatkami Faradaya, było już za późno, by powstrzymać katastrofę ekologiczną, ale jeszcze można było ją spowolnić. Nie wszystko przepadło, pocieszano się – owady uratowała szybka przemiana pokoleń i korzystne mutacje. Populacje pszczół i bąków najpierw gwałtownie się skurczyły, potem jednak zaczęły stawać się coraz liczniejsze. Może i ptaki mogły się zaadaptować.

Lapinlahti wybrano na rezerwat ze względu na odległość od ośrodków miejskich. Podobno było bezpieczne.

Zahra przerwała ciszę:

– Zostajemy tu jeszcze na trochę?

Skinął głową.

– Zostańmy. Brakowało mi tego.

– Uppsala musi być zupełnie inna.

– Jest. – Słowa Zahry sprawiły, że rozwiązał mu się język: – Jest... groźna. Przez pierwsze tygodnie bałem się, że ktoś się włamie do akademika, próbując zdobyć cokolwiek, co będzie nadawało się do spalania. Jakikolwiek źródło energii. Gdy przychodziłem na uczelnię, musiałem

się legitymować. Po korytarzach chodzili strażnicy. A i tak miałem wrażenie, że byłiby bezradni wobec band grasujących po mieście.

– Ale ludzie wciąż tam mieszkają.

– Tak. Mieszkają. Gdzie mieliby pójść?

Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Mnie jest dobrze tu, w dziczcy.

Wcale nie jest ci tu dobrze, pomyślał Farid. Czytałem twoje listy.

– Jacy są ci ludzie? Ci, którzy nie chcą zostawić miasta? – zapytała.

Zawahał się.

– Nie znam ich wielu. Właściwie tylko innych studentów. Reszta musi być bardzo uparta. Widziałem szklarnie, które ludzie budują na dachach i balkonach. Niektórzy kombinują z panelami słonecznymi. Czasem to się kończy pożarami, ale próbują i tak.

Pokiwała głową.

– Nawet jeśli to trochę beznadziejnie?

– Nawet.

– Więc nie różnią się tak bardzo od was i waszego uniwersytetu.

Nie był pewien, czy potraktować to jako komplement, czy wręcz przeciwnie. Jednak nim zdołał się odezwać, odeszła w stronę jeziora, poprawiając kok. Farid już chciał ruszyć za nią, gdy usłyszał zgrzyt bramy.

Ahti Korhonen wniósł za barierę dwa plastikowe wiadra i zamknął za sobą bramę. Otrzepał ręce o kombinezon. Dopiero wtedy podniósł wzrok. Farid zorientował się, że nie miał dokąd uciekać. Rozejrzał się za Zahrą, ale ta zniknęła już wśród drzew. W pierwszym odruchu oskarżył ją w myślach o ukartowanie tego spotkania, choć sam powinien był wiedzieć – tylko jedna osoba mogła tu przyjść o tej porze. Osoba, której najbardziej ze wszystkich zależało na mieszkańcach rezerwatu.

– Dobrze cię widzieć, Ahti.

W odpowiedzi chłopak uśmiechnął się. Powoli, z niedowierzaniem.

– Ciebie też. Nie spodziewałem się.

– Nie tak łatwo było dostać się na pociąg.

Ahti zerknął na niego z ukosa. Nie skomentował.

– Chodź, pomożesz mi. – Wcisnął

Faridowi do rąk wiadro wypełnione zbożem.

– I pokażę ci mój nowy patent.

Farid podążył za nim.

Ahti szedł przodem, wskazując nową ścieżkę. Cały czas mówił o zmianach w rezerwach, tak jakby oprowadzał po nim nowego pracownika – na którego ani przez chwilę nie patrzył wprost.

– ...więc postanowiłem je znakować – zakończył, sycząc głośno i stawiając wiadro pod ścianą szopy. – Udało mi się opracować obrączki, które rozszerzają się w miarę wzrostu zwierzęcia. Co prawda wymaga to częstych wizyt na wysypiskach, ale cóż. – Rozłożył ręce. U lewej dłoni brakowało jednego palca. To przypomniało Faridowi, że dla Ahtiego także minął rok.

Przeniósł wzrok z okaleczonej dłoni na jezioro.

– Mogę zobaczyć? – zapytał.

Ahti wygrzebał z kieszeni swój wynalazek i rzucił go Faridowi. Ten obejrzał konstrukcję: dwa wycięte z gumy paski, połączone mechanizmem podobnym do szelki.

– Czytałem o czymś, co miało podobny cel. – Farid uśmiechnął się do swojego wspomnienia, sprawdzając wytrzymałość obrączki. – Ale zamiast montować znaczniki na zewnętrznych powłokach ciała, wszczepiano zwierzętom chipy. Dzięki temu można było je nie tylko identyfikować, ale i śledzić...

Podniósł oczy na Ahtiego. Chłopak zdawał się w ogóle go nie słuchać.

– Ahti?

Zawołany niechętnie odwzajemnił spojrzenie.

– Po co mi o tym mówisz? – zapytał wreszcie.

Farid otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Po co? – powtórzył Ahti, tym razem głośniej. – I tak nie będę mógł z tego skorzystać. Nie mogę nawet pomarzyć. Mogę co najwyżej grzebać w śmieciach jak ostatni matole, starając się nie pamiętać o tym, że kiedyś ten problem został rozwiązany przez sztab naukowców, dużo bardziej elegancko, niż mi kiedykolwiek się uda.

Farida zatkało.

– To nie tak, Ahti.

Wąskie oczy Korhonena zamieniły się w dwie szparki.

– Więc? Zajmujecie się czymś więcej niż nostalgiczną masturbacją czy tylko wdychacie do dawnych czasów?

Farid mimowolnie zacisnął dłonie w pięści.

– I dziwisz się, że nie zapowiedziałem ci swojego przyjazdu?

Ahti poblądł, zrobił krok do tyłu. Sięgnął po wiadro i wniósł je do szopy. Rozległ się suchy szelest przesypywanych ziaren.

Farid podniósł drugie wiadro. Zatrzymał się z nim na progu. Wpadające do środka światło obrysowywało ramiona Ahtiego, nadawało ciekawszy odcień jego zwyczajnym, mysim włosom. Piskłeta kolebały się wokół niego.

Farid odruchowo pomyślał o eksperymencie Lorentza, wspominając długie godziny w bibliotece i lekturę zapisków z doświadczenia. Odkrycie tego, jak wdrukowuje się kontakt z pierwszym opiekunem – odcisk, który zostaje w umyśle na zawsze.

Patrząc na podążające za Ahtim gęsi, zrozumiał, jaką władzę daje to pracownikom rezerwatu. Zwierzęta ufały im zupełnie. Zostały nie tyle udomowione, co uzależnione od ludzi.

A przecież Lorentz nie odkrył niczego nowego – odezwał się głosik z tyłu głowy Farida. Też poszedłbyś za Ahtim, choćby w ogień. Nie łudź się, że ci przeszło.

Farid opuścił głowę, próbując powstrzymać niechciane myśli.

– Pokaż mi, jak montuje się te obrączki.

\*\*\*

– Ahti?

Chłopak wypuścił ostatnie zaobrączkowane piśkłę. Zapisał jego numer w notesie, schował ołówek do kieszeni. Dopiero wtedy odpowiedział:

– Tak?

– Co ci się stało?

Ahti skrzywił wargi w ironicznym uśmiešku, który uwypuklał ostre rysy twarzy: szpiczasty podbródek, wąski nos, linie kości policzkowych.

– To masz na myśli? – Uniósł lewą dłoń.

– Nic takiego.

Farid wpatrywał się w niego uporczywie, lecz Ahti tylko wzruszył ramionami.

– Dostaliśmy cynk, że będą przesu-kiwać okolicę. Musieliśmy w środku nocy zbierać wnyki. Nie wszystko poszło gładko.

– Pokazał zęby w kolejnym niewesołym uśmiechu.

– Ale nie złapali nikogo od nas?

– Coś ty. – Sarkazm zastąpiła duma.

Farid wahał się przez chwilę, po czym uznał, że jeśli chciał dostać szczerą odpowiedź, lepiej zrobi, pytając Ahtiego niż rodziców.

– Czy... obcięli racje dla pracowników rezerwatu?

– Nie. Ale ileż można jeść przetworzone zboża i soję?

– Ahti...

– A ten zając na twój przyjazd, to jak myślisz, skąd się wzięł?

Farid opuścił głowę. Wiedział. Wszyscy wiedzieli: pracownicy rezerwatu, ich rodziny, patrolujące okolicę strażę. Klusownictwo było wykroczeniem nie tylko przeciw przyrodzie; godziło w całą społeczność. Tych, których przyłapano, karano bez litości. Faunę traktowano jak wspólne dobro i pamiętkę lepszych czasów. Ahti wyjął oówek z kieszeni i zaczął ogryzać końcówkę.

– Chodź. Nie mamy po co tu siedzieć. Pewnie już za tobą tęsknią.

Farid westchnął, podniósł się z trawy i otrzepał spodnie. Nie odpowiedział na zaczepkę. Nie tylko Ahti miał przywilej ignorowania rzeczy, których nie chciał słyszeć.

\*\*\*

Z łatwością wrócił do rytmu dnia w Lapinlahti. Po tygodniu Uppsala wydawała się odległym mirażem, czymś, co przytrafiło się jakiemuś innemu Faridowi. Ten Farid, którym był teraz, budził się wcześniej i po obchodzie rezerwatu szedł kupować od sąsiadów świeże mleko. Później pomagał suszyć i układać drewno na opał, wybierać miód z uli, reperować budynki w gospodarstwie. Życie wróciło na swój właściwy tor. Było jak dawniej.

Tyle że nie.

Zahra to rozumiała, lecz miała dość taktu, by nie poruszać tego tematu – nawet gdy rozmawiała z Faridem na osobności. Inni



zdawali się nie dostrzegać tego, jak Farid i Ahti unikają swojego towarzystwa. Niczego się nie domyślali. Bo i skąd?

Faridowi czasem się zdawało, że czuje na sobie spojrzenie wąskich oczu Ahtiego. Tamten pewnie by zaprzeczył: po prostu wyśmiałyby Farida i wprawił go w zażenowanie, że w ogóle potraktował tak trywialną rzecz poważnie. Taki był Ahti – zaprzeczał wszystkiemu, co mu się nie podobało. O Uppsälę nie pytał nigdy. Minione lato według Ahtiego zapewne się nie wydarzyło.

Ale kiedy powiedział: „jest coś, co powinieneś zobaczyć”, serce Farida zatrzymało się na chwilę.

Ahti unióś brew, jakby to wyczuł.

– Dziś późnym popołudniem – dodał.

Był taki fragment jestestwa Farida, który upajał się radością na samą myśl o tym, że Ahti znów dopuści go do swoich tajemnic. I był taki, który chciał biec na stację kolejową i uciekać z powrotem do Szwecji.

\*\*\*

Od czasu swojego powrotu Farid zaszedł do domu Korhonenów tylko raz, by się przywitać – i wybrał w tym celu moment,

gdy Ahti był w rezerwacie. Teraz normalność całej sytuacji zbiła go z tropu: to, że Ahti otworzył mu drzwi, że gospodarze poczęstowali go mlekiem z miodem, że rozmowa przy stole tak naturalnie skierowała się na tematy związane z letnimi zbiorami. Ahti siedział na ławie pod oknem; słońce rysowało jasną linię na jego lisiej twarzy, gdy odwracał się, by wtrącić w rozmowie coś od siebie. Być może tak wyglądałoby ich życie: wspólna praca w rezerwacie i wspólne wieczory; tajemne, serdeczne uśmiechy przeznaczone tylko dla oczu Farida. Dwa domy; w obu byłby zawsze ciepło witany.

To przed tym uciekłeś, powiedział sobie Farid. Nie zależało ci aż tak na studiach. To odwzajemnione uczucie było nie do zniesienia.

Dopić mleko. Ahti wyraźnie na to czekał.

– Idziemy? – Wstał z ławy i przeciągnął się.

Farid zamrugał.

– Idziemy.

Dzielący ich od bariery dystans pokonali w milczeniu. Ahti uśmiechał się – tym razem do siebie. Potrafił pilnować sekretów latami, a gdy je ujawniał – traktował zaskoczenie innych jako własne małe zwycięstwo. Lubił

czuć się sprytniejszy, mieć przewagę.

– Kiedy mi powiesz, o co chodzi? – Farid wreszcie nie wytrzymał.

– Wkrótce. – Ahti zatrasnął za nimi bramę. – Chcę sprawdzić, czy sam się zorientujesz.

– Że co?

– Podobno jesteś bystry? – W oczach chłopaka pojawił się dawno niewidziany, ciepły blask. Farid pozwolił sobie łudzić się, że Ahti wybaczył mu wydarzenia ubiegłego lata.

– Niech ci będzie. – Pozwolił zaprowadzić się do jeziora.

Ahti zatrzymał się na plaży i zagwizdał głośno. Z drugiego brzegu odpowiedziało mu geganie. Powtórzył sekwencję dźwięków. Na to kilka gęsi poderwało się do lotu.

– Tresujesz je?

Ahti tylko położył palec na ustach.

Gęsi opadły na piasek, strosząc ciemne, podbarwione bielą pióra. Chłopak przykucnął. Powiedzieć, że garnęły się do niego, to zbyt wiele – lecz traktowały go jak swojego. Wyciągały szyje, oczekując czegoś. Ahti wydał z siebie długi gwizd. Jeden z ptaków odpowiedział geganieniem. Inne zawtórowały.

Korhonen wstał i uniosł ręce, wciąż gwizdząc. Dwa ptaki siadły na jego wyciągniętych ramionach. Inne zaczęły trzepotać skrzydłami. Gdy chłopak uciął, z powrotem opadły na ziemię, nie odwracając od niego wzroku. To nie było instynktowne podążanie. Farid zamrugał. Nic, czego nauczył się o ptakach, nie wskazywało na ich inteligencję. Może z wyjątkiem krukowatych, ale na pewno nie gęsi.

Ahti wyjął z kieszeni coś, co przypominało piłkę. Farid dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że patrzy na węzeł – gałkę

bosmańską. Ahti znów przysiadł, zagwizdał, potoczył kulkę z liny w stronę gęsi.

Dwa ptaki przyskoczyły do niej. Jedna gęś przytrzymała węzeł, druga zaczęła rozwiązywać go dziobem. Pozostałe, zamiast paść się w przybrzeżnej trawie, patrzyły na to, kołyszając się na boki.

Farid też patrzył. To są gęsi, powtarzał sobie. Zwykle gęsi, które byłyby wędrownie, gdyby nie katastrofa i siatka nad rezerwatem. Gęsi się nie uczą. Nie są społeczne. Nie planują. Nie potrafią...

Te najwyraźniej potrafiły. Rozwiązały węzeł i zjadły ukrytą w nim nagrodę. Rozkrzyczały się.

Ahti wreszcie rozpedził stado, wysypując z garści ziarna. Otrzepał dłonie.

– I co sądzisz? – ponaglił Farida.

– Ile czasu je tego uczyłeś?

– W tym rzecz. – Oczy chłopaka zwięzły się. – Nie uczyłem.

– To nie jest możliwe, Ahti.

Tamten żachnął się.

– Na pewno nagrody pomogły. Ale nie byłbym w stanie nauczyć je tego od zera. To nie była wyuczona sztuczka.

Farid zawahał się. Nie miał pewności, czy powinien myśleć o tych gęsiach jako o tym samym gatunku, jaki wprowadzono do rezerwatu. *Anser albifrons*? Czy już coś innego, *Anser sagax*? To, co Ahti próbował wykazać, miało ogromne implikacje. Dla rezerwatu. Dla nich wszystkich.

– Twierdzisz, że potrafią planowo działać. Współpracować. Rozwiązywać zagadki logiczne. Budować abstrakcyjne relacje między obiektami. – Farid niemal parsknął śmiechem.

Ahti wyglądał, jakby też miał zamiar się roześmiać, ale na jego twarzy wciąż rysowało się to samo intensywne skupienie.

– Że są inteligentne, tak.  
– Przecież to gęsi. Pomyliłeś je z krukami.  
– Te gęsi – rzekł z naciskiem – to któreś z kolei pokolenie żyjące pod siatką. Nie wiemy, co to z nimi robi. Nikt tego nie badał. Prawda?

– Nikt.

Ahti uśmiechnął się z satysfakcją.

– Ale to za mało czasu na taką ewolucję – zastrzegł zaraz Farid.

– Może to nie ewolucja? – Ahti się zawahał. – Coś im zabraliśmy. – Wskazał na rozpinającą się nad nimi kopułę. – To nie jest tylko zmiana w trybie życia. Pozbawiliśmy je jednego zmysłu. To tak, jakby kogoś oślepić. Myślisz, że nie mogą sobie tego rekompenzować? Jak sądzisz, czy pierwsze pokolenie pod kopułą też się tak zachowywało?

Faridowi wcale się to nie podobało. Nie po to tu wracał, by znów coś wywróciło jego świat do góry nogami; chciał bezpieczeństwa, nie zmian. W szczególności nie zmian, które wymagały od niego ponownego przemyślenia wiedzy sprzed burzy.

– Być może – mruknął. – Ale nie powinieneś wyciągać takich wniosków na podstawie obserwacji jednego stada. Szczególnie stada, które sam przyuczałeś.

Oczy Ahtiego załśniły.

– Dlatego potrzebuję porównania z innym rezerwatem.

– Akurat cię tam wpuszczą.

Farid nie powinien był tego mówić. Znał przecież ten błysk w oku Ahtiego. Mógł przewidzieć, że – cokolwiek powie – zostanie odczytane jako wyzwanie.

– Nie potrzebuję zgody, wystarczy mi kod do bramy.

Farid mógł albo pójść z Ahtim, albo udawać, że nie miał pojęcia o planach Korhonen. Wiedział już, że wybierze to

pierwsze.

– Dzięki za pomoc – rzucił na pożegnanie Ahti.

Jaką pomoc? Farid chciał się rozeźmiać. Miał być wyłącznie świadkiem. Ahti chciał tylko usłyszeć, że się nie myli.

– Do zobaczenia jutro – powiedział zamiast tego.

Korhonen zamarł z jedną dłonią na zamku bramy. Na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Tak. Do jutra.

Farid pomachał mu ręką i skierował się do domu rodziców. Wszystkie okna były szare od zmroku, który latem nigdy nie zmieniał się w całkowitą ciemność. Wszystkie – z wyjątkiem okna Zahry, przepuszczającego płomień zapalanej wewnątrz świecy.

Drzwi do pokoju siostry były uchylone. Zahra siedziała na podłodze. Na skrzyżowanych nogach trzymała brulion. Widząc Farida, przykryła kartkę ręką.

I tak nie próbował czytać jej przez ramię. Jego wzrok przykuło co innego: korkowa tablica, do której siostra przypięła wycinki z gazet i stare zdjęcia.

Znał te zdjęcia. Żle skadrowane lub prześwietlone obrazy ujęte na jednych z ostatnich rolek filmu, gdy okazało się, że cyfrowe aparaty stały się bezużyteczne. Kilka fotografii z polaroidów zrobionych w czasach, gdy posiadanie takiego sprzętu świadczyło o sentymencie lub pasji. Poza jednym ujęciem, przedstawiającym wtuloną w siebie parę, na zdjęciach widniały pożary. Płonące miasta i pola naftowe, które uwiecznili dziadkowie, nim zdecydowali się na ucieczkę.

– Po co ci to?

Zahra zamknęła zeszyt.

– Jak to: po co? To jest nasze.

Chciał odruchowo zaprzeczyć: nie, to zostawiliśmy za sobą. Teraz mieszkamy tutaj. To już nie nasza historia. Ale nie mógł od niej uciec. Nieważne, jak bardzo chciał się uwolnić od ciężaru przeszłości, inni widzieli ją zapisaną w ciemniejszym odcieniu jego skóry. Wobec obco brzmiącego imienia nie liczyło się, że był stąd.

Chyba tylko Ahti nie myślał o tej historii, gdy patrzył na Farida. Lub ją ignorował.

– Jesteśmy coś winni dziadkom, nie sądzisz?

– Nie. Uciekali, żebyśmy mogli żyć tu bezpiecznie. Dość się nasłuchałem o płonących szybach naftowych i kopalniach, i najeżdżanych miastach.

– Nie to mnie interesuje.

– Więc co?

Zapatrzyła się na ścianę, ale Faridowi zdało się, że jego siostra widzi dużo więcej i dalej: dwójkę młodych ludzi uciekających z płonącego miasta.

– Chcę wiedzieć, kto tam teraz mieszka. Jak mieszka. Co myśli o tym wszystkim.

– Zahra... wybacz, ale nie masz pojęcia, jak to wygląda w miastach. Nawet na kontynencie.

Uniosła podbródek.

– A ty wiesz?

– Widziałem Sztokholm i Uppsalę. Do większości dzielnic bym się nie zapuścił, a przecież to miasto jest tak blisko i...

Za późno ugryzł się w język. Zahra obróciła się ku niemu.

– I co? Jest cywilizowane? W odróżnieniu od miejsca, z którego pochodzimy?

Mimowolnie się skrzywił.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Na uczelni...

– Nie, naprawdę. Poważnie pytam. Skąd wiesz? Nie ma telefonów. Nie ma radia.

Mało kto podróżuje. Jak możesz być pewien czegokolwiek, co mówią o innych krajach? Kontynent może jeszcze, ale Iran?

Oparł się plecami o ścianę i osunął na podłogę.

– Przemyślałam to. – Splotła dłonie pod podbródkiem. – Nie łudzę się, że to będzie romantyczna wyprawa do korzeni. Ale chcę zobaczyć miejsce, z którego pochodzimy. Muszę je zobaczyć. Jeśli trzeba będzie – pomóc. Spłacić dług wobec wszystkich, którzy tam zostali. I wiem, że to nie jest mój dług – dodała szybko. – Ale chcę. Chcę coś dać tym ludziom, których nawet nie znam. I dziadkom, choć tego nie zobaczą. I rodzicom. I tobie.

– Rodzice chcieliby, żebyś została tutaj i była bezpieczna. Nie możesz ich zostawić samych.

– Więc rzuć studia i wracaj do Lapinlahti – odparła cierpko. – Dlaczego mam poświęcać swoje plany dla ciebie?

Farid zamrugał, zbity z tropu.

– To nie tak. Poszedłem na studia, żeby móc pracować w rezerwacie. I żeby zrobić coś znaczącego. Rozwijaj go, a nie tylko utrzymywać w byle jakiej równowadze.

– A przy okazji by uciec od Ahtiego?

Znów go zatkało.

– Tak – przyznał. – Z tego powodu też.

– Masz kogoś w Uppsalii?

– Co? Nie.

Pokiwała głową do własnych myśli.

– Tak się tylko zastanawiałam.

Przez chwilę oboje milczeli. Farid przyjrzał się raz jeszcze zdjęciom. Upamiętniały czasy, o których chciał zapomnieć. Jego siostra wiedziała o tym, Ahti musiał to przeczuwać. Jednak żadne z nich, w odróżnieniu od Farida, nie uciekało od świata. Nie szukali ukojenia w marzeniach o cudownie

naprawionej przyszłości.

Wiedział już, że Zahra wyjedzie. Ona nie dzieliła się z nim wątpliwościami, ona przekazywała mu swoją decyzję.

Zahra wstała z podłogi, rzuciła brulion na łóżko i sięgnęła po coś innego. Usiadła obok brata, wyciągając ręce przed siebie.

– Spróbuj się chociaż uśmiechnąć – mruknęła.

Flesz błysnął, nim Farid zdążył zareagować. Zamarł i dopiero gdy Zahra się odsunęła, zaczął trzeć oczy.

Machała dłonią, w której trzymała fotografię. Aparat wydobyl wszystkie niedoskonałości rysów, ich dysharmonię. Ale uchwycił też łączący rodzeństwo, podszyty nadzieją upór.

\*\*\*

Farid siedział w altanie. Przed sobą trzymał książkę – wysłużony podręcznik, który przeszedł przez wiele par studenckich rąk, zanim, obdarty z okładki, trafił do niego. Marginesy zostały w całości zabazgrane przez poprzednich czytelników. Nie złościło go to, choć sam podjął decyzję, by obchodzić się z książką jak najostrożniej. W końcu nowego wydania już nie będzie.

Za jego plecami rozległo się pukanie. Farid podskoczył, podnosząc wzrok na ojca.

– Nie przeszkadzam? – Twarz starszego mężczyzny rozjaśnił uśmiech.

– Skąd. – Farid zamknął książkę, trochę mniej ostrożnie niż zazwyczaj.

– Czego się uczysz?

– Biologii komórki. – Westchnął. – Historii biologii komórki.

Nie mógł nie przyznać Ahtiemu racji, choć wybrałby zdecydowanie łagodniejsze słowa: nauka w ich czasach stała się zajęciem

dla nostalgicznych archiwistów i tych, którym nie przeszkadzała świadomość powszechnego zastoju. On, Farid, chciał być przede wszystkim biologiem. Historykiem został z przymusu, gdy od rozwoju nauki ważniejsze okazało się chronienie wcześniejszych dokonań.

– Może nie wszystko jest stracone. – Ojciec usiadł naprzeciwko niego. Farid nie mógł sobie przypomnieć, czy ojcowskie gesty rok temu też były tak ociężałe, a jego plecy wiecznie pochylone.

– No i wciąż możemy korzystać z tamtych odkryć – chłopak powtórzył formułkę, którą wtlaczano mu do głowy od pierwszego dnia studiów.

– I dobrze, że przywozisz tutaj wiedzę.

Farid uśmiechnął się, oczekując na dalsze słowa ojca. Rozmowa o studiach była pretekstem. Miał tylko nadzieję, że nie zostanie zapytany o nic, co dotyczyćłoby opuszczania Lapinlahti.

Decyzja Zahry? Czy przyznanie, że on sam tu nie wróci, bo nie zniesie widoku Ahtiego? Co mogło zabołec rodziców bardziej?

– Najbliższy pociąg ma przyjechać za tydzień.

A więc pożegnanie. Rozłożone w czasie i w pewien sposób nie mniej ostateczne niż to pierwsze, rok temu. Nie wyjeżdżało się z Lapinlahti. Nie wracało się. Nie robiło się tego ponownie. Farid i Zahra mieli zniszczyć to niepisane prawo.

– Już? – wyrwało się Faridowi.

Ojciec rozłożył ręce.

– Zawsze możesz poczekać na następną. Nikt cię stąd nie wygania – dorzucił i uśmiechnął się, jakby Farid mógł wątpić w rodzinną gościnność.

Chłopak opuścił wzrok.

– Mogę poczekać – przyznał.

I zaryzykować, że już nigdy stąd nie wyjedzie. Co nie musiało być wcale złe.

\*\*\*

Był wieczór; chłodny, długi i błękitno-złoty, niekończący się, niewiele krótszy od tego, kiedy Farid przybył. I tak jak wtedy wydawało mu się, że nie może oddychać, że jeszcze chwila, a żebra zacisną się zupełnie.

Ahti całkowicie skupił się na oglądzi-nach własnego roweru. Farid odchrząknął, próbując zwrócić na siebie uwagę.

– Skąd masz kod do innego rezerwatu?

– Kupiłem.

– Tak po prostu? Bez żadnych gadec o kwarantannie, możliwym ryzyku, wykradaniu zwierząt?

– Kupiłem, dobrze? Czy naprawdę musisz wiedzieć więcej?

Dreszcz, który przeszedł Farida, nie miał nispólnego z chłodem powietrza.

Wcześniej Farid nie zastanawiał się nad tym, ile Ahti był skłonny zrobić dla swojego rezerwatu i swoich teorii. Czy potrafiłby komuś grozić? I co zrobiłby, gdyby to Farid mu się teraz przeciwstawił?

– Nie muszę. – Zawahał się. – Ale martwię się o ciebie.

Napotkał kpiące spojrzenie chłopaka.

– Niepotrzebnie – rzucił cierpko Ahti.

– To nie tak działa.

– Nie obchodzi mnie, jak to działa. Nie chcę, żeby twoja troska zobowiązywała mnie do czegokolwiek. Nie potrzebuję jej.

– To nie transakcja. To jest coś, co po prostu masz. Jest twoje, zrobisz z tym, co chcesz.

Farid ugryzł się w język. Powiedział za dużo, za szybko, zbyt szczerze.

Ahti wsiadł na rower, odepchnął się od

ścieżki i ruszył w dalszą drogę.

Przecięli skraj opustoszałego miasta – dawnego Lapinlahti – i wjechali na asfaltową drogę prowadzącą do Nerkoo. Las kładł wokół długie cienie. Oczy Farida łzawiły od wiatru. Po prostu starał się nadażyć za Ahtim, cały czas mieć w zasięgu wzroku jego kurtkę, wydymającą się za nim jak brunatny żagiel.

Po jakimś czasie zjechali z pustej dwupasmówki na boczne drogi. Ahti zatrzymał się gwałtownie. Odwrócił się w stronę Farida, kładąc palec na ustach. W milczeniu znieśli rowery do rowu i przykryli je kłaczami.

Kopuła nad obcym rezerwatem skrzyła się, zdradzając burzę zbyt odległą, by Farid mógł ją wyczuć. W Sztokholmie widział kilku nawigatorów, którym wykształcił się zmysł do burz. Trzeba im było słono płacić za przeprowadzanie przez nie statków. Skoro nieustający sztorm aż tak przekształcił percepcję u ludzi, dlaczego ptaki w rezerwachach nie miałyby się zmienić?

Ahti poprowadził go do bramy. Nic nie mówił, ale oddychał szybko, a jego twarz lśniła od potu. Farid śledził okolicę, gdy towarzysz ostrożnie wpisywał kod. Odliczał metaliczne trzaski zamka. Wieś wydawała się spokojna, choć w oknach widzieli cienie poruszających się wewnątrz domów ludzi. Farid przez chwilę patrzył na taki ciemny kształt, przekonany, że ktoś stoi w oknie i patrzy wprost na rezerwat. Po chwili cień zniknął. Farid odetchnął z ulgą. Był pewien, że Ahti wyśmiałby jego lęki.

W końcu kłódka ustąpiła. Obaj powoli wypuścili powietrze. Ahti ponaglił go ręką. Po drugiej stronie zatrzymał się i wsunął kawałek drewna między bramę a barierę.

– Co ty robisz! – syknął Farid.

– Chcę móc stąd szybko wyjść, jeśli

będzie trzeba.

– I wypuścić tutejsze stado?

Ahti milczał.

Farid nie wytrzymał. Szarpnął za kurtkę chłopaka.

– To właśnie chcesz zrobić?

– Jeśli moja teoria się sprawdzi, bariery w ogóle nie będą potrzebne – odparł tamten z niewzruszonym spokojem.

Farid wypuścił go, podeszedł do bramy i zatrzasnął ją. Ahti uśmiechnął się krzywo.

– Skoro tak chcesz – szepnął i wydał z siebie długi, znajomy gwizd.

Odpowiedziało mu gęganie znad jeziora. Nie tracił czasu na napawanie się pierwszym triumfem; ponowił nawoływanie i zamarł w oczekiwaniu na gęsi. Nad jezioro wzbili się klucze złożony z pięciu ptaków. Białe plamki na ich czołach zdawały się lśnić.

Farid z niedowierzaniem patrzył, jak zwierzęta gromadzą się wokół Ahtiego, nawykłe do obecności ludzi. Zachowywały się jak stado z Lapinlahti. Próbowaly się komunikować. Obserwowały razem z nim, jak Korhonen buduje na piasku układankę z kamieni. W końcu jeden z ptaków zaczął przesuwac otoczaki dziobem. Odsunął na bok niepasujący element.

– One są społeczne – powiedział Ahti, pochylając się nad układanką. – Także w tym, że się uczą. Ode mnie i od siebie nawzajem. Widzisz?

Farid nic nie powiedział.

– Coś im zrobiliśmy. My albo burza. Albo wspólnymi siłami. Jak sądzisz, jaki jeszcze mechanizm wytrąciliśmy z równowagi? – Ahti nie patrzył nawet na Farida, pochłonięty swoim doświadczeniem. Położył przed ptakami węzeł. – Patrz, teraz im nie idzie, ale jestem pewien, że gdybym przychodził tu częściej...

Farid wciąż milczał. Wolał czytać

o doniosłych odkryciach niż w nich uczestniczyć. Zateśknił za swoim akademikiem, za jego ciasnotą, w której mógł marzyć o innym, bezpiecznym świecie.

W końcu Ahti rozsypał przed stadem resztki ziarna.

– Chodźmy – rzucił.

Jeśli zauważył niepokój Farida, to nie dał tego po sobie poznać. Farid nie pozwolił mu jednak dłużej ignorować swoich lęków. Złapał Ahtiego za rękaw.

– Żyjemy w straszonym świecie, nie sądzisz? – zapytał cicho, głosem, którego nie używał od zeszłego lata. – Niepewnym, kruchym i uszkodzonym. Na tej planecie nie było niczego, co mogłoby poradzić sobie z tą anomalią. I wciąż nie jesteśmy gotowi. Ja nie jestem gotów. Nie potrafię tak. Nie umiem tutaj żyć.

Ahti z wahaniem zamknął swoją dłoń wokół jego palców.

– Ja też nie potrafię. Nie umiem żyć pod cichym niebem i trzymać zwierząt w klatkach. Chciałbym, żeby to miejsce było trochę lepsze. Ale samo się nie naprawi.

Jego oczy złagodniały.

– Wracajmy już. Mamy dużo do zrobienia, choćby w samym Lapinlahti.

Farid, nieufny wobec swojego łamiącego się głosu, pokiwał tylko głową.

Na powrót otworzyli bramę. Zamek zazgrzytał. Farid skulił się w oczekiwaniu na najgorsze, ale nigdzie nie zapłonęły lampy. Nerkoo powitało ich łagodną ciszą, którą mąciło tylko szczekanie jakiegoś kundla w wiosce. Dopiero po chwili Farid zorientował się, że wciąż trzyma skraj rękawa Ahtiego. Wypuścił tkaninę z dłoni.

Ahti, rzecz jasna, nie skomentował. Skręcił w leśną ścieżkę.

Wtedy rozbłysła pierwsza flara.

– Kurwa – usłyszał Farid na ułamek sekundy przed tym, nim Korhonen puścił się przed siebie biegiem. Pobiegł za Ahtim, zwalniając tylko na chwilę, by obejrzeć się przez ramię. Pies. Troje strażników. Zapewne na skraju lasu było ich więcej. Mogli już pożegnać się z rowerami.

– Szybciej! – Ahti złapał jego dłoń.

To moja wina, pomyślał Farid. Ktoś nas obserwował z okna. Nic nie zrobiłem.

Z drugiej strony, czy zatrzymałby Ahtiego?

Biegli, przeskakując nad murszejącymi pieńkami. Wpadli w las, kontury rozmywały się w szarówe. Farid miał wrażenie, że oto znów są przed barierą. Spodziewał się, że z następnym krokiem wpadną w wykrot, wyróca się – ale nic takiego się nie stało. Biegli przed siebie. Był przerażony. Jednocześnie nigdy nie czuł się tak wolny. Łatwiej było mu biec, wiedząc, że nie ukrywa się przed burzą. Podjął decyzję. Mógł coś zmienić. On i Ahti, jego uparty, wizjonerski Ahti.

Biegli, ścigani przez krzyki strażników.

Farid uległ szalonej fantazji, że mogliby tak biec bez końca. Ale wreszcie zaczęli opadać z sił.

Na przeciwnym skraju lasu też czekali strażnicy. Powoli zaczęło do niego docierać, że to nie może się udać.

Uwolnił rękę z uścisku Ahtiego. Tamten zerknął na niego rozszerzonymi ze strachu oczyma.

– Nie zatrzymuj się! – krzyknął Farid. Po czym odwrócił się i wpadł na strażników, powalając jednego z nich na ziemię.

Wyrócił się w wilgotną ściółkę. Na plecach poczuł bolesne uderzenia pałki. Odruchowo skulił się, osłaniając głowę rękami. Lepiej, żeby było tak, pomyślał. Niech Ahti zrobi coś z tym cichym niebem. On jest tu bardziej potrzebny niż ja.

I może teraz mi wybacz.

Może Zahra mi wybacz.

Zakrztusił się ziemią i igliwiem. Każdy oddech palił w obolałych płucach. Wreszcie zimny błękit ustąpił miejsca aksamitnej, wszechobecnej czerni.

\*\*\*

Pociąg zatrzymał się na stacji kolejowej. Postój trwał tylko kilka minut – dość, by do wagonu pracowników wsiadła jedyna pasażerka.

Dziewczyna opadła na fotel i przytuliła do siebie wysłużoną skórzaną torbę. Jedną ręką przytrzymywała kołysząc się na szyi staroświecki futerał aparatu. Jej śniada cera przybrała nieco chorobliwy odcień, choć dziewczyna trzymała się dzielnie. Kolejarz próbował ocenić jej wiek. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat.

– Panienska lepiej schowa tę zabawkę – poradził jej, wskazując na aparat.

Pokiwała głową i zapakowała aparat do torby, którą przytuliła do siebie jeszcze mocniej.

Podróżowali w ciszy. Dziewczyna patrzyła w okno szklistymi oczami. W pewnym momencie wyjęła zeszyt, oparła go na kolanach i zaczęła pisać.

– To ostatnia stacja – powiedział kolejarz, gdy na tle nieba zamajaczyły Helsinki.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dla mnie tylko przesiadka.

– Dokąd panienska podróżuje?

Przez jej twarz przemknął cień czegoś dziwnego. Smutku? Strachu? Radości?

– Do Szwecji. – Odetchnęła głęboko. – Szukać brata.

■ KAROLINA FEDYK

## Spójrz w górę

Autor: Martyna Walerowicz

Ilustrator: Monika Szymańska

**S**pójrz w górę! Patrz na moją twarz! I słuchaj!

Opowiem ci, jak demony założyły ludzkie skóry.

Od zawsze wiedziałem, że jestem wyjątkowy. Urodziłem się z sześcioma palcami u prawej stopy. Gdy miałem siedem lat, podróżnik powiedział mi, że na zachodnich wyspach ludzie o dwudziestu jeden palcach uważani są za bogów. Ta myśl przez lata kielkowała we mnie i rosła szybko jak ziarno ryżu. W końcu poczułem, że jestem lepszy od innych i zasługuję na pełniejsze życie niż los rybaka czy szkutnika.

Ludzie na wyspie śmiali się ze mnie, mówili: „Oj, dziecko, dziecko... ty masz być bogiem? Jesteś głupszy niż pąkla przyklepiona do wiosła”. Nawet ojciec nie traktował mnie poważnie, gdy chciałem wyruszyć w drogę, by dokonać wielkich czynów. Musiałem stać się bohaterem, aby bogowie mnie zauważyli i znowu przyjęli do swojego grona. Byłem pewny, że w poprzednim życiu przydarzyło mi się coś strasznego, co zamknęło mnie w klatce śmiertelnego ciała.

Pewnego dnia straszliwie pokłóciłem się z ojcem. Powiedział, że łeb mam pusty jak porzucona muszla i że powinienem się w końcu ożenić, spłodzić syna i zająć umysł ocenianiem pływów oraz patroszeniem ryb. Ja jednak od dawna wiedziałem,

że nie podzielę jego śmierdzącego tranem losu. Chciałem wszystkim udowodnić, że się mylili. Dlatego, gdy spali, zabrałem należący do ojca katamaran o imieniu Bystry Wiatr i odpłynąłem, nie zastanawiając się, co pocnie moja rodzina bez łodzi.

Miałem obce wyspy, nad którymi unosiły się białe soczewki chmur. Postanowiłem wędrować, póki miałem dostateczną ilość świeżej wody, bo chciałem uciec jak najdalej od domu.

Piątego dnia wędrowki dostrzegłem na horyzoncie szaty boga burzy Apu Matangi w kolorach czerni i indygo. Pozwoliłem, by dziki wiatr wypełnił żagiel i skierowałem łódź ku najbliższemu brzegowi. Wciągnąłem katamaran głęboko w głąb plaży. Modliłem się do najwyższego Atua, by wyspa okazała się bezludna – bałem się kanibali i łowców głów. Szybko skleciłem schronienie z pędów bambusa i liści palmy, które ściąłem maczetą. Czulem się samotny niczym *tapu* – niedotykalny. Jednak, w przeciwieństwie do ludzi *tapu*, nie zamordowałem nikogo i nie cudzołożyłem. Zasnąłem pomimo deszczu, skulony na liściach bananowca, oblepiony piaskiem, wdychając orzeźwiający zapach burzy.

Gdy się obudziłem, odrętwiały z zimna, postanowiłem jak najszybciej znaleźć źródło słodkiej wody, pozbiierać owoce

papai i wynieść się z niegościnniej wyspy. Dzierżąc w dłoni maczetę, zagłębiłem się w szmaragdową zieleń. Nie szedłem długo, gdy w końcu między liśćmi ujrzałem błysk wody. Przykucnąłem. Obserwowałem i nasłuchiwałem, czy do wodopoju nie zbliża się niebezpieczne zwierzę lub człowiek.

Gdy tak trwałem, nabierając pewności, że jezioro jest osamotnione jak źrenica oka, do brzegu podfrunął najpiękniejszy ptak, jakiego oglądałem. Jego pióra lśniły karmazynem wstającego poranka, turkusem wody atolu, żółcią zebbrasoy. Gdy ptak zanurzał złocisty dziób w krystalicznej wodzie, jego ogon wił się po ziemi, jak włosy bogini matki, Patinai Nei. Pojąłem, że patrzę na Adarnę i serce zaczęło walić w mej piersi jak bębny Lingadua. Ścisnąłem maczetę w spoconej dłoni. To był pierwszy krok, bym stał się bohaterem. Miałem wielkie szczęście!

Skoczyłem i przygniotłem Adarnę ciałem. Był wielki jak czapla. Lewą dłoń zacisnąłem na dziobie, by nie wyrzekł zaklęcia, a do szyi ptaka przyłożyłem ostrze. Bursztynowe oczy zwierzęcia były szeroko otwarte.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy, czcigodny ptaku. – Mój głos był suchy jak stara lina okrętowa – ale wiem, że jesteś Adarną i możesz wyjawić mi wielkie sekrety, dzięki którym stanę się wielkim bohaterem. Jeśli mnie przeklniesz, to poderżnę ci gardło, abys nie mógł wyśpiewać pieśni uleczenia.

Cofnąłem lewą dłoń, ale prawa wciąż celowała czubkiem ostrza w gardło ptaka.

– Zejdź ze mnie. – Ptak zaświergotał przyjaźnie. – Dusisz mnie.

Lekko uniosłem ciało, ale tak, bym w każdej chwili znowu mógł przygnieść Adarnę. Położyłem dłoń na cytrynowożółtej piersi zwierzęcia. Czułem, jak jego serce dygocze, zamknięte w klatce lekkich kości.

– Bohaterem... Nie wystarczy ci ziemskie przyjemności? Jeśli mnie uwolnisz, powiem ci, gdzie dryfuje wyspa Kaitalugi. – Łypnął lewym okiem, jakby mnie oceniał. Roześmiałem się.

– To niezbyt kusząca propozycja. – Uśmiechnąłem się jeszcze szczerzej. – Wiem, że na wyspę trafiają nieszczęśni rozbitkowie. Na plaży czekają na nich setki nagich kobiet, które wykorzystują mężczyzn, aż ci padną z wyczerzenia. Nie chcę znaleźć się na tej wyspie.

– Myślałem, że ludziom zależy wyłącznie na spółkowaniu. – Z przygniecionej piersi Adary do świstem uciekło powietrze, gdy westchnął. – A droga do niewidzialnego miasta? Może to ci wystarczy?

– Nie, dziękuję – pokręciłem głową. – Wiem, że leży w Phetburi, i wiem, że stamtąd drwał wyniósł pierwsze korzenie imbiru. Dzięki nim stał się bogaty. Jednak skoro teraz wszyscy znają imbir, to nie oplaca mi się schodzić do miasta, bo mogę nie dostać podobnie cennego daru.

– Wszystko obarczone jest ryzykiem. – Złoty dziób ptaka błysnął w promieniach wznoszącego się słońca. – A co powiesz na... nieśmiertelność?

Zacisnąłem mocniej palce na rękojeści maczety i oblizałem górną wargę. Nieśmiertelność. Czym różni się od boskości? Nie musiałbym stawać się bohaterem. Widziałbym, jak ci wszyscy ludzie, którzy uważali mnie za wariata, starzeją się i umierają... Wszelkie bogactwa, jakie bym zgromadził, byłyby moje. Mógłbym mieć harem żon. Stałbym się królem archipelagów. Któż nie pragnie nieśmiertelności? Byłbym głupcem, gdybym odmówił.

Nie wiedziałem tylko, czy ptak nie próbuje mnie oszukać. Przecież najpierw podał mi

dwie bezsensowne propozycje. Skąd miałem wiedzieć, że tym razem mówi prawdę?

– Na szczycie Bukit Kaca, szklanej góry, której wierzchołek odbija promienie słońca tak, że mieni się złotem i pomarańczą, siedzi Vatea, bóg bogów. Patrzy stamtąd na świat, rządząc wiatrami, pływami, ławicami ryb. On może uczynić cię nieśmiertelnym. – Wzrok Adarny wbił się we mnie jak kolec jeźowca. – Jeżeli mnie wypuścisz, to wskażę ci drogę do nieśmiertelności.

– Dobrze. – Przełknąłem ślinę, czując ucisk w gardle. – Chcę dowiedzieć się, co mam zrobić, by stać się nieśmiertelnym.

I Adarna powiedział mi. Gdy skończył, wypuściłem go spod mego ciała, a on podfrunął i przysiadł na gałęzi kamelii, która zatrzęsła się tak mocno, że kilka jej kwiatów zgubiło białe płatki. Zwierzę nastroszyło pióra i westchnęło.

– Teraz powinienem cię przekląć, ale skoro sam wybrałeś sobie tak beznadziejny los jak nieśmiertelność... – Ptak przecesał dziobem żółte pióra na piersi, wyrwał jedno i wypuścił. Patrzyłem, jak opada na ziemię, błyskając w słońcu. – Pierwszy składnik amuletu, podstępny człowiecze.

Adarna rozprostował tęczowe skrzydła i odbił się mocno od gałęzi. Teraz już wszystkie kwiaty straciły płatki, a ja przez chwilę stałem w białym, wonnym deszczu. Podniosłem pióro i przyglądałem mu się – było żółte i lśniące. Moje serce wypełniła radość. Wkrótce udowodnię, że jestem bogiem. Już widziałem minę ojca! Wróciłem na plażę i zepchnąłem Bystry Wiatr do wody. Przewiązałem pióro skórzanym rzemieniem i zawiesiłem na szyi. Byłem pewny, że teraz wszystko potoczy się szybko.

Ale tak się nie stało.

Krążyłem po oceanie przez dwa lata,

powoli traciłem nadzieję i nabierałem pewności, że Adarna mnie oszukał. Odwiedziłem wiele wysp i spotkałem wielu ludzi. Żywiłem się kokosem, ryżem i rybami. Widziałem taniec godowy humbaków i pływałem z delfinami. Niemal zginąłem podczas tajfunu, a raz musiałem uciekać przed plemieniem kanibali. Nie spotkałem żadnego demona ani boga, który mógłby mi udzielić wskazówek. Czuję się jak Lebai Malang, czcigodny nieudacznik, któremu prądy nigdy nie sprzyjają.

Jednak w dniu, w którym straciłem nadzieję, ujrzałem delikatne, żółte światło pod powierzchnią wody. Moje serce przyspieszyło rytm. Znalazłem to, czego szukałem. Światło lapa – podwodna ścieżka ognia wulkanów, droga bogów. Wybrałem liny i napiąłem żagiel. Katamaran rozpedził się. Gnałem w stronę zachodzącego czerwieni słońca, a na wschodzie kotłowały się burzowe chmury.

Podążyłem ścieżką podwodnego ognia, aż dotarłem na cichą plażę wyspy wulkanicznej. Zwinąłem żagiel i pociągnąłem starą łódź na czarny piasek. Silny wiatr ograbiał ciało z resztek ciepła. W kostki uderzał piasek. Otuliłem się płaszczem utkany z szorstkich włókien agawy i przycisnąłem do piersi tańczące na rzemieniu pióro Adarny. Wyspa była kamienista, młoda, gdzieś tam pokryta twardą trawą. Karmazyn wciąż zajmował połowę nieba i walczył z cieniami burzy i nocy. Szedłem długo i myślałem, że będę musiał poszukać schronienia pod którąś z czarnych skał, gdy w gęstniejącym mroku dostrzegłem ruch. Krew zaczęła dudnić mi w skroniach, gdy na ugiętych nogach zbliżyłem się do wielkiej istoty.

W rozgrzanym pyłe wulkanicznym, pochrząkując z cicha, tarzał się ogromny

dzik. Jego kły błyskały czerwienią nieba i żółcią, ponieważ zwisały z nich cienkie sznurki złota. Oko miał karmazynowe, wielkości pięści, a jego stercząca szczecina wydiała nieprzyjemny zapach łaju. Mięśnie mi zdrętwiały i rozwarłem usta. Adarna powiedział, że aby stworzyć amulet, który pozwoli wędrować swobodnie po świecie duchów, bogów i ludzi, muszę zdobyć łańcuszek z kłów śpiącego dzika. Nie wiedziałem jednak, że stworzenie będzie tak ogromne.

Czując na języku gorzki smak, powoli zacząłem się cofać, bojąc się, że moszczący się do snu dzik mnie spostrzeże. Zawahałem się. Musiałem stać się nieśmiertelny.

– WITAJ, WĘDROWCZE! – Odyniec chrząknął, a z jego nozdrzy poszybowało kilka czarnych kamieni, które rozbiły się u moich stóp. – JAK MIŁO, ŻE KTOŚ W KOŃCU PRZYBYŁ MNIE ODWIEDZIĆ!

W udach poczułem niemoc. Otwierałem i zamykałem usta jak ryba wyrzucona na plażę przez monsun.

– BOISZ SIĘ MNIE, CZŁOWIEKU? – Dzik otrzepał futro, z którego uniosły się kłęby pyłu. – WIĘC PO CO PRZYBYŁEŚ NA MOJĄ WYSPĘ? NIE WIESZ, ŻE PODĄŻAJĄC ZA OGNIEM LAPY, ZAWSZE DOCIERA SIĘ DO WIELKICH BÓSTW?

Dźwignął się na czarne i błyszczące jak obsydian racice, a pajęczyna złocistych łańcuszków zafalowała na wietrze. Odchrząknąłem. Wzniosłem oczy na dzika i w końcu odważyłem się powiedzieć:

– Wszystko, o czym mówisz, panie, jest prawdą. Wiedziałem, że na końcu drogi spotkam bóstwo.

– W CZYM WIĘC PROBLEM, MŁODZIEŃCZE? – Dzik poruszył szerokimi

uszami. – ZAPEWNE PRZYBYŁEŚ TUTAJ, ABY OKRAŚĆ MNIE Z JEDNEGO Z CENNYCH ŁAŃCUSZKÓW. MIAŁEŚ TEGO DOKONAĆ, GDY BĘDĘ SPAŁ. – Patrzył, jak powoli spuszczałem głowę. – DAWNO ZAPRZESTAŁEM MORDOWANIA LUDZI. WSZYSZYCY SIĘ MNIE BOJĄ. JESTEM BARDZO SAMOTNY. ODDAM CI ZŁOTO ZA JEDNĄ DOBRĄ OPOWIEŚĆ.

Usiadłem bezwładnie na ziemi. Napięcie odeszło z mięśni i stały się miękkie jak pióra kiwi. Starałem się przypomnieć sobie najlepszą legendę, jaką znałem.

– Czcigodny królu dzików, czy znasz historię o tym, jak ludzie otrzymali ogórki i ziele abika?

A gdy zwierz zaprzeczył, zacząłem snuć opowieść.

## Opowieść o kobiecie-duchu

Dawno, dawno temu, na odległej wyspie, wielkiej jak dziesięć tysięcy małych wysp, żyła dobra kobieta. Pewnego dnia, gdy wracała z miasteczka, dźwigając na ramionach wór pełen słodkich ziemniaków, a przy piersi małe dziecko, dołączyła do niej niewiasta, która twierdziła, że idzie odwiedzić grób rodziców położony wysoko w górach. Zaproponowała, że poniesie dziecko. Dobra kobieta, ufna w dobroć ludzką i bardzo zmęczona dźwiganiem sprawunków, zgodziła się.

Deszcz padał, uderzał o liście i kamienie. Zagłuszał kroki idących kobiet. Ponieważ ścieżka była wąska, szły gęsiego.

W pewnym momencie dziecko zaczęło płakać i matka zapytała nową towarzyszkę podróży, czy wszystko z nim w porządku.

– Wszystko dobrze. Dziecko płacze przez sen.

Ale tak naprawdę niemowlę trzymała w ramionach kobieta-duch. Wyrwała dziecku jedno ramię i teraz się nim pożywiała.

Gdy kobieta-duch wyrwała drugie ramię dziecka, matka zadała to samo pytanie i otrzymała tę samą odpowiedź. Podczas długiej wędrówki do domu głodny duch pożarł maleństwo. A kiedy dobra kobieta stanęła przed drzwiami chaty i poprosiła o swoje dziecko, zobaczyła tylko zakrwawioną twarz potwora i białe uśmiech ostrych zębów. Zdołała uciec do chaty. Zamknęła drzwi i zaczęła krzyczeć do męża o pomoc. Kobieta-duch skrobała wielkimi pazurami po bambusowych ścianach. Wściekła macała palcami, szukając słabych punktów, ale nie mogąc żadnego znaleźć, zmieniła się w nietoperza i pofrunęła na pobliskie drzewo bananowca, by podjeść niedojrzałych bananów, które głodnym duchom zastępują ludzkie mięso.

Tymczasem w chacie mąż wysłuchał żony i zapłakał nad dzieckiem. Postanowił, że kobieta-duch zapłaci za swoje okrucieństwo.

Gdy zapadł zmrok, drzwi chaty rozchyliły się. Nietoperz, przekonany, że ludzie chcą w tak nierozsądny sposób sprawdzić, czy zagrożenie minęło, zleciał cicho do środka. Tam przybrał z powrotem postać kobiety. Poczuł zapach niezwykłego smakołyku – prażonych orzechów. Pewna swojej siły kobieta-duch zbliżyła się do paleniska i sięgnęła po rarytas.

I w tym momencie zza skrzydła otwartych drzwi wyszedł mężczyzna. W dłoni trzymał błyszczący sokami, świeżo ociosany kij o rozwidlonym końcu. Pchnął i przyszpilił kark kobiety-ducha do ściany paleniska. Żarzące się orzechy wyprysły w powietrze

i upadły na podłogę. Duch wrzeszczał, dławiąc się żarem i popiołem.

Ojciec zacisnął wargi i mocno trzymał wrzeszczącego potwora. Postać kobiety zajęła się ogniem, włosy paliły się, buchając zapachem siarki. Ojciec stał tak całą noc, aż kobieta-duch całkowicie spłonęła, a żar paleniska wygasł. Na końcu kija wyrosły ogórki i liście abika, ponieważ złe duchy za sprawą oczyszczającego ognia mogą zmienić się w pokarm dla ludzi.

Mężczyzna zdobył dla ludzi wartościowe warzywa. To dowód, że dzięki odwadze zwykły człowiek może pokonać demony i stać się bohaterem.

\*\*\*

Czerwone oczy dzika płonęły w mroku. Pierwsze krople deszczu spadły na moją zziębniętą skórę.

– TO DOBRA HISTORIA, CHOCIAŻ TROCZĘ GŁUPIA. MYŚLĘ, ŻE PO WYRWANIU RAMIENIA DZIECKO WRZESZCZAŁOBY W AGONII, CO BYŁOBY NIE DO WYTRZYMANIA DLA USZU MATKI. I NA KOŃCU NIE WSPOMNIAŁEŚ, ŻE WIELKIE CZYNY OKUPIONE SĄ OFIARAMI. MĘŻCZYZNA PRZECIEŻ STRACIŁ DZIECKO – powiedział dzik. – ALE MIAŁEM TAKIE CIARKI, ŻE CZĘŚĆ PCHEŁ NA PEWNO ODPADŁA OD MEJ SKÓRY. WEŻ, PROSZĘ, JEDEN Z MOICH ŁAŃCUSZKÓW.

Nie widziałem dobrze w mroku, ale dłonią dotknąłem kła dzika i wybrałem łańcuszek – nie za gruby, nie za cienki. Lekko szarpnąłem i zwinął się w mojej dłoni. Był rozgrzany ciepłym i smrodliwym oddechem dzika.

– Dziękuję, królu. – Wycofałem się

powoli, wciąż czując dudnienie serca. Nadal obawiałem się go, mimo dobrych słów, jakimi przemawiał.

– NIE WIEM, PO CO CI MÓJ ŁAŃCUCH. ŻYCZĘ CI JEDNAK POWODZENIA I NIECH ANANTHA THEWI NAD TOBĄ CZUWA! – Od jego głosu drżały kamyczki pod stopami.

Tej nocy spałem na skałach, a deszcz wpływał w każde załamanie mego ciała. Wraz z nastaniem dnia zepchnąłem Bystry Wiatr na fale i rozłożyłem postrzępione żagle. Zbliżyłem złoty łańcuszek do żółtego piórka Adarny, a on wtopił się w dudkę, jakby nigdy nie były rozdzielone. Założyłem łańcuszek na szyję, a jego końce złączyły się w jedno, jak wąż, który chwytą kłami swój ogon. Przez chwilę bałem się, że może zacisnąć się na mojej szyi, ależło to leżało posłusznie na piersi. Jednak nie był to koniec podróży. Z nową nadzieją wypłynąłem w morze.

Udałem się na zachód.

Podróżowałem przez pół roku. Pewnego dnia dotarłem do wielkiej wyspy wystającej z oceanu jak skorupa gigantycznego żółwia. Zacumowałem Bystry Wiatr na plaży o białym piasku. Strome zbocza góry pokryte były palmami kokosowymi, bananowcami, drzewami mango, hibiskusami i fikusami. Przysiadłem na plaży, otwierałem maczetą orzechy kokosowe, wypijałem ich sok i wyjadałem miąższ. Mdlilo mnie od słodczy owoców i marzyłem o misce ryżu zaprawionej kurkumą.

W kilku miejscach piasek zaczął falować, jakby coś wypychało go od spodu. Obserwowałem, jak żółwie dzieci przedzierają się na ten świat i od razu zaczynają wyścig ze śmiercią. Wkrótce między małymi gadami zaczęły przechadzać się drapieżne sępniki i kraby, porywając je i rozszarpując.

Niemal przeoczyłem cel moich poszukiwań, który wypelzł z cienia palm i podązał na żółwią ucztę.

Kobra zostawiała delikatne wyłobienia na piasku. Czarny język badał słone powietrze, ciało błyszczało w promieniach słońca. Wąż porwał szybko żółwika. Ścisnąłem w dłoni maczetę i starając się nie uderzać stopami zbyt mocno o piach, zacząłem podchodzić do węża.

– Daruj sobie. – Wąż odchylił głowę, przelękając żółwika. Spojrzał na mnie oczami błyszczącymi jak dwie czarne perły. – Wywęszyłem twój małpi smród jeszcze gdy byłem w lesie. Nie dam się zabić. – Czarna kobra podniosła tułów i odsłoniła podbrzusze białe jak młode chmury. – Czego chcesz?

– Chcę twojego gemala. – Odpowiedziałem wprost, wiedząc, że wąż i tak zna już odpowiedź. Kobra wybuchła sykliwym śmiechem.

– Człowieku, od kiedy wierzysz w bajki? – Widziałem dwa kły jadowe i czarny język śmigający energicznie w rozbawieniu.

– Odkąd spotkałem Adarnę i króla dzików. – Wskazałem na pióro zawieszane na złotym łańcuchu. Kobra zamknęła paszczę i rozprostowała płaszcz, na którym widniały dwie czarne plamy.

– Mam nadzieję, że ich nie zamordowałaś – wyszczała kobra. – Wy, ludzie, macie okropny zwyczaj zabijania wszystkiego, co stanie wam na drodze.

– Dziwne słowa, jak na kogoś, kto właśnie pożarł niewinne dziecko. – Palce zacisnięte mocno na rękojeści maczety zaczęły mnie mrowić. Kobra była długa i z łatwością mogłaby mnie ugryźć.

– Jego mięso jest mi potrzebne. A w każdej chwili może mnie pożreć sępnik.

To jest właśnie krąg życia, głupi człowieku. Polowanie na kamień tkwiący w mojej głowie, by użyć go do swoich własnych, zapewne samolubnych celów, jest po prostu złe. Powiedz mi – wąż podpełzł w moją stronę, więc cofnąłem się o dwa kroki – dlaczego tak boisz się węży? Nie wiesz, że to ojciec-wąż nauczył ludzkie dzieci rozpalania ognia? Że na czerwonym kontynencie to tęczyowy wąż zarządza rytmem deszczów i słońca? Czy znasz historię węża, który strzegł miasta ludzi?

Pokręciłem głową i zacisnąłem mocniej usta. Język gada zatrzepotał w powietrzu.

– No właśnie. Pozwól więc, że ci opowiem...

## Opowieść o wężu-strażniku

Jest wyspa okrągła jak jajo kazuara i porośnięta gęsto drzewami. Ludzie żyją na niej w kamiennych budowlach, które atakują i odbierają sobie nawzajem. Jest to najprawdopodobniej jakiś rodzaj śmiesznej gry, podczas której nagie małpy zabijają się bezsensownie. Pewnie ty ją rozumiesz.

W jednym z murów znajdowała się brama. Gdy ludzie zaczęli ją wznosić, do wielkiego wykopu pod fundamenty wrzucono człowieka, który dopuścił się jakiejś straszliwej zbrodni. Gdyby ktoś zapytał mnie, jaka mogła być to zbrodnia, to powiedziałbym, że człowiek ten zabił kobrę – ale nikt nigdy nie pyta węży o zdanie. Ów przestępca siedział na dnie wykopu, czysty i odziany w białe szaty, a do środka zaczęto spuszczać wielki kamień węgielny. Mężczyzna krzyczał i płakał, starał się wspiąć po stromych ścianach dziury, ale tylko wyrwał sobie paznokcie. Tymczasem ludzie wokół intonowali pieśni do

najwyższego Atua i nie przestali spuszczać kamienia na głowę przestępcy. Doprawdy, twój gatunek jest podły jak rekiny pożerające własne dzieci.

W końcu kamień zgniótł człowieka.

Kapłani modlili się, by dusza przestępcy uwięzła w kamieniu węgielnym i w razie zagrożenia chroniła miasto. To jeden ze sposobów, by człowiek stał się nieśmiertelny, chociaż uwięziony.

I stało się tak, że wielka armia zaatakowała kamienne mury. Wtedy to spod baszty wypelzł wąż biały jak słodki brzuszek topielca, gruby jak pień palmy, o klach długich jak twoje ramię. Połykał wojowników niczym pelikan sardynki. Był zbyt szybki dla małych grudek mięsa opakowanych w żelazne ubrania. Oczywiście przerażeni ludzie zaczęli uciekać, nie mogąc mierzyć się z potężnym patronem miasta...

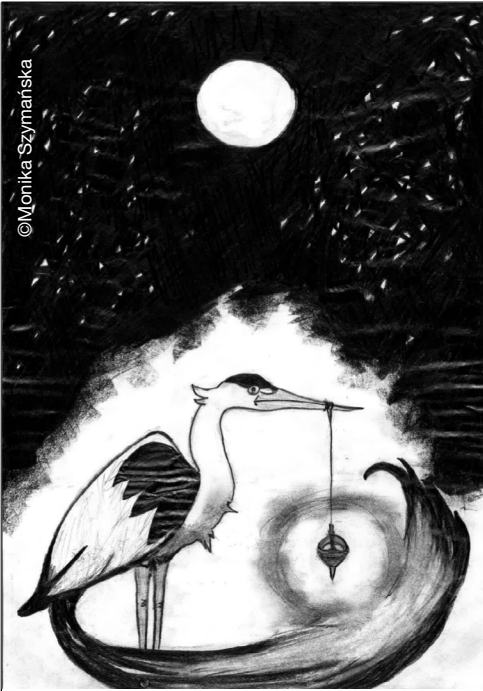
\*\*\*

– Wąż w twojej opowieści był kiedyś człowiekiem, kobro. – Widziałem, że zwierzę próbuje ustawić się w moją stronę tak, by z łatwością mnie ugryźć. – Węże niosą śmierć.

Kobra balansowała ciałem, drgając jak bambus na wietrze. Łuski błysnęły.

– Wiem, że postarasz się mnie zabić, więc cię zaatakuję. Ale ty wiedz, że węże nie zabijają, jeśli nie muszą.

Kobra wyprostowała ciało, rozwarła szczęki i plunęła w me oczy jadem. Adarna ostrzegł mnie, że kobry atakują w taki sposób. Upadłem więc na kolana, gdy tylko dostrzegłem drgnienie płaszcza węża i zamachnąłem się maczetą. Ostrze ze świstem przecięło powietrze i przepołowiło chudy tułów zwierzęcia. Ciało gada trysnęło



krwią. Otwierał i zaciskał szczęki, a druga połowa ciała wiała się po piasku.

Powoli podniosłem się z kłęczek i czekałem, aż rozpołowione ciało się uspokoi. Gdy miałem pewność, że kobra umarła, naciąłem jej głowę i rozwarłem ją kciukami jak skórę pomarańczy. Tkwił w niej jadowicie zielony kamień zdający się pulsować wewnętrznym blaskiem. Był to gemala – kamień ochronny.

Opłukałem go w wodzie oceanu i przyłożyłem do złotego łańcuszka dzika. Kamień przylgnął do cennego kruszcu i stopił się z nim w jedno. Amulet był kompletny. Teraz pozostało najtrudniejsze.

Musiałem paktować z demonem.

Naciąłem maczetą dłoń – lewą, od serca – i krzyknąłem:

– BUJANG SEMBELIH!

Ale demon nie przybył.

Siedziałem potem skulony na szorstkim piasku plaży, a słońca bryza sprawiała, że wargi miałem spękane jak stara kora. Jeżeli demon nie miał zamiaru przybyć, to zmarnowałem parę lat życia na zbieraniu cennych przedmiotów. Dzięki nim mógłbym stać się bogaty i sławny. Bogactwo nie równało się jednak z nieśmiertelnością. Rozpaliłem ogień, nie bojąc się już kanibali i łowców głów, ponieważ miałem na szyi potężny *heitiki* – amulet ochronny.

– Cóż za głupiec próbuje przywołać demona w środku dnia? – Rozległ się głos jak dudnienie gromu.

Podskoczyłem na nogi i chwyciłem maczetę.

Na granicy światła i cienia stała postać wysoka jak drzewo palmowe. Czarny demon pachniał jak pustka – zimna, martwa pustka. Pochylił się ku mnie, opierając długie palce na wąskich, czarnych udach.

– Nosisz na szyi potężny talizman, chłopcze. – Nie miał oczu. Tylko rekinie, trójkątne zęby błyszcząły w jego twarzy.

– Ty jesteś Bujang Sembelih. – Głos mi drżał.

– Jestem.

Przez chwilę słyszałem tylko szum fal i trzaskanie ogniska.

– Czego chce twoja krew, człowieku?

– Jesteś demonem, który podrzyna gardła.

– Przełknąłem ślinę, nagle bardzo świadomy ruchów krtani. – Dusza człowieka, którego zabijesz, może swobodnie chodzić po świecie, jednocześnie nie będąc głodnym duchem.

Śmiał się donośnie i złowrogo. Po moich plecach przebiegły ciarki.

– Tak jest, mały człowieku.

– Wchodzisz w martwe ciało na rok, żeby móc się nacieszyć ludzkimi

przyjemnościami.

– To prawda.

– Oddam ciało, ale po roku chcę w nie wrócić.

Uśmiech Bujanga znikł. Wydawało mi się, że demon stara się mnie ocenić i poczułem się nagi jak ślimak pozbawiony skorupy.

– Istnieje taka możliwość, chłopcze, lecz jest droga jak chińska porcelana.

Nie wiedziałem, co to chińska porcelana. Odetchnąłem głęboko, zbierając odwagę.

– Czego chcesz w zamian?

– Powiedz mi, po co ci ten amulet? Jego tęczowa, szlachetna aura uprawnia cię do podróżyowania po świecie bogów. – Głos demona wprawił żebra w drżenie. – Gdzie chcesz się udać?

– Do Bukit Kaca. – Szept ledwie prześlizgnął mi się po gardle.

Demon znowu wybuchnął śmiechem i wyprostował się, wyrzucając ręce w górę, do gwiazd.

– NIEŚMIERTELNOŚĆ! – Kilka kokosów spadło z palm. Zęby demona błyskały w szerokim uśmiechu. – I nie cofniesz się przed niczym?

Pokręciłem głową.

– Człowieku, zabiję twoje ciało i będę go używać przez rok. Później oddam ci je, jeśli obiecasz mi, że gdy będziesz już nieśmiertelny, spełnisz jedno moje życzenie. – Demon znowu opierał dłonie o uda i pochyłał się, jak petrel nad małżem.

Zatopiłem się w myślach, wiedząc, że demony są przebiegłe i okrutne. Byłem jednak tak blisko! Tak wiele przeszedłem! Przemyślałem dokładnie odpowiedź.

– Tylko jeśli nie odbierzesz mi nieśmiertelności i pozwolisz wrócić do mojego ciała. I gdy minie rok, będziesz tutaj, a nie w niebezpieczeństwie, w więzieniu lub

zadłużony. Jeśli zwrócisz mi moje ciało w nienaruszonym stanie. Jeśli pozwolisz mi się cieszyć dalszym życiem w spokoju.

Demon śmiał się i śmiał, a drzewa drżały jak przy wybuchu wulkanu.

– Zgoda, człowieku. Oddam ci ciało, a gdy już będziesz nieśmiertelny, spełnisz jedno moje życzenie.

– Zgoda.

I demon poderznęła mi gardło.

Stałem się *halulu* – cieniem człowieka. Dusza amuletu przeszła ze mną na drugą stronę, gdy Bujang mnie zabił – tak potężny był ten przedmiot. Szybowałem nad wyspami i morzami. Mijałem gorejące wulkany i rozpraszałem stada albatrosów. Patrzyłem, jak ludzie tańczą na plażach w blasku ognia i kochają się w oceanie. Szukałem boga Bromo.

Dotarłem do niego następnego dnia – widzicie teraz, jak szybko porusza się dusza pozbawiona ciała.

Stałem na brzegu krateru wulkanu.

– Czcigodny Bromo! – Struny głosowe widma stać było tylko na słaby jęk. – Proszę, przyjmij mnie w swym domu!

I wtedy wychynął z dziury, w kłębach pary i pyłu, rozrzucając dookoła rozgrzany żużel. Jego palce zacisnęły się na brzegu krateru, rozbłysły pomarańczą i bielą i rozlały po stoku. Spłoszone papugi zerwały się z drzew w rewii barw. Z jego oczu, ust i uszu buchały płomienie, których żar czułem nawet na duszy.

– KTOŚ TY?! – Ziemia zatrzęsła się i pękła w kilku miejscach. Największy bóg Pacyfiku spojrział na mnie rozognionymi ślepiami.

– Przybyłem prosić cię o przeniesienie na Bukit Kaca, czcigodny wulkanie!

– BUKIT KACA?! – Po stoku potoczyły

się kamienie. – A WIĘC CHCESZ BYĆ NIEŚMIERTELNY, GŁUPCZE? NIE WIESZ, Z CZYM WIĄŻE SIĘ NIEŚMIERTELNOŚĆ? POZWÓL, ŻE OPOWIEM CI HISTORIĘ SANTARO...

## Opowieść o Santaro

Santaro był taki jak ty – wyobrażał sobie, że wieczne życie musi być wspaniałe, pełne przyjemności cielesnych. Prawdę mówiąc, był tak pochłonięty ideą nieśmiertelności, że zdobył pióro Adarny i złoto króla dzika, zabił kobrę i dał poderżnąć swe gardło Bujangowi. Ale nie udał się do mnie, lecz do króla-żurawia. Jednak ptak nie zabrał go na szczyt Bukit Kaca, gdyż był mądry. Jak to król.

Wspaniały żuraw zaniósł Santaro do krainy wiecznej młodości, gdzie cały lud żyje, nie znając ni starości, ni śmierci. Przechadzają się po pięknych, sosnowych lasach, wdychają zapach żywicy, peonii i lilii. Smakują tylko kawioru i ryby fugu. Są wiecznie młodzi – więc wiecznie piękni. Lecz nie mogą umrzeć.

Dlatego, znudzeni życiem jak łodzie dryfujące samotnie po oceanie, ludzie próbowali odbierać sobie życie. Zażywali trucizny i podcinali sobie gardła. Skakali ze skał. Topili się. Dusili i rozczłonkowali. Jednak nic nie skutkowało.

Widząc to, Santaro przestał marzyć o wiecznej młodości i pozwolił żurawowi, by zabrał go do domu. Z amuletem na szyi żył długo i szczęśliwie. Tobie radzę zrobić to samo.

\*\*\*

Wznosiłem widmowe oczy na Bromo. Czyż nie widział, że jestem istotą o dwudziestu jeden palcach? Byłem niemal bogiem! Może

sprawdzał, czy jestem godzien? A wulkan mruknął tak, że fale oceanu zaczęły płynąć w przeciwnym kierunku. Dookoła unosił się pył i wirowały iskry. Bóg widział, że jego opowieść nie zrobiła na mnie wrażenia. Zdenerwował się jeszcze bardziej, z pióropusza pary i popiołu zaczęły uderzać błękitne pioruny.

– GŁUPCZE! – Zdołał już sprawić, że wyspa pogrążyła się w morzu ognia, a do tego urosła o kilka metrów. – NIE SŁUCHASZ BOGA WULKANU?! BĄDŹ WIĘC PRZEKŁĘTY I ODEJDŹ NA BUKIT KACA!

Dmuchnął rozpalonym oddechem wprost w moją duszę i poszybowałem do gwiazd.

Leciałem, mijając chmury. Patrzyłem z góry na świat, dojrzałem boginię ziemię, czcigodną Papę. W końcu mój duch znalazł się w ogromnej, pustej przestrzeni i gdy minąłem gigantyczny, jasny księżyc, ujrzałem bliźnięta Pipiri i Rehua, bawiące się ze sobą przez wieczność w gwiazdnym pyłe. Leciałem tak długo i tak daleko, że straciłem z oczu słońce i pochłonęła mnie przestrzeń między gwiazdami. Szybowałem w nicości.

Aż w końcu, gdy myślałem, że już nic się nie wydarzy i moje marzenie o nieśmiertelności zginie w mrozie kosmosu, stanąłem przed obliczem Vatei.

Tylko, że to nie był Vatea.

Nie wiem, kim był, ale nie siedział na szczycie szklanej góry. Trwał w pustce, jak samotna, zimna gwiazda. Siedział na ciemności, a jego zamrożone palce opierały się na niczym. Miał twarz mroczną i przeźroczystą, a po jego obliczu i szatach przewijały się galaktyki. Wypluwał gwiazdy, a z jego pustych oczu, jak lzy, wypływały drobne planety. Wdech boga trwał dziesięć tysięcy lat, a wydech pięć tysięcy. Bałem się,

że nie ujrzy mojej duszy, drobnej jak mrówka u jego stóp. Lecz on spojrział na mnie i to spojrzenie niemal mnie spaliło.

– Czego chcesz? – Głos rozbrzmiał z mego wnętrza. Patrząc na tę potężną istotę, przy której bogowie byli po prostu niczym, poczułem, jak umieram po raz drugi.

– Panie, o najwyższy, najpotężniejszy! Twórczo gwiazd! Błagam o dar nieśmiertelności!

Najwyższy wypluł białą, pulsującą gwiazdę.

– Głupie dzieci. Dałem wam nieśmiertelne dusze! To powinno wam wystarczyć!

Poczułem złość. Nieśmiertelna dusza nie jest łaską! Bez doznań jest niczym! Lepiej być czczonym bogiem... Tyle przeszedłem, by żyć wiecznie, a dostałem tak marną odpowiedź!

– Czcigodny! Nasze dusze nie mogą odczuwać przyjemności, nie mogą jeść i się kochać, nie mogą wachać kwiatów i spożywać słodkich owoców... Ja... Urodziłem się bogiem! Mam sześć palców w prawej stopie, a to znak boskości! Powinienem być nieśmiertelny, czczony i...

– Z której planety jesteś?

Musiałem się zastanowić, chociaż wstrząsnęła mną wizja innych światów. Niemal już nie pamiętałem, skąd przybyłem.

– Matką ziemią jest wspaniała Papa, która...

– Chcesz być nieśmiertelny? – Przez oko Stwórcy przeleciała kometa. – To będziesz!

I pchnął mnie swoją myślą. Leciałem szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Dusza amuletu objęła się o moją widmową szyję, a ja gnałem tak chyżo jak spadająca gwiazda. Przez mrok, obok słońc i planet. Dojrzałem słodki błękit mojej planety. Zielen lasów. Biel chmur.

I uderzyłem w księżyc.

Stwórca zamknął mnie w nim i nie mogłem się wydostać. Wołałem imiona demonów i bogów, kurczyłem się do rozmiarów perły i próbowałem przecisnąć przez pył księżycowy. Na próżno.

Trzeciego dnia przyszła do mnie Pani Indygo, która żyła na ciemnej stronie srebrnego globu i kazała mi zamilknąć, bo powinienem być zadowolony – stałem się nieśmiertelnym bogiem, panem księżycy i już nigdy nie miałem zejść na Ziemię.

Pewnej nocy, gdy spałem zamknięty w okrągłej, jasnej klatce, posłyszałem głos dobiegający z Ziemi. Wołał mnie po imieniu i nie od razu go rozpoznałem. Kto jednak mógłby mieć głos dostatecznie mocny, jeśli nie demon?

– HA HA HA! Wielki boże księżycu! – Śmiech drażnił moją umęczoną duszę. – Jak smakuje nieśmiertelność?

Moje oblicze było w pełni i oświetlałem wyspy Pacyfiku. Z góry widziałem wysmukłą sylwetkę demona i jego drobny uśmiech, błyszczący jak liście fikusa po deszczu.

– Nie śmieję się ze mnie.

– Dlaczego mam się nie śmiać? – Demon wznosił ku mnie ciemne ręce. – Jak bezczelnym trzeba być, żeby żądać nieśmiertelności, patrząc w oblicze Stwórcy?

Milczałem, a moje światło ślizgało się po falach oceanu i oczach wpatrzonych w siebie kochanków. Zapłakałem, ale nikt oprócz demona mnie nie usłyszał.

– Jesteś teraz bogiem, czcigodny księżycu! – Demon niemal tańczył z radości po szarym piasku plaży, na której oddałem mu ciało. – Możesz spełniać życzenia ludzi i demonów, jeśli tylko zechcesz. A mnie przyrzekłeś spełnienie prośby! – Zrobił piruet i w końcu stanął nieruchomo jak strzelista wieża. – Zająłem się dobrze twoim ciałem, chociaż

korzystałem z niego do woli. Spójrz, leży tutaj – Wskazał na moje odżywione, opalone ciało. Na szyi lśniła blizna, podobna do mojego kształtu, kiedy przysłał mnie cień Ziemi.

– Tak. Wygląda dobrze. Ale nie mogę z niego skorzystać.

– No cóż, ja wywiązałem się z mojej części umowy. To nie moja wina, że Stwórca w taki sposób spełnił twoją prośbę!

Nadałem się jak dziecko. Wszyscy mnie oszukali! Przebiegły demon od początku przewidywał, jak skończy się moja tułaczka! Zapewne nie byłem pierwszym, którego oszukał Adarna! Którego ukarał Bromo! Mnie! Boga o dwudziestu jeden palcach! Tymczasem ramiona demona zatrzęsły się od chichotu. Musiałem wywiązać się z przysięgi. Takie jest prawo wysp.

– Czego chcesz? – sarknąłem.

– Spraw, by demony mogły wchodzić w ludzkie skóry. Spraw, abyśmy mogli zajmować ciała niemowląt.

– NIE! – Nie chciałem skazać ludzi na cierpienie.

– Obiecałeś! – Demon rozstawił szeroko nogi i podparł się pod boki.

– Nie. Nie wszystkich. Demony mogą wchodzić... w co setnego mieszkańca Matki Ziemi. W co setnego człowieka. Czy to ci odpowiada?

Demon usiadł na piasku i skrzyżował

nogi. Przechylił głowę.

– Myślę, że co setny człowiek to dobra propozycja. Jakże nudno by było, gdybyśmy wszyscy zabawiali się ludzkimi ciałami! – demon śmiał się do mnie i wszelkie psy Ziemi mu zawtórowały. Szakale, wilki, kaberu, dingo i kojoty wyją do mnie po dziś dzień na pamiątkę tego strasznego paktu.

Patrzyłem, jak Bujang wślizguje się w moje ciało przez nacięcie na dużym palcu stopy. Patrzyłem bezradnie (JA, bóg księżyca), jak podnosi moje powieki i rozprostowuje palce. Patrzyłem, jak wstaje i oblizuje suche wargi czerwonym językiem.

Mój ojciec miał rację. Byłem głupcem.

Słyszac wycie zwierząt, inne demony pojęły, co się stało, i dopadły co setnego mieszkańca Ziemi, wypędzając dusze z ciał i przejmując władzę nad członkami. Wiedziałem, że uczyniłem rzecz straszną, lecz Stwórca nie zareagował. Nie ukarał mnie po raz drugi, chociaż powinien.

Taka jest moja historia, nie ma dla mnie wytłumaczenia. Do dzisiaj obserwuję spacer demonów między mieszkańcami Ziemi. Widzę, jak dążą do władzy wykorzystując ludzi, jak gardzą biednymi i uciskają słabszych. Ostrzegano mnie, byłem jednak zbyt pyszny i naiwny, by usłuchać. Teraz więc ja ostrzegam ciebie – zawróć, póki możesz.

■ MARTYNA WALEROWICZ

# Oko Cyklonu

## CZĘŚĆ CZWARTA

Autor: Paweł Majka

Ilustrator: Monika Szymańska

**W poprzednich odcinkach:** W wieloświecie stworzonym przez ludzi dzięki podróżom w czasie (każde złamanie czasu prowadzi do powstania nowej rzeczywistości) przez wieki panował chaos, a tysiące światów prowadziło ze sobą wojny. Nad awanturującymi się niezliczonymi wersjami rzeczywistości, w których panowały klony Hitlera i Stalina, bądź utopijne demokracje albo tyranie spartańskie (itd., itp.) zapanowała wreszcie dyktatura Oka Cyklonu: konfederacji rzeczywistości, które jako pierwsze rozpoczęły zaplanowaną produkcję światów równoległych służących im za laboratoria umożliwiające stwarzanie z wyprzedzeniem nowoczesnych technologii. Proces produkcji takich światów był stosunkowo prosty: należało cofnąć się w czasie np. o trzydzieści tysięcy lat i złamać go jakimś istotnym, ale niegroźnym wydarzeniem. Następnie zbudować załączek ściśle kontrolowanej cywilizacji technicznej, która miała teraz trzydzieści lat na opracowanie wynalazków i nowych technologii, które natychmiast były eksportowane do współczesności Oka Cyklonu, wyprzedzającego dzięki temu wszystkich rywali.

W takim to świecie, który z musu jest państwem policyjnym, grupa naukowców wyrusza do jednego z odkrytych, być może stanowiących owoc jakiegoś zapomnianego

eksperymentu, światów równoległych. Nie dość, że jest wśród nich szalony analityk szczytający się posiadaniem setek zaszczerpionych osobowości oraz nawet nie próbujący udawać zakonspirowania agent tajnych służb, to jeszcze muszą zrezygnować z wygodnego transportu i udać się na swoją wyprawę na chronokręcie istot, które wprawdzie pochodzą od ludzi, ostentacyjnie jednak kontestują zarówno ideologię, jak i ewolucję światów Oka Cyklonu. Co gorsza, naukowcy muszą konkurować ze sprytnym, choć trochę wrednym, starym rywalem przewodzającego ich wyprawie profesora.

Jakby tego było mało, u Tany, asystentki profesora, a przy tym osoby uważającej się za jedyną rozsądną na pokładzie chronokrętu, zaczynają się budzić zaszczerpione w niej szczątkowe osobowości jej przodków. Ale to, że się budzą, to pół biedy; one zaczynają także wykazywać cechy indywidualnych świadomości i, zamiast służyć za wygodne, pseudo-inteligentne banki pamięci, próbują nawiązać ze swoją nosicielką kontakt.

Bohaterowie docierają wreszcie na miejsce (i czas!) przeznaczenia, a to, co tam zastają, bardzo im się nie podoba.

**W tym odcinku:** Autor bardzo przeprosza czytelników z niecierpliwością oczekujących na błyski blasterów oraz starcia uzbrojonych

*po zęby naukowców z bandami małpoludów, ale nim dojdzie do poważniejszej awantury, najpierw nastąpić musi przygotowanie teoretyczne. Na szczęście, oprócz tego odcinek wypełniają przede wszystkim dialogi, a na końcu ktoś woła: „bingo!”.*

Ten kawałek skały przed nami to Pluton – obwieścił kapitan Ciszobłysku, gdy fotele pozwoliły im się wreszcie przebudzić. – Zgodnie z waszymi procedurami, posiedzimy w ukryciu przez trzy dni, szukając śladów ziemskiej cywilizacji. Fał radiowych, czegokolwiek. Jeżeli jacyś koloniści Oka lub buntowników przetrwali, znajdziemy ich. Tak czy inaczej, po trzech dniach, o ile nie będzie to niebezpieczne, ruszymy w kierunku Ziemi.

Hasnek nie powiedział wtedy nic. Nie odzywał się przez dwa dni. Zamknął się w swojej kabynie i nikomu nie odpowiadał.

Nie wyszedł nawet, kiedy kapitan ogłosił, że nie znalazł żadnego śladu cywilizacji, w związku z czym można obrać kurs na Ziemię. Radził przygotować się na tydzień podróży, zamierzał bowiem postępować tak ostrożnie, jak tylko się dało.

Dopiero na dzień przed osiągnięciem celu Hasnek wezwał swoją ekipę na spotkanie. Przyszli w trójkę, choć z trudem mieścili się w ciasnym wnętrzu. Ponieważ Hasnek milczał, Tana wykorzystала okazję i opowiedziała o swoim ostatnim śnie, który zaniepokoił ją najbardziej.

– Pluton – zawołał profesor, nim ktokolwiek zdążył odnieść się do kłopotów Tany. – Pluton! Układ Słoneczny! Ziemia! Szaleństwo!

– Karol – odezwał się Iwan. – Braliśmy to pod uwagę. Nie powinieneś być aż tak zaskoczony.

– Ale obliczenia! – jęknął Hasnek. – Powtórzyłem je wszystkie! Sprawdziłem! Wszystko się zgadzało!

– Chronetyka to młoda dziedzina wiedzy – tłumaczył Iwan uspokajającym tonem. – Właściwie prawie jej nie ma, jesteś jej pionierem, Karolu. Być może błąd tkwił gdzieś w założeniach? Nic nie pomogą dobre obliczenia, jeśli źle wyprowadziliśmy wzory.

– A być może i wzory, i obliczenia są dobre, a my zostaliśmy oszukani – powiedziała niespodziewanie Tana. Podsuwane przez strępojąźnię, którym coraz mniej ufała, sny i skojarzenia doprowadzały ją do szaleństwa. Snuła dziesiątki przypuszczeń, próbując ustalić, co się właściwie z nią dzieje.

– Wyjaśnij! – profesor ucepiał się lichej nadziei, zanim Iwan zdążył zażegnać niebezpieczeństwo.

Tylko na to czekała.

– Pomyślcie! Zabrali nas do świata Innych, pozornie po to, żeby przeprowadzić tam dodatkowe obliczenia i przygotować przeskok przy pomocy własnych urządzeń. Wylądowaliśmy na jakimś zadupiu, gdzie nie było nic. Nic! Sterczeliśmy w całkowitej pustce, z dala choćby od jakiegokolwiek gwiazdy. A potem przeskoczyliśmy tutaj. Może więc to nie jest wcale świat Zero, tylko jakaś rzeczywistość stworzona przez nich?

– Po co mieliby to robić? – Iwan spróbował ją uspokoić.

– Po co? Może wysondowali nasze myśli, spodobała im się teoria Karola i postanowili ją wykorzystać? Może to oni wywołali wojnę, żebyśmy musieli skorzystać z ich pomocy?

– No nie, to już jest jakaś paranoja – zachnął się Iwan i omal nie rozpętał awantury. Uratował go mgławica, który odezwał się niespodziewanie, niezwykle jak na siebie spokojnie i rzeczowo.

– Tana! – powiedział łagodnie. – Spójrz na mnie, kochanie! No, spójrz! Teraz skup się i posłuchaj. Uważasz, że Inni sondowali nasze umysły, żeby poznać tajemnice profesora, tak?

Potwierdziła energicznym skinieniem głowy. Chciała coś powiedzieć, ale jej przerwał.

– Skoro są telepatami i wyciągnęli z naszych głów wszystko, co chcieli, to po co zabrali nas tu ze sobą? Do czego im jesteśmy potrzebni?

– Ja... Może wszystkiego nie wyciągnęli? Może czegoś nie wiedzą? Może...

– Są tutaj, Tano. Dostali od nas wszystkie obliczenia. Czego jeszcze mogą nie wiedzieć?

– To te sny – załamała się. – Wariuję od nich! Cały czas radzą mi uważać, szukać spisków! Ja... przepraszam. Rzeczywiście zrobiłam z siebie idiotkę.

– Większą niż myślisz – tym razem mgławica uśmiechał się triumfalnie. – Inni nie są, o ile obliczam, telepatami. Ale ich statek to żywa, inteligentna istota i słyszał wszystko, co mówimy. Prawdopodobieństwo, że czeka nas niekoniecznie przyjemna rozmowa z kapitanem, uważam za spore. Sugeruję, byśmy byli podczas tej rozmowy szczerzy.

Przez chwilę przyglądali mu się przestraszeni i zdziwieni. Pierwszy ocknął się Iwan.

– Dlaczego nas nie ostrzegłeś, do cholery!

– Niewiele by to dało. Jak znam profesora, lubi on rozwiązywać trapiące go problemy, rozmawiając sam ze sobą. Jeśli nie zmienił nagle zwyczajów, od ponad tygodnia karmi statek swoimi monologami. Oddam 10% swoich zasobów obliczeniowych, jeśli się myślę. Kapitanie?

– Nie mylisz się – odpowiedział interkom głosem dowódcy biokrętu. – Zapraszam

państwa do mesy.

– Do mesy? – zmęczenie najwyraźniej nie pomagało Tanie.

– Na mostku nie pomieścimy się wszyscy – wyjaśnił jej szybko Tojo.

– Wszyscy?

– Wszyscy, ty historyczna idiotko – roześmiał się. Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w kierunku otwierających się drzwi.

– Założę się, że kapitan zwołał całą załogę. Zauważyła, że ponownie owinął sobie symbiota wokół szyi. Upewniło ją to, że nie powinna mu ufać.

*Jeśli ktoś wie więcej od innych, to znaczy, że ma jakieś tajemnice – szeptały głosy w jej głowie. – A to oznacza przewagę, którą, skoro nie mówi wszystkiego, chce jakoś wykorzystać. Przeciw komu?*

\*\*\*

Już na nich czekali. Samias Kodi Vau i Gorei Kodi Cedeer oraz ich Wierni. Kapitan i nawigator siedzieli przy długim stole. Wierni zgromadzili się za ich plecami. Przypatrywali się swoim gościom bez cienia zaufania.

A jednak Samias Kodi Vau uśmiechnął się na powitanie.

– Usiądźcie, proszę – wskazał im krzesła. – Musimy porozmawiać przed lądowaniem. O ile wylądujemy. Jest kilka rzeczy, które musimy sobie wyjaśnić.

Hasnek, zupełnie zdruzgotany, nie powiedział nic. Pozwolił, by jeden z Wiernych podsunął mu krzesło i usiadł, wbijając wzrok w blat.

Iwan uznał, że musi przejąć inicjatywę. Tana dostała ataku hysterii, Hasnek nie nadawał się do niczego, a mgławica właściwie

nie był już człowiekiem. Pozostawał on.

– Sporo usłyszeliście – rozpoczął. – Ale nie macie prawa mieć do nas pretensji. Nie złamaliśmy umowy.

– Nie byliście szczerzy co do celu waszej wyprawy! – warknął Gorei Kodi Cedeer, najwyraźniej znacznie mniej opanowany niż jego dowódca.

– Doprawdy? To wciąż wyprawa naukowa, której celem jest zbadanie świata nie istniejącego na żadnej z map Oka Cyklonu ani waszych. Odkryliśmy go za pomocą nowatorskich obliczeń profesora Hasneka. Co się nie zgadza?

– Dobrze wiecie, co się nie zgadza! – nawigator był coraz bardziej zdenerwowany. – Wasz profesor wymamrotał wystarczająco dużo, żebyśmy domyślili się, jak wiele przed nami ukrywacie!

– Nie złamaliśmy żadnego paragrafu umowy – upierał się Iwan. Cieszyła go złość Innego, rzadko można było obserwować zdenerwowanego któregoś z nich.

Samias Kodi Vau powstrzymał gestem swojego podwładnego.

– Ma pan rację. Nie złamaliście umowy w żaden formalny sposób, choć moim zdaniem poważnie naruszyliście jej ducha. Ale nie zaprosiłem was tutaj, żeby się kłócić, tylko by wymienić informacje. Teraz, kiedy znamy część prawdy, wasza wyprawa dopiero stała się dla nas interesująca. I jeszcze bardziej chcemy wziąć w niej udział.

– Nie wątpię! – wyszczerzył się Iwan. – Tylko czy my chcemy...

– Dość! – Hasnek zaskoczył wszystkich. – Dość tego, Iwan!

Wyprostował się na krześle, by spojrzeć kapitanowi w twarz. Przyglądał się jej niedługo, korzystając z ciszy, jaką wywołało jego niespodziewane przebudzenie. Potem

obrócił się do Iwana i powtórzył:

– Dość. Nie przyszliśmy tu się kłócić, jakbyśmy negocjowali cenę na jakimś... targu! To nie gra wywiadu, Iwan.

– Kapitanie – zwrócił się do Innego. – Rzeczywiście, ukrywaliśmy przed wami to i owo. Ale ukrywaliśmy to przed wszystkimi. Nasza... Moja teoria jest dość śmiała. Chyba zrozumie pan, że pewnych rzeczy nie ujawnia się przed uzyskaniem pewności albo choćby wystarczająco mocnych przesłanek. Nie kierowała nami wrogość czy nieufność, a jedynie zawodowa ostrożność. Proszę mi wybaczyć, jeśli urażiliśmy was w jakiś sposób.

– Dziękuję, profesorze. Oczywiście, rozumiem. Istotnie, ma pan rację. I ja muszę przeprosić, podслуchiwaliśmy przecież wasze rozmowy. Nie można było jednak tego uniknąć, Ciszoblysk nie ma możliwości wyłączenia części siebie. Widzicie, my wszyscy pozostajemy w stałym, nieustannym kontakcie, rodzaju związku. To, co wy rozumiecie jako odosobnienie, dla nas jest niezrozumiałe. Dlatego nie pomyśleliśmy nawet o jakiejś formie... odizolowania was. A to, co usłyszał Ciszoblysk od profesora, było zbyt fascynujące, by przejść obok tego obojętnie. Teraz ja proszę o wybaczenie. Niemniej być może poszczęściło się nam obu...

– Poszczęściło się?

– Proszę mi powiedzieć, co tak naprawdę wie pan o światach spontanicznych, profesorze. A wtedy powiem panu, co wiem ja.

Cała energia uszła natychmiast z Hasneka.

– Wy wiedzieliście wcześniej! – wykrztusił. – Wiedzieliście o...

– Nie nazywamy ich w ten sposób. I nie tyle „wiemy”, co raczej „przypuszczamy”. To teoria. Ale możemy pomóc sobie nawzajem, profesorze. Proszę.

– Dobrze więc – Hasnek odetchnął

głośno, głęboko.

„A niech tam!”, pomyślał. „Przecież cała ta sprawa jest już i tak praktycznie nic nie warta!”

\*\*\*

– Światy równoległe – rozpoczął profesor – teorie wieloświata, wszystko to zeszło na plan dalszy, gdy rozpoczęliśmy podróże w czasie i napotkaliśmy ich konsekwencje. Po co przeznaczaczą miliardy na badania, które nie przyniosą żadnej wymiernej korzyści na tyle szybko, by komukolwiek mogło się to opłacać? Kiedyś naukowcy straszliwi polityków wizją zamarzniętego wszechświata, przed którym można by szukać ucieczki we wszechświecie równoległym. Ale jaki sens mają badania nad takimi światami, kiedy możemy stwarzać sobie własne, cofając się w czasie i rozpoczynając swoją historię na miliardy lat przed ostatecznym końcem? Schwytaliśmy wieczność w pułapkę techniki. Byliśmy bezpieczni.

Wojny wymuszały na nas wyszukiwanie prostych, praktycznych rozwiązań. W efekcie jednak utraciliśmy kontrolę nad rozwojem wieloświata. Minęły wieki, nim wszystko uspokoiło się na tyle, że mogliśmy się zabrać za sprzątanie. A wtedy odkryliśmy, że stworzyliśmy chaos.

Nikt nie panował, nawet się nie starał, nad produkcją światów. Celowo

użyłem słowa: „produkcja”, bo trudno nazwać to inaczej. Stwarzaliśmy światy niemal na skalę przemysłową, bo też traktowaliśmy je jako fabryki. Po prostu cofaliśmy się w czasie, budowaliśmy nowoczesną cywilizację, by korzystać z tysięcy lat jej odkryć. Fabryki, mówię, nie światy! Wyssane do cna z bogactw naturalnych i skazane na degenerację myśli, ukierunkowanej przede wszystkim na produkcję broni. Nic dziwnego, że wszystkie upadały!

Wojny dobiegły końca i trzeba było odbudowywać świat. Ale jaki? Nie udawało nam się zapanować nawet nad nadprodukcją światów Oka Cyklonu, a co tu dopiero mówić o tych tworzonych przez buntowników! Setkach, może tysiącach światów, których istnienie buntownicy starali się przed nami ukryć w nadziei, że kiedyś przyniosą nam zagładę. Należało wymyślić sposób, jak je odnaleźć. Nikt nie chciał powtórki wojny, a ona mogła zbierać w tych zapomnianych światach. Wywiad, najbardziej nawet efektywny, nie był w stanie poradzić

sobie sam. I wtedy teoretycy znów okazali się potrzebni.

Pamiętacie zagadkę ciemnej materii? Tego tajemniczego składnika wszechświata? Okazało się, że nie była ostatnią zagadką kosmosu. Odnaleźliśmy coś, co ktoś dowcipny nazwał Stałą Everetta. Pewną, wydawałoby się, bezużyteczną energią, obecną



w każdym ze światów. Badania wykazały, że istniała już przy narodzinach wszechświata i że w każdym ze światów jest jej tyle samo. Kiedy już nauczyliśmy się ją rejestrować, okazało się, że jest praktycznie wszędzie, w każdym atomie, w najdrobniejszej z cząsteczek. Dziwna energia, która nie miała, jak się zdawało, żadnego wpływu na rzeczywistość. Ale we wszystkich atomach było jej tyle samo. Zbadaliśmy elektrony, zbadaliśmy kwarki, miony, taony... Wszędzie istniała, przy zachowaniu proporcji, taka sama. Nawet nie wiadomo, czym była, w końcu bowiem przestano nazywać ją energią. Pozostała Stałą Everetta, ciemną materią ery wieloświata.

A potem odkryliśmy, że wcale nie była taka stała. Że kiedyś jej wielkość była inna, większa. Ponad sto lat, sto rzeczywistych lat, poświęcono na śledzenie rozwoju Stałej Everetta w historii świata Oka Cyklonu. Ustaliliśmy, że nie zmieniała się przez miliony lat. Pierwsze zmiany zaczęły się, gdy odkryliśmy podróże w czasie. Największe nastąpiły podczas wojen, kiedy mnożyliśmy światy w stopniu niewyobrażalnym. I wtedy Stała Everetta okazała się być „stałą” na nowy sposób...

Okazało się, że w wieloświecie jest jej zawsze tyle samo. Ani nie przybywa, ani nie ubywa. Jedynie rozrzedza się z każdym nowo powstałym światem. Nie wiemy jak, nie wiemy dlaczego – nic nie wiemy. Pomiary Stałej, zestawienie jej wartości sprzed ery mnożenia światów i obecnej, pomogło nam, w prosty sposób, obliczyć liczbę istniejących światów w naszym wieloświecie. W ten sposób dowiedzieliśmy się, ilu jeszcze nie odnaleźliśmy. Teraz wystarczyło poszukać.

Tu znów z pomocą przyszła nam Stała. Każdy ze stworzonych wszechświatów miał swoją historię, dzięki temu mogliśmy opracować rozkład zmienności Stałej

w czasie. W ten sposób stworzyliśmy wielką mapę Wieloświata, na której zaznaczaliśmy białe plamy – brakujące etapy historii rozrzedzenia Stałej. Odnajdywanie zaginionych światów stało się proste.

– A jak to się ma do pańskich światów spontanicznych?

– Zналиście historię Stałej i tylko was zanudziłem, co?

– Ja znałem historię Stałej – przytaknął kapitan. – I mój nawigator również. Ale nasi Wierni już nie. Wie pan, profesorze, założę się, że i u was nie wie o niej nikt poza specjalistami.

– W porządku. Widzi pan, widzicie państwo... Ja nie wychodziłem w badaniach od Stałej Everetta. To znaczy, należałem do zespołu zajmującego się wyszukiwaniem światów, ale to była prosta praca. Ja byłem ciekaw, czy rację mieli dawni fizycy. I czy istnieją inne, niestworzone przez człowieka światy. Takie, które powstały same.

– Światy spontaniczne?

– Światy spontaniczne. Jak je wykryć? Mówiąc krótko – znalazłem nieścisłości w naszych mapach. Zdziwiająco nieścisłości, bo przecież mapy wieloświata powstały na podstawie sprawdzonych wyliczeń. Kierując się nimi, odnajdywaliśmy zaginione światy, a zatem musiały być prawidłowe. A jednak nie. Jednak coś było nie tak. Wyliczone przez nas rozrzedzenie Stałej nie zgadza się z liczbą istniejących światów. Znaleźliśmy takie, w których stan rozrzedzenia był zaskakująco niewielki, które nie powinny, według naszych map, istnieć. Doszło do paradoksu – obliczenia równocześnie były i nie były prawidłowe.

– I wymyślił pan inny świat startowy?

– Brawo, kapitanie! Wymyśliłem inny świat startowy. Równoległy do naszego, z którego wygenerowane zostały inne światy

poходne. Spróbowałem uwzględnić jego istnienie w obliczeniach i uzupełnić mapy wieloświata. Znalazłem kilka potencjalnych światów startowych, światów Zero. Ten wydawał się najbardziej... prawdopodobny.

– Tamte światy ze zbyt małym rozrzedzeniem Stałej... – odezwał się po chwili zastanowienia kapitan. – One były kopiami ziemskiego wszechświata? Kopiami Oka Cyklonu?

– Tak, tak, Ziemia i tak dalej.

– Pan wybaczy, profesorze, ale to się wydaje dziwne. Dlaczego światy nie pochodzące od Oka Cyklonu były takie same jak on?

– Ba! Istnieją dwie teorie. Jedna z nich jest stara, pochodzi jeszcze sprzed podróży w czasie. Mówi, że wszystkie światy równoległe stanowią wariację na swój temat. Wszędzie kosmos wygląda tak samo, przynajmniej ma taki sam początek. Późniejszy rozwój takiego kosmosu warunkowany jest niewyobrażalną ilością zmiennych, ale równie dobrze (prawdopodobieństwo jest znikome, ale nie zerowe) może się powtórzyć jego historia podobna do historii Oka. Może ludzie wyglądaliby tam nieco inaczej, może ewolucyjny wyścig zwyciężyłyby mrówki... Ale ogólnie rzecz biorąc – byłoby podobnie.

– A druga teoria?

– Światy mogą nie mieć ze sobą nic wspólnego. Wie pan, aż do innej fizyki włącznie.

– Przyjął pan pierwszą teorię?

– Byłem wyznawcą drugiej. Teoria podobieństw wydawała mi się zbyt nieprawdopodobna. Ale istnienie światów z zaburzonym rozrzedzeniem zdawało się ją potwierdzać. Były identyczne, a przecież inne.

– Ale to znaczy, że mogły zawierać obce ludzkie cywilizacje, prawda?

– Owszem. Tacy ludzie powinni być zdziwieni przybyciem podobnych im istot

z równoległych rzeczywistości, próbować nawiązać z nimi kontakt. Ale niech pan sobie wyobrazi, że podczas wojny buntowniczy chronokręt przeskakuje do innego świata i odnajduje Ziemię, a na niej cywilizację, która nie posiada żadnej charakterystyki buntowników. Co by pan pomyślał?

– Że to jeden ze światów pochodnych Oka Cyklonu – skinął głową kapitan. – Rozumiem. Ocenilibym siły i uciekł, żeby wrócić z większą flotą albo zaatakowałbym od razu.

– A potem mógłby pan wykorzystać ten świat i cofnąć się w czasie, tworząc jego odgałęzienia i mnożąc je. A wszystko to nie zdając sobie sprawy, że to już odgałęzienia innego wszechświata. Stałą Everetta odkryto dopiero po wojnie.

– No dobrze. Skąd w takim razie pana wzburzenie, profesorze? Znaleźliśmy świat, który podejrzewa pan o bycie światem spontanicznym. W czym kłopot?

– Niedługo po przeskoku pobraliście próbki z kawałka asteroidy, w pobliżu której przelatywaliśmy. Zapoznałem się z tymi próbkami.

– Wiem, pytał mnie pan o pozwolenie. Nie znaleźliśmy w nich nic interesującego.

– Bo nie macie narzędzi do pomiaru rozrzedzenia Stałej! – Hasnek zdrzał. Chwył szklankę z sokiem i opróżnił ją jednym haustem. – Zmierzyłem rozrzedzenie. Jest bardzo niewielkie. Mniejsze niż w jakimkolwiek ze znanych nam światów.

– Znakomicie. Czyli pańskie obliczenia były prawidłowe.

– Nie rozumie pan! Ono jest mniejsze niż rozrzedzenie Oka Cyklonu! Nic nie ma prawa być takie!

*Bingo!*, ucieszyły się głosy wewnątrz Tany

# Z pustego w próżne,

czyli wszystko co powinniście wiedzieć o vanity publishingu, ale nie chciało się Wam zapytać albo

## Zajdelgate 2016

Autor: Michał Szymański

**W**ysłałem wiadomość z prośbą o odpowiedź na kilka krótkich pytań dotyczących ich doświadczeń na rynku, współpracy z wydawcami i przemyśleń o tegorocznym Zajdelgate.

Biorąc pod uwagę ton krążących w sieci artykułów o *vanity*, trochę spodziewałem się zbiorowego okrzyku „Oszukali nas!” i historii godnych *Sprawy dla reportera*. Bywało i tak, bywało też bliżej stwierdzenia „Ogólnie jest spoko, ale...”. No więc po kolei.

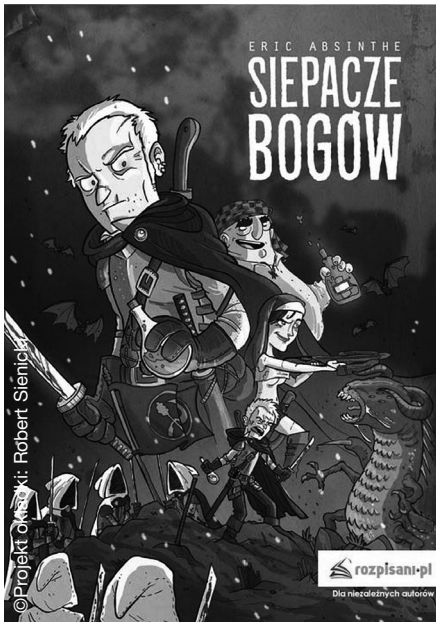
*Czytam w sieci narzekania na propagandę vanity presses wmawiających autorom, że nie da się w Polsce zadebiutować bez wyłożenia forsy na stół. Ta propaganda, o czym być może warto pamiętać, nie bierze się znikąd i nie żywi się sama sobą.*

**Patrzę na zdjęcie zajdlowej statuetki i tak sobie myślę, że jej wojownicza, rozwrzeszczana poza świetnie oddaje klimat tych wszystkich dyskusji, które co sezon toczą się wokół nagrody. Tegoroczna dotyczyła obecności wydawnictw współfinansowanych na listach pomocniczych. Wystosowano z tej okazji nawet „pewien protest”. Ostatecznie,**

**jak zwykle, wszystko rozeszło się po kościach. Na konto panów protestujących z pewnością można wpisać jedno istotne osiągnięcie: dyskusja o vanity publishingu rozgorzała na nowo. Trudno jednak nie zwrócić uwagi, że zabrakło w niej pewnego elementu: głosu klientów wydawnictw.**

No dobrze, były wyjątki, lecz główny wątek większości dyskusji biegł od zdecydowanych przeciwników *vanity* niezwiązanych z *vanity* do umiarkowanych obrońców *vainty* niezwiązanych z *vanity*. Zataczał szerokie kręgi, nie zauważyłem w nim jednak ani jednego argumentu, którego ktoś by wcześniej nie przytaczał w podobnych dyskusjach. Może z wyjątkiem postu na fejsbukowej Polskiej Fantastyce, do autora którego jeszcze wrócę. Ten brak reprezentacji oskarżanej strony aż się prosił o uzupełnienie.

Próby uzupełniania zacząłem od wydawnictw. Pierwszą odpowiedź otrzymałem od słynnego *Novae Res* i błyskawicznie zorientowałem się, że błędzę. Odpowiedź brzmiała, cytując: „Dzień dobry, nie jesteśmy



wydawnictwem *vanity press*, ale chętnie wypowiemy się w tej sprawie jako organizatorzy konkursu Literacki Debiut Roku”. Nadesłane kilka dni później właściwe stanowisko redaktora naczelnego firmy streszcza się w zasadzie w dwóch pierwszych zdaniach tekstu: „W mojej opinii nie ma żadnych merytorycznych przesłanek, które świadczyłyby o tym, że decyzja konkretnego wydawnictwa o publikacji danego dzieła bądź nie miałyby być wyznacznikiem jakości jakiegokolwiek tekstu kultury. Jakość prozy powinna stanowić jedyne kryterium, a nie logo oficyny na okładce”. Argument ten jest w dużej mierze zbieżny ze stanowiskiem części krytyków inicjatywy Dębskiego. Nie wniósł on tedy wiele nowego do dyskusji. Początkowo nieco mnie to zniechęciło, postanowiłem jednak sięgnąć głębiej.

Wzmiankowana grupa Polska Fantastyka od jakiegoś czasu utrzymuje listę

wydawnictw podejrzewanych o bycie *vanity press*. Z ową listą w jednym oknie przeglądarki i z zajądlową listą pomocniczą w drugim przystąpiłem do selekcji utworów, o które konkretnie w odezwie Dębskiego chodziło – fantastyki z zeszłego roku wydanej prawdopodobnie za pieniądze autorów. Następnie do wszystkich pisarzy, którzy pozytywnie przeszli moją selekcję, wysłałem wiadomość z prośbą o odpowiedź na kilka krótkich pytań dotyczących ich doświadczeń na rynku, współpracy z wydawcami i przemysłań o tegorocznym Zajdelgate. O kontakt nie było tak trudno – zdecydowana większość jest obecna w mediach społecznościowych, prowadzi blogi, podaje swoje dane na stronach wydawnictw itp. Odpowiedziała mniej więcej połowa, łącznie przeprowadziłem trzynaście krótkich wymian pytań i odpowiedzi. I tu się zaczyna właściwa treść niniejszego artykułu.

Zanim jeszcze przejdę do meritum, chciałbym coś zaznaczyć. Zdaję sobie sprawę, że część tego, co poniżej drukujemy, nie do końca zgadza się z obowiązującą w fandomie wizją świata i człowieka. Przez ostatni miesiąc naprawdę sporo się naczałem negatywnych i lekceważących opinii na temat autorów wydających tym konkretnym modelem. Uogólnienia mają niestety to do siebie, że często są krzywdzące. Oto więc, co udało mi się ustalić na podstawie rozmów prowadzonych tak obiektywnie i bez uprzedzeń, jak było to dla mnie możliwe.

I jeszcze jedno: nie chodzi w tym tekście o poziom artystyczny wydawanej przez *vanities* fantastyki. Przejrzawszy fragmenty inkryminowanych książek, mogę tylko powiedzieć, że jest on, delikatnie mówiąc, różny. Abstrahując od tego aspektu, przejdźmy do konkretów.

## Dlaczego tak, a nie inaczej?

Pokutują wśród pisarzy i wydawców dwa mity odnośnie vanity publishingu: że to droga dla tych, którzy są za słabi, by wydać normalnie, i że jest to droga dla niecierpliwych. Oba mity są częściowo prawdziwe, choć nie do końca. Faktycznie w moich rozmowach z autorami kilkakrotnie powraca motyw typu: „normalna ścieżka wydawnicza byłaby dla mnie za długa” Czasem idą za tym konkretne uzasadnienia – Eliza Drogosz, debiutująca w Poligrafie w wieku 17 lat powieścią *Władca piasków*, mówi: „Gdy zaczęłam rozglądać się za wydawcą dla mojej książki, wydawnictwo Poligraf przykuło moją uwagę tym, iż obiecywało wydać utwór w zaledwie kilka miesięcy. Z bardzo ważnych dla mnie przyczyn symbolicznych chciałam wydać *Władcę Piasków* jako siedemnastolatka, a Poligraf dawał mi taką możliwość”. Nie wydaje się żałować swojej decyzji. Chwali firmę za indywidualne podejście do autora i produktu, narzeka na marketing, jak wszyscy, ale to z kolei potwierdza tylko inną obiegową opinię: jeśli wydawnictwo nie ryzykuje swoimi pieniędzmi, nie zależy mu na promocji i sprzedaży. Smutna prawda.

Z jakością utworów również nie jest do końca tak, jak wynikałoby z logiki „protestu” – w dyskusjach na ten temat pisarze zaangażowani po stronie usunięcia *vanity* z list często powtarzali, że autorzy publikujący w takim systemie nie daliby rady wejść na rynek w żaden inny sposób. Tymczasem dwóch spośród moich rozmówców w chwili obecnej ma podpisane umowy z „tradycyjnymi” wydawnictwami, dwóch kolejnych otrzymało z takich wydawnictw propozycje wydania książek, które puścili w *vanity*,

niestety już po podpisaniu umowy z tymi ostatnimi (v. niecierpliwłość).

Przy okazji, lista Polskiej Fantastyki okazała się mniej wiarygodnym źródłem niż zakładałem – klienci Rozpisanych (wydawnictwo „podejrzane” o bycie *vanity*) konsekwentnie używają terminu *self* do opisu swoich publikacji, a ja nie znalazłem żadnego dowodu na to, że mijają się z prawdą; procedura nadania numeru ISBN jest tu zmartwieniem pisarza, nie wydawcy, co może uchodzić za jeden z wyznaczników. Tak więc spośród dwudziestu ośmiu autorów na liście pomocniczej podejrzanych o vanityzm, przynajmniej pięciu współpracuje też z tradycyjnym obiegiem. (Pomruk zaskoczenia roznosi się po sali.) Wśród nich jest między innymi Jan Antoni Homa, mający na koncie dwa kryminały i jedną powieść realistyczno-magiczną wydane w Sol i MG. O powodach swojej decyzji mówi: „Selfpublishing jest dla mnie alternatywną formą publikowania. Żeby ją ocenić, najlepiej przejść tę ścieżkę samemu. Wiedziałem, że kiedyś spróbuję, a „Bunt manekinów” wydał mi się odpowiednią pozycją dla takiego eksperymentu. Wydawnictwa oczekują od swoich autorów pewnej przewidywalności. Trudno oczekiwać, że oficyna zajmująca się - mówię dla przykładu - literaturą kobiecą, bez namysłu zdecyduje się opublikować powieść sf lub antyutopię. Dla autora próbującego nie ograniczać się do jednego gatunku oznacza to konieczność szukania zupełnie nowego wydawcy, co jest procesem żmudnym, czasochłonnym i nie skazanym z góry na sukces”.

Dlaczego jeszcze *vanity*? Kilkakrotnie powraca motyw kontroli nad procesem wydawniczym i ostateczną formą publikacji, która rzeczywiście wydaje się być tu nieco większa. A jedna autorka pisze wprost: „Nie

jestem profesjonalną pisarką i nie liczyłam ani nie liczę na jakikolwiek sukces w tym temacie. To skomplikowane; bo ta książka to słodka... powiedzmy zemsta”. Tak więc niecierpliwość i brak innych propozycji to motywacje może i częste, ale na pewno nie jedyne.

## Kultura współpracy

Chyba najbardziej zróżnicowane odpowiedzi otrzymałam na pytania o subiektywne wrażenia ze współpracy z wydawcami.

**Biorąc pod uwagę ton krążących w sieci artykułów o *vanity*, trochę spodziewałem się zbiorowego okrzyku „Oszukali nas!” i historii godnych *Sprawy dla reportera*.**

Bywało i tak, bywało też bliżej stwierdzenia: „Ogólnie jest spoko, ale...”. No więc po kolei.

**Michał Cieczo o *Witanecie*:** „Jest to małe wydawnictwo, ale traktuje swoich autorów poważnie. Wszystkie warunki umowy i rozmowy na ten temat wyglądały profesjonalnie. Do tego, wydawnictwo było chętne na kilka ustępstw na moją korzyść”. Z przyczyn prawnych nie dowiemy się raczej, jakie to były warunki i ustępstwa, ale wyjściowo nie jest źle. Idziemy dalej.

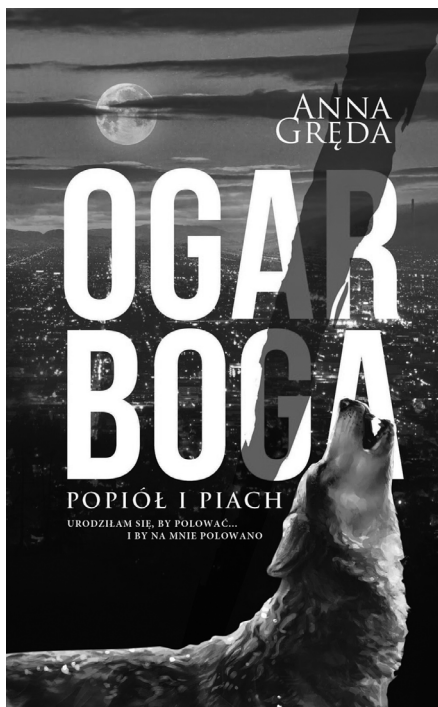
**Tomasz Kołomyjski o *Psychoskoku*:** „Zupełnie nie polecam, nie wiem jak się zapatrują na to inni autorzy, którzy współpracowali z tym Wydawnictwem, ale dla mnie jest to doświadczenie rozczarowujące i gorzkie. Naprawdę, chciałbym w tym miejscu powiedzieć coś dobrego, ale jest to niezwykle trudne, ponieważ wszelkie miłe elementy przesłania mi zerowy rezultat ich działań marketingowych”.

**Ewa Sikorska-Jabłonowska, ta sama firma:** „Szczerze polecam. Zaznaczam, że inne wydawnictwa brałam pod lupę, ale nie

spełniały moich wymogów”.

**Jan Parandyk o *Poligrafie*:** „Rozmowy telefoniczne miłe i pełne obietnic o wydaniu i sprzedaży mojej książki zakończyły się ofertą wydrukowania 1000 egzemplarzy i pomocy w ich sprzedaży. Wydawca, po zapoznaniu się z tekstem (o którym wyrażał się nieledwie z zachwytem), zainkasował 10 000 zł za wydrukowanie książki. Miły ten fakt miał miejsce w październiku 2015 r. I od tej pory nie stało się nic. Po półrocznym więc czekaniu zadzwoniłem do redakcji. Tam dowiedziałem się, że książkę owszem, będą sprzedawać, jeśli wyłożę pieniądze na jej reklamę”.

**Eliza Drogosz o tymże *Poligrafie*:** „Pozytywnie oceniam ich podejście do autora, komunikację, która odbywała się sprawnie. Bez problemu zaakceptowano zaproponowane przeze mnie





zmiany do umowy. Zawiodłam się natomiast w kwestii promocji. Generalnie odniosłam wrażenie, że doświadczenia marketingowego wydawnictwo nabierało poprzez promocję mojej książki.”

**Rafał Cichowski (nominacja do Zajdla 2016) o Novae Res:** „Nikt nie mamił mnie wizjami wielkości, ogromnych nakładów, czy półek w empikach uginających się od moich powieści. Szczerze mówiąc sam byłem zaskoczony, że książka w ogóle pojawiła się w empiku, bo znam rynek „od środka” i wiem ile pieniędzy kosztuje wydawców współpraca z tą instytucją. Ogólnie pełen profesjonalizm. Na każdym kroku byłem informowany o tym, co się dzieje z moją książką, jakie są następne kroki, kto napisał recenzję, gdzie odbywają się targi, kiedy mogę spotkać się z czytelnikami itp. Od

siedmiu lat pracuję w reklamie, więc sam miałem kilka pomysłów na promocję i Novae Res bez żadnego oporu je wszystkie zrealizowało. Do dziś panuje między nami bardzo dobra atmosfera i wciąż dopytują kiedy skończę kolejną książkę”.

Powszechnie żartuje się ze „stockowych”, taśmowo produkowanych okładek. Bywa jeszcze gorzej, Anna Gręda opowiada na przykład: „Grafik tłumaczył mi, że projektu okładki nie ma od dłuższego czasu, bo on nie ma pomysłu na projekt. Przez to projektowanie okładki przedłużyło się o dwa tygodnie”. Tomasz Kołomyjski: „Propozycje okładki nadesłane przez grafika wołały o pomstę do Nieba, będąc na żenującym poziomie estetycznym (dlatego przygotowała ja moja żona); osoba odpowiedzialna za skład książki robiła podstawowe błędy, które musiałem potem wykazywać Wydawnictwu i prosić o ich poprawienie. Ponadto, wyraźnie prosiłem Wydawnictwo, aby w razie możliwości nie zmieniać struktury książki - na znak zrozumienia zmieniono czcionki, układ tekstu i wprowadzono inne nieautoryzowane modyfikacje”. Swoistym wyjątkiem jest 2049, opracowane graficznie przez Piotra Cieslińskiego, ilustratora m.in. serii o Achai czy MAGowskich „Artefaktów”, to jednak znowu zasługa autora i jego prywatnych kontaktów, nie starań wydawnictwa (Rafał Cichowski utrzymuje zresztą, że żadnych przelewów na konto Novae Res nie wykonywał – część ich książek wchodzi na rynek w normalnym trybie). Moje luźne podejrzenie jest takie, że firmy na zimno kalkulują potencjał komercyjny książki, po czym zatrudniają takich grafików i redaktorów, na jakich ich zdaniem książka zasługuje. Autorzy, oczywiście, nie są w ten proces wtajemniczeni.

Taka z grubsza korelacja rysuje mi się po przejrzeniu książek moich rozmówców i jeśli mam rację, znaczy to, że najlepszą opiekę dostają ci, którym najłatwiej byłoby wyjść drukiem bez dopłacania do inwestycji. Co czyni ich sytuację niezbyt korzystną, bo dostają z grubsza taki poziom usługi, jaki w innych wydawnictwach przysługiwałby im gratis. Z wyjątkiem marketingu, marketing zawsze jest marny.

## Kwestia sprzedaży

Najbardziej zadowoleni z promocji swoich książek są ci, którzy wzięli ją praktycznie na siebie albo przynajmniej trzymali nad nią pieczę. Reszta narzeka, i słusznie, opłacili wszak faktury, na których wymieniono również usługi marketingowe. Jeden pisarz musiał wyklócać się o możliwość zorganizowania spotkania autorskiego, inny miał jechać na targi książki bez książki, bo przed jej wydaniem, jeszcze inny widzi gołym okiem, że materiały promocyjne są zrobione pod zupełnie chybiony target.

Żadnych zastrzeżeń nie zgłaszają jedynie selferzy z Rozpisanych – Jan Antoni Homa i Eric Absinthe. Ten ostatni pisze: „Ciekawym epizodem po przedstawieniu produktu było nawet odradzenie mojej osobie wykupienia reklamy w wydawnictwie. Osoby od PR, widząc ilość patronów medialnych, którzy zdecydowali się swoją marką promować moją książkę<sup>1</sup>, otwarcie przyznały, że żaden pakiet e-mailowy czy informacje na stronie nie przyniosą dodatkowego efektu finansowego dla tej pozycji. To było na plus”.

Pytanie brzmi: czy pozostali autorzy, wiedząc z góry, jaki będzie wynik sprzedaży ich książek, zrezygnowaliby z wydania ich

tą drogą. Odpowiedź: jedni tak, inni nie. Wróćmy do kwestii motywacji.

Regułą jest, że pisarz, idąc z książką do wydawnictwa, liczy, że książka trafi na półki księgarń, ludzie ją tam znajdą i będą czytać. Że dotrze ona do stosownego grona odbiorców. Ci spośród moich rozmówców, którzy szli do Witanetu i Psychoskoku z taką właśnie motywacją, zwykle odradzają kontakty z tymi firmami. Jedynie kilkorgu w zupełności wystarcza taki wynik, jaki osiągnęli, choć przyznają, że uzyskali go bardziej na drodze własnych starań, niż dzięki pracy wydawnictwa. A nie za to przecież zapłacili.

W badanej próbie znalazło się kilka osób, których motywacje były zgoła odmienne, i są to akurat zadowoleni klienci. Można ich łącznie opatrzyć etykietą: „byłe książka fizycznie zaistniała”. Osoby te zapłaciły za usługę, otrzymały produkt, koniec bajki. Gdyby *vanity presses* zajmowały się wyłącznie – bo ja wiem – spełnianiem tego typu marzeń albo publikacjami okolicznościowymi, nieprzeznaczonymi na szerszy rynek wydawniczy, nie byłoby się do czego przyczepić. Nawet gdyby tylko otwarcie informowały swoich klientów, że ciężar promocji będzie spoczywał całkowicie na nich i że to oni ponoszą całkowite ryzyko finansowe, też byłoby w porządku. Tylko że wtedy mielibyśmy do czynienia z agencjami dla selferów.

## Brak współpracy ze strony kultury

Być może tajemnicą sukcesu tych kilku przedsiębiorstw jest też profesjonalna, stosunkowo sensowna komunikacja z autorem, która w wydawnictwach

<sup>1</sup> Patronaty Absinthe załatwił sobie sam (przypis autora).

„tradycyjnych”, zwłaszcza tych większych i starszych, dość mocno kuleje. Trochę się przez ostatni miesiąc nasłuchiłem o tym, jak to robią „starzy wyjadacze”. Najbarwniejsza była chyba opowieść o wydawcy, który przez przypadek wysłał do autora wewnętrzny opinię o treści: „przeczytałem pierwsze dwie strony, to chyba nic wielkiego, rzuć Krzysiu okiem jak masz chwilkę”.

No więc tak. Rozumiem, że na rynku panuje koszmarna nadpodaż prób literackiego debiutu. Ba, myślę że cała redakcja „Smoko” rozumie to doskonale, osobiście od ponad roku czytam więcej literackich debiutów niż czegokolwiek innego. Ale nie potrafię również dziwić się ludziom, którzy, otrzymawszy po kilku-kilkunastu miesiącach odpowiedź od 10% wydawnictw, z którymi próbowali się skontaktować, w dodatku odmowną i nie pozwalającą przypuszczać, że ktokolwiek czytał ich tekst, idą do Witanetu czy NR. A tak to właśnie wygląda. **Czytam w sieci narzekania na propagandę *vanity press* wmawiających autorom, że nie da się w Polsce zadebiutować bez wyłożenia forsy na stół. Ta propaganda, o czym być może warto pamiętać, nie bierze się znikąd i nie żywi się sama sobą.**

W pewnym sensie istnienie VP jest więc zdrową reakcją rynku na określoną sytuację. Istnieje duża grupa ludzi zajmujących się pisaniem fikcji, którzy z różnych powodów nie są w stanie przebić się w tradycyjnym modelu, a mimo wszystko chcieliby, aby ich książki znalazły się w księgarniach. Jest popyt na określoną usługę: wytwarzanie dla tych ludzi książek. **Siłą rzeczy, prędzej czy później, musiały zatem powstać przedsiębiorstwa, które będą ową usługę oferowały. W pakiecie, jako nieodzowny element swojej działalności, oferują one**

**również miłą, profesjonalną komunikację i traktowanie autora jak człowieka – wszak to ich klient, a z klientem należy się obchodzić w należyty sposób.** Do pełni szczęścia (i spełniania podstawowych norm etycznych) brakuje tylko jednego: firma taka powinna przynajmniej poinformować autora, że jego książka wcale nie musi się spodobać szerszej publiczności czy sprzedać się w sensownym nakładzie. Z części relacji wynika, że większość firm robi coś dokładnie przeciwnego.

**Pokuśmy się zatem o następujące twierdzenie: wydawnictwa typu *vanity* sprzedają swoim autorom radość z nazywania się pisarzem, poczucie bycia docenionym za literacką robotę, obietnicę wejścia do świata, do którego każdy debiutant niecierpliwie aspiruje. Wszystkim autorom. Niestety, w większości przypadków na obietnicy się kończy.**

## To co z tym protestem?

Szukając materiałów do tego artykułu, kilkakrotnie spotkałem się z tezą, że usunięcie wydawnictw *vanity* z listy pomocniczej może i uderzy w autorów, ale skoro zdecydowali się wspierać swoimi pieniędzmi nieuczciwy interes, to im się należy. No więc może nie tyle się zdecydowali, co po prostu zostali w ten interes wrobieni – nie widać w tej grupie szczególnie dobrej znajomości rynku ani świadomości zasad działania modelu, który wybrali. Część nawet nie do końca zdaje sobie sprawę, że wybrała jakiś model i że istnieją inne. W pełni świadomych klientów można liczyć na palcach jednej ręki. Sądząc po stylu krążących ostatnio po Facebooku reklam tych firm („Nawet nie próbuj wydawać swojej książki, dopóki nie

przeczytasz tego raportu!”), ofiar będzie przybywać.

Jak dokładnie to wygląda? Na przykład tak. Karolina Cielas: „Po wysłaniu do Novae Res formularza zgłoszeniowego z częścią tekstu nie próbowałam już zainteresować innych wydawców swoją książką. Teraz wiem, że nie było to pewne podejście”. Tomasz Kołomyjski: „Zignorowałem niesłusznie fakt, że Wydawnictwo to jest stosunkowo mało rozpoznawalne i ma na koncie dość mało pozycji”. Eliza Drogosz: „Wydawało mi się, że wydawnictwo Poligraf i wydawnictwa tradycyjne nie różnią się wiele między sobą. Jedynie tym, że Poligraf wydaje szybciej”.

Więc znowu: może, zamiast krucjaty, przydałaby się zwykła kampania informacyjna na tak szeroką skalę, jak to tylko możliwe? Gdyby każdą dyskusję odbywaną dziś w zamkniętym gronie ludzi, którzy znają rynek, przenieść na jakiś otwarty kanał, dostępny tym, którzy dopiero chcą ten światek poznać, ktoś by przynajmniej zyskał trochę orientacji. Niegłupie byłyby też panele na konwentach, więcej uwagi dla tematu w prasie czy spontaniczne podrzucanie informacji gdzie popadnie, choćby na portalach typu Lubimy Czytać czy „branżowych” grupach na FB. Sądząc po energii, z jaką obie strony sporu o apel Dębskiego angażowały się w dyskusję, chęci raczej nie brakuje. Byle to były rzetelne, sprawdzone, bezstronnie podane informacje, zamiast dość powszechnego „wszystkie *vanity* i selfy

to syf, idźcie stąd, bleh”.

Oczywiście wypadało też zapytać samych autorów, co sądzą o inicjatywie, która bezpośrednio dotyczy ich utworów. Część w ogóle nie zauważyła problemu – nie są aktywną częścią fandomu, a wieści o burzach wokół Zajdla rzadko wychodzą w szerszy eter. Nie wszyscy więc zdecydowali się na komentarz, jednak odpowiedzi, które otrzymałem, są bardzo spójne i wracają do stanowiska: skoro to nagroda dla utworu, to dlaczego sposób jego wydania miałby stanowić jakiegokolwiek kryterium? Jedna wypowiedź wydaje się najlepiej podsumowywać całą dyskusję. Jest to głos Michała Cieczi: „Całe to zamieszanie, mam wrażenie, jest walką o kawałek tortu. Nie usprawiedliwiam wydawnictw typu *vanity*, bo w większości oszukują młodych pisarzy. Ja miałem to szczęście, że znam się co nieco na wydawaniu i druku w ramach wykonywanej pracy, ale nie każdy ma to szczęście. Tak też nie każde wydawnictwo oszukuje i wydaje wszystko co dostanie. Znam wielu autorów, którzy piszą naprawdę świetnie i znacznie lepiej ode mnie, a nikt nie chce ich wydać bo nie są w głównym kanonie, który aktualnie jest popularny. *Vanity* i self często daje im szansę zaistnieć, albo chociaż spełnić marzenia, tak jak to było ze mną. Sądzę iż cała ta sytuacja jest próbą zwrócenia na siebie uwagi. Wszak na zachodzie wydawnictwa *vanity* oraz self prosperują znacznie lepiej niż u nas i na pewno mają lepszą opinię”.

■MICHAŁ SZYMAŃSKI

# Kanarki w kopalni

Polska fantastyka ostatnich dekad.  
Rozmowa z Maciejem Parowskim i Michałem Cetnarowskim

Rozmawiał Paweł Majka

**M**aciej Parowski – (ur. 1946) pisarz, felietonista, scenarzysta komiksów, krytyk literacki i filmowy, redaktor polskich fantastów od lata 1982 roku do końca 2012 roku. Absolwent Politechniki Warszawskiej. Debiutował felietonami (1968) w uczelnianym „Tygodniku Studenckim «Politechnik»”, gdzie był potem felietonistą, kierownikiem działu kultury, sekretarzem redakcji, a w 1981 roku elekcyjnym naczelnym pisma. W latach 1977-1981 na etacie w „Razem”; od 1982 roku kierownik działu literatury polskiej w „Fantastyce” (od 1990 w „Nowej Fantastyce”), w latach 1992-2003 również naczelnym pisma, później wicenaczelnym NF. Od jesieni 2004 prowadzi krytyczny kwartalnik „Czas Fantastyki”. Stały felietonista filmowy „Gazety Polskiej” (od 2005) i NF od 2013. Emeryt.

Książki: *Bez dubbingu* (1978, felietony), *Twarzą ku ziemi* (1981, powieść SF), *Sposób na kobiety* (1985, opowiadania SF), *Czas fantastyki* (1990, krytyka), *Burza. Ucieczka z Warszawy '40* (2009, powieść, wyróżniona przez Kapitułę Nagrody im. Józefa Mackiewicza w 2010), *Małpy Pana Boga. Słowa* (2011), *Małpy Pana Boga. Obrazy* (2013), *Bez dubbingu. Z bandytą w windzie* (2014, BookRage). Współautor scenariuszy komiksów rysowanych przez Bogusława

Polcha: *Funky Koval* (z Jackiem Rodkiem) i *Wiedźmin* (1993-1995; z Andrzejem Sapkowskim). Scenarzysta komiksów: *Planeta robotów* (1986-1989; rys. Jacek Skrzydlewski), *Naród wybrany* (1992; rys. Jarosław Musiał) i *Burza* (1992, 2003 fragmenty; rys. Krzysztof Gawronkiewicz). Skarcony za zasługi dla polskiego science fiction i niezależność myślenia antynagroczą Złoty Meteor (1999) Śląskiego Klubu Fantastyki. Doktorat *humoris causa* w Łodzi za zasługi dla polskiego komiksu (2006); srebrny medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” z rąk Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Michała Kazimierza Ujazdowskiego (2007) na ćwierćwiecze F i NF.

**Michał Cetnarowski** – (ur. niedawno) redaktor, autor, krytyk, tłumacz, tancerz, producent wina na użytek własny i kolegów, okazjonalny motocyklista oraz współczesny *spiritus movens* polskiej fantastyki, niemal licencjonowany rozmówca konwentowy. Współpracownik „Czasu Fantastyki”, „Nowej Fantastyki”; artykuły publikował m.in. w „Znaku”, „Wiedzy i Życiu”, „Polityce”, „Focusie: Historii”, „Odkrywczy”.

Był pomysłodawcą i redaktorem antologii: *Nowe idzie* (2008) oraz *Głos Lema* i *Science Fiction* (2011). Opublikował

zbiór opowiadań *Labirynty* (2009), powieść *I dusza moja* (2013) oraz blisko trzydzieści opowiadań w antologiach i czasopismach. W 2013 roku zastąpił Macieja Parowskiego na stanowisku redaktora działu prozy polskiej miesięcznika „Nowa Fantastyka”. Jego opowiadanie *Cyberpunk* otrzymało nominację do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. **Paweł Majka** – (ur. 1972) autor czterech opublikowanych powieści i kilkunastu opowiadań. Stale współpracuje z magazynem „Smokopolitan”.

**Paweł Majka: Maćku, proszę, byś powiedział kilka zdań o tym, jak powstawał miesięcznik „Fantastyka”, który dla dzieciaków takich, jak ja (w 1982 roku miałem dziesięć lat) stanowił rodzaj objawienia. Kto wie, czy lektura „Fantastyki” i wspomnienia walki o nią w kioskach (znikała z lad w mgnieniu oka) nie stanowi przeżycia pokoleniowego dla ludzi w moim wieku?**

**Maciej Parowski:** Pierwszy numer „Fantastyki” ukazał się w październiku 1982. W 1975 roku ukonstytuowała się organizacja polskich miłośników fantastyki i założenie pisma było jednym z jej priorytetów. Mielśmy fanzyny, pisma-efemerydy, jedną z nich (gruby magazyn wydrukowany marnie na powielaczu) wydano z okazji konwentu

fantastów w Łodzi jesienią 1979 i pamiętam, że póki nie zaczęły się ukazywać numery F, przechowywałem go jak największą świętość. Mimo długiego braku pisma, opowiadania fantastyczne drukowano już w seriach książkowych „Kroki w nieznane” i „Fantastyka Przygoda” Iskier, „Stało się jutro” Naszej Księgarni czy serii „Z kosmonautą” Czytelnika. Prezentowały tę prozę „Problemy”, dorosły magazyn naukowy i młodzieżowy „Młody Technik”, także pismo studenckie „Politechnik”, w którym pierwsze krytyczne i prozatorskie kroki stawiali późniejsi autorzy i redaktorzy „Fantastyki” (Oramus, Kowalski, ja). Ja sam, pracując w ideologicznym tabloidzie „Razem”, pokazałem tam kilku fantastów, m.in. młode gwiazdy – Sawaszkiewiczza i Snerga. Sprzyjały fantastyce takie oficyny, jak Czytelnik, Iskry, Poznańskie, prężna KAW czy Wydawnictwo Literackie, które drukowało Stanisława Lema. U schyłku lat 70. XX wieku polski czytelnik miał podstawową orientację i wiedział, jakie odczuwać tęsknoty, choćby za sprawą *Fantastyki i futurologii* Lema, który to esej krytycznie, ale kompletnie przedstawiał SF anglosaską. W końcu *Człowiek z Wysokiego Zamku* ukazał się jesienią 1980 roku. Była to książka wyczekiwana, po wielokroć omówiona podczas spotkań



fanów. Przebitkowe maszynopisy tej książki tłumacz Lech Jęczynek (przez kilka dekad guru polskich fantastów) użyczał kolegom już w 1979, rok przed Sierpniem '80. Po stanie wojennym 1981 ukazały się powieści fali tzw. fantastyki socjologicznej (Zajdel, Oramus, Wnuk-Lipiński, Żwikiewicz, ja), którym Jęczynek patronował jako redaktor *Iskier* i *Czytelnika*.

„Fantastyka” mogła być przeżyciem pokoleniowym, co pozwalała nazwać i wyrazić to, co było w Polsce niecenzuralnym doświadczeniem paru powojennych generacji. Poczucie życia w kraju nierzeczywistym, dotkniętego polityczną niewolą, absurdalną przemianą ekonomiczną i ideologiczną, napięciem między tradycyjną religijnością zakorzenioną w polskiej kulturze a odgórnie wdrażanym bolszewickim barbarzyństwem. Sojuszników i nauczycieli w traktowaniu fantastyki jako języka i narzędzia docierania do prawdy znajdowaliśmy także w twórczości zbuntowanych Rosjan i innych obywateli ZSRR – Bułyczowa, Strugackich; religijne podejście do gatunku mieliśmy choćby w *Stalkerze* Tarkowskiego i *Pokucie* Abuładze. Moi koledzy docierali też do samizdatowych egzemplarzy Orwella. Kultowość „Fantastyki” polegała nie tylko na tym, CO przynosiła, ale też na tym, JAK pozwalała się wypowiedzieć. Nie zamawialiśmy najświetniejszych opowiadań swoich autorów, nie podpowiadaliśmy im, co mają napisać, wszystkie te *Karlgora godzina 18.00*, *Hieny cmentarne*, *Złote Galery*, *Wiedźminy*, *Kary większe*, *Szkoły*, *Noteki 2015*, *Tkacze iluzji* przychodziły do nas z codzienną pocztą, a my w redakcji otwieraliśmy piwo, rozbieraliśmy się do bielizny i tańczyliśmy na biurkach z radości.

**P.M.:** Kiedy powstawał miesięcznik „Fantastyka”, polscy czytelnicy nie mieli prawie żadnego dostępu do prozy z tzw. Zachodu. Mam wrażenie, że w efekcie polska fantastyka drugiej połowy XX wieku stała się swego rodzaju enklawą i wytworzyła lokalną specyfikę. Ale może się myłę i wy, pisarze, na których tekstach się wychowywałem, czytaliście przemycane z zagranicy powieści i opowiadania?

**M.P.:** Przypominam, że zagraniczna proza cały czas kapąła w antologiach i pismach, no a dopiero w „Fantastyce” ukazywała się systematycznie – i bezsprzecznie długo uchodziła za tę lepszą część pisma, aż się okazało, że nasi autorzy potrafią wygrać ranking z obcokrajowcami. Trzy dekady zajmowałem się prozą polską i promowałem coraz lepszych asów, to był wspaniały czas dla pisania, bo polska historia niesamowicie przyspieszyła. Myśmy ewidentnie uczyli się od Anglosasów (za polską fantastyką socjologiczną stoją uważne lektury nie tylko Strugackich, ale i np. Orwella czy *Non stop* Aldissa), ale używaliśmy ich kodów, ich języka, ich intelektualnych i fabularnych klisz do wojowania z polską opresją i opisu polskiego przebijania się do wolności. Obywatele krajów, które nie doświadczyły podboju przez Hitlera, a potem czterech dekad w sowieckiej zonie i jej fałszu, głupoty, zbrodni, bezsensu, musiały mieć inną fantastykę niż my. Wszystkie fale naszej SF – socjologiczna, w stylu punk, bliskiego zasięgu, religijna, alternatywna – były reakcją na polskie wyzwania, których inni nie mieli (albo im nie podolali, jak autorzy NRD). To dawało i daje naszej SF powagę i wigor, bo mamy z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością porachunki na serio. Fantastyka alternatywna, w której

wygrywamy przegrane wojny, nie tracimy wolności, przypominamy zapomnianych bądź znieważanych bohaterów, badamy mechanizmy historii – jest być może naszą obsesją, ale piszą ją najlepsi (Dukaj, Wolski, Twardoch, Wojnarowski, Przechrzta, Lewandowski, Szyda). Natomiast najnowszy już prąd, transhumanizm, wygląda w Polsce, jak gdzie indziej (choć np. Kuba Nowak potrafi go nasycić polskimi problemami). Warto pamiętać, że kiedy po 1990 roku przyjeżdżali do redakcji NF koledzy z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Rosji, to powtarzali: z waszych opowiadań rozumiemy każde słowo, a w tych zachodnich tekstach, które tłumaczycie, to czasem tak naplątane, że zupełnie nie wiadomo, o co chodzi.

**Michał Cetnarowski:** To ja może od siebie wtrącę, wrywając się nieco przed szereg, że to „zanurzenie w historii” to chyba tylko jedna strona medalu. To znaczy Ty, Maciek, to tak widzisz – bo dla Ciebie to były i są teksty najważniejsze. Ale przecież już wtedy istniała cała fala tekstów próbujących bawić się konwencją w mniej zobowiązujący sposób: pierwsze kroki z polskim fantasy (nie tylko Sapkowski, ale też Kres, Komuda, Szrejter) też stawiane były pod Twoją komendą. Bo brzmi to trochę tak, jakby do czytania „Fantastyki” siadali na baczność tylko opozycjoniści chcący dokopać niesprawiedliwości dziejowej, a przecież u nas, tak jak na Zachodzie, to też była w dużej mierze „literatura wyzwolonej wyobraźni”, „przygodowa fantazja w kosmosie lub fantastycznym neverlandzie”; okno na bardziej kolorowy, wymyślony świat. Z powinności, o które dbaliście na selekcyjnej bramce w redakcji – ale też i z parciem na to, żeby pokazać w literaturze bądź co bądź młodzieżowej także nieco egzotyki. Czy się

myślę i nadinterpretuję to, co mi się wydaje po latach? Tamte czasy to dla mnie przecież prehistoria – regularnie zacząłem czytać NF dopiero w latach 90., a więc niejako już „10 kilometrów po starcie”.

**M.P.:** Racja. Oczywiście, że było jedno i drugie. Przecież wymieniałem tytuły, które może nie tyle bawiły się konwencją, co ją poszerzały. Ale nawet tu historia interweniowała. Jasne – *Kargloro...*, *Galera...*, *Tkacz...* lokują się poza tematyką polityczną. Ale już gatunkowe, obcologiczne *Hieny...* nie, bo Hollanek kazał zamienić ich tytuł na *Tlatocetl*. Oto opowiadanie ukazywało się w miesiącu PRL-owskiego lipcowego święta, do którego słowo „hieny” absolutnie nie pasowało. *Noteka 2015*, która komentowała nową sferę polityczną nieufności wobec polityki europejskiej (a także Rosji i USA wobec nas), była opowiadaniem przełomowym gatunkowo (teoria chaosu użyta na placu boju) i politycznym. Ziemkiewicz, z którym w owym czasie się notorycznie kłóciłem i przez to nie dostałem jego *Źródła bez wody*, ani, powiedzmy, *Pajęczyny czy Śpiącej królowny*, dał mi jednak *Pięknie jest w dolinie*, a to jest też tekst polityczny o przemianach na Kresach po upadku Sowietów. Zaraz po wybuchu wolności drukowałem dwie alternatywy, swoją scenariuszową *Burzę* i Pietruchy *Lepszą przeszłość*. To było odzyskiwanie historycznego terenu załganego przez komunę. No i gdy ukazywały się pierwsze „Fantastyki”, wylały się też na lady książki socjologiczne (Zajdla, Żwikiewicza, Oramusa, moja), którym musieliśmy sprostać jako recenzenci. Do wiosny 1989 czuło się na twarzy ten coraz luźniejszy, ale jednak kaganiec. Oczywiście pamiętam radochę z opowiadań Baranieckiego, z Sapka, z kawałków

Kochańskiego, Emmy Popik, z *Rozkaz kochać* – jedynego tekstu, jaki Grzędowicz u mnie wydrukował. Pierwsze opowiadanie Huberatha *Wróćcieś Sneogg...* to był humanistyczny, pozaideologiczny odlot i myśmy rzeczywiście to smakowali na gatunkowych prawach. Ale cały czas pamiętaliśmy, może podświadomie, gdzie żyjemy. Tego z kolei ślady masz choćby w *Funky Kovalu*, aluzje zjawiały się same. Agencja Universs, jej delegalizacja, Koval działający „w podziemiu”. Nie uciekniemy od tego, choć żeby była jasność, ciężko przestraszoną w grudniową noc czynnym opozycjonistą wprawdzie nie byłem, ale upokorzenie zapamiętałem. Duchowo to bardzo skomplikowana sytuacja. I przez całą prawie dekadę (pierwszą dekadę wolności 1990-2000) zastanawiałem się przy ciekawszych tekstach: czy one mogłyby powstać wcześniej i czy miałyby szansę z tamtym cenzorem? Na przykład *Notekę...* trudno byłoby wymyślić za niewoli. A *Kara większa?* Przecież system miał nastawienie proaborcyjne, religijne podejście do tych kwestii tępił, to pamiętam z PRL-owskiej prasy młodzieżowej. Upadł system, ale odezwali się zwykli fani: nie mieszajcie fantastyki do polityki, do życia, wara wam od naszych sumień. Tak wołali jedni, ale inni dali *Karze...* nagrodę Zajdla, opowiadanie wygrało też redakcyjny ranking na tekst roku. Właśnie to, powtórzę, odróżnia SF polską od czeskiej czy NRD-owskiej, że zajmuje ją rzeczywistość, że nie tyle bawi się konwencjami, co ich używa do komentowania świata.

**M.C.:** W tym się na pewno zgodzimy: że ten okres polskiej fantastyki, o którym mówisz najwięcej (czyli od początku magazynu „Fantastyka” w 1982 r. aż do upadku komunizmu i początku lat 90. XX

w.), to był czas fantastyki „historyczno-politycznej” (socjologicznej), alegorycznej, na różnym poziomie zanurzenia w te grepsy i świadomości ich zamieszczania. Słuchaj, to się jakoś zmieniło po odzyskaniu przez Polskę niezależności politycznej? Wszyscy pamiętamy falę fantastyki religijnej w latach 90. i zaraz pewnie do tego dojdziemy. Ale zanim ona wybuchła – było coś jeszcze, jakieś jaskółki, które nie uczyniły wiosny, a rzuciły Ci się w oczy na tyle, żeby pamiętać je po latach?

**M.P.:** Kurczę, fala fantastyki religijnej... jak to dumnie brzmi. W listopadzie '88 ukazuje się *Jeruzalem* Janusza Cyrana, prywatne teologiczne badanie głupstwa/mądrości Krzyża. Jesienią '89 przychodzi *Złota Galera*, bo Dukaj pokłócił się z katechetą, opowiadanie ukazuje się w lutym '90 i wszystkich zachwyca. Zresztą, falę religijną pomyślano w pewnym momencie jako antyreligijną, ale zaproponowana przez Sapkowskiego i zrobiona przez Sedenkę *Czarna msza* nie spełniła założeń i okazała się religiancka. Fala socjologiczna też polegała na tym, że paru kolegów spisało w konwencji SF swoje PRL-owskie duchowe biografie. Z efektu fali korzystają dopiero naśladowcy, jak Piekara, który z postaci ściągniętej od Cyrana z *Jeruzalem* wystrugał cały cykl o Mordimerze. Albo są fale zmodyfikowane, uświetnione – z modelu trochę łązawej opowieści w stylu „o kurna, żyję w piekle” (ironizuję oczywiście, także swoje socjologiczne *Twarzą ku ziemi* zaliczam do takiego nurtu) Ziemkiewicz wszedł na wyższy poziom akcyjny i ideowy. U Rafała w opowiadaniach i np. w *Pieprzonym losie kataryniarza*, toczącym się już postkomunistycznej Polsce, stron jest więcej, część akcji dzieje się w Internecie, stawka wyższa,

a jeden z jego bohaterów dostaje niczym Bond prawo do zabijania. Na to nawet Zajdel swoim postaciom nie pozwalał, choć z wyprzedzeniem zapowiadał w konspektach model fantastyki socjologicznej spluralizowanej. Na początku lat 90. narodziły się znakomite szorty Grzesia Janusza i Hottlysa Hotlanda, który już jako Jacek Sierpiński w noweli *Lwie szczenię* opisywał rewolucję, która wymyka się bohaterowi. To wtedy objawia się Piotr Górski (pisarz, który nie ma nic wspólnego z Piotrem „Ziutą” Górskim), autor *Hordey*, *Melomanów* i *Wycieczki*. Piszą także Białołęcka, Sobota... To był duchowy nowy zeszyt i eksplozja talentów przy jeszcze funkcjonującym instynkcie powinności. No i była ostra konkurencja na rynku, ukazywał się „Feniks”, który się starał nas zdeklasować. Dla autorów i czytelników to był najlepszy okres! Także dla krytyki, której nareszcie wszystko wolno nazwać po imieniu, a Sapkowski może popolemizować z naśladowcami i rywalami w słynnym esej: *Piróg, czyli nie ma złota w Szarych Górach*.

**P.M.:** Poruszyłeś, Maćku, jeszcze jeden bardzo interesujący dla mnie temat. Polska fantastyka wyrastała w „cieniu Lema” (podejrzewam, że możecie polemizować z tym określeniem, można też przecież mówić o „grzaniu się w blasku Lema”). Ten wybitny i najsłynniejszy chyba z polskich pisarzy SF autor i filozof narzucił na długie lata swoją filozofię fantastyki: powinna być naukowa i intelektualna. Wytworzył się swego rodzaju imperatyw literacki, w którym nie wypadało pisać dla czystej rozrywki. W efekcie na fantasy musieliśmy czekać do roku 1983, kiedy zadebiutował Feliks W. Kres, piszący zresztą fantasy szalenie ponurą i okrutną, bezwzględną dla słabych i dobrych. Gdy w 1986 roku ukazało

się debiutanckie opowiadanie twórcy *Wiedźmina*, Andrzeja Sapkowskiego, nastąpił przełom. Ale nawet rozrywkowa twórczość fantasy Sapkowskiego pełna jest krytycznych odniesień do naszej rzeczywistości, porusza kwestie rasizmu, wojen etnicznych i nietolerancji. I ten właśnie „imperatyw Lema” stał się jedną z przyczyn sporu pomiędzy środowiskiem redaktorów „Fantastyki” a pisarzami należącymi do Klubu Tfurców. Polska jest jedynym znanym mi krajem, w którym zbuntowani młodzi starali się wywołać rewolucję, by stworzyć nurt literatury rozrywkowej.

**M.P.:** W cieniu Lema, w blasku Lema – oba określenia w porządku, a mimo to nawet razem niekompletne. Gdy piszę krytykę SF, to do jeszcze dziś zaglądam do *Fantastyki i futurologii*, *Filozofii przypadku*, a że mam różne wydania obu prac, to sprawdzam, co Lem pisał w latach 70., a co w 80., jak i czy zmieniał zdanie. W *Fantastyce i futurologii* dopiero w drugim wydaniu rozgadał się o Dicku, w pierwodruku *Filozofii przypadku* nie miał szans dostrzec Eco, ale w drugim strasznie dużo miejsca poświęca jego *Imieniu róży*. Lem narzucał wysokie standardy – wydawcom, konkurentom, publiczności, inspirował na dziesiątkach różnych pól problemowych. I to do dziś procentuje w polskiej SF. A co do sporu o SF rozrywkową – młodzi chcieli drukować, to wymyślili slogan czy greps, przy pomocy którego zamierzali obejść wybrednego i wymagającego redaktora. Wojowali o taką prozę, jaką byli w stanie uprawiać, nigdy nie traktowałem ich argumentów poważnie, bo to był czysty instrumentalizm. Potem dorośli, a że wielu o dziwo dysponowało godnym uwagi talentem, to zaczęli robić

taką m.in. prozę, o jaką mi chodziło i na jaką sam (do *Burzy*) byłem po prostu za cienki. Ze wszystkimi onegdajszymi przeciwnikami jestem od dawna pogodzony. Prawda jest też taka, że parę krytycznych tomików przeczytanych jeszcze przed 1982 rokiem – Edmunda Wilsona, Malcolma Cowleya, Karola Irzykowskiego, Kazimierza Wyki – przygotowało mnie do kłótni. Jeśli się dostało straszną władzę unicestwiania cudzych literackich marzeń, lepiej przygotować się na kłopoty.

**M.C.:** Wydaje się, że sporo tu zmienił „triumfujący wolny rynek”. U nas, jak się zdaje, „rewolucja” z lat 90. była skierowana odwrrotnie niż zazwyczaj: nie walczono o to – a przodowała tu redakcja „Fenix”, konkurencyjnego dla „Nowej Fantastyki”, w której za dobór tekstów odpowiadali m.in. Jarosław Grzędowicz i Rafał A. Ziemkiewicz – żeby w fantastycznym nurcie znalazło się miejsce na więcej tekstów „negatunkowych”, z pogranicza konwencji, tylko przeciwnie: żeby znalazło się tam więcej miejsca na przygodę i teksty gatunkowe. Zdaje się, że to nasz polski ewenement. I jednych, i drugich pogodził zresztą wolny rynek i chyba była to dość surowa lekcja. Z tym, że największa zmiana „fantastyczna” na naszym poletku miała miejsce nie w latach 90., a na początku XXI wieku, kiedy powstało nowe wydawnictwo Fabryka Słów, nastawione głównie na fantastykę w odmianie lżejszej, przygodowej. Zresztą, inne literackie mody (na *paranormal romance*, epickie fantasy, space operę) pojawiały się u nas do tej pory też mniej więcej z dziesięcioletnim poślizgiem. A kiedy o tym, co drukować, zaczęły w dużej mierze decydować prawa popytu i podaży, okazało się, że wcześniejsze spory straciły trochę rację bytu.

Wydaje mi się, że dziś idzie to dwutorowo: z jednej strony pojawiają się mocne realizacje konwencji i to one mają największą sprzedaż. A z drugiej, kiedy wydawnictwo zarobi już nieco na podobnych tekstach, „zwykłe” inwestuje w teksty wymykające się najoczywistszym podziałom, mniej liczne, ale nie mniej ciekawe. Trochę w ten sposób funkcjonuje seria „Kontrapunkty” wydawnictwa Powergraph, gdzie ukazywały się teksty „z pogranicza”, pisane przez autorów docenionych potem przez czytelników głównego nurtu (Szczepan Twardoch, Wit Szostak, Jakub Małecki). W ten sposób działa fenomenalna seria wydawnictwa Mag, „Uczta Wyobraźni”, której redaktor, Andrzej Miszkurka, prezentuje najoryginalniejsze jego zdaniem tytuły z rynku anglosaskiego. W ten sposób działają także „Artefakty”, w których ten sam Miszkurka drukuje klasykę SF jeszcze nieznaną w Polsce.

Jeśli zaś chodzi o sam magazyn, to w „Nowej Fantastyce” wciąż istnieje pole do eksperymentu, swobody, ryzykanctwa. Magazyn bowiem to zawsze poligon dla nowego, bo i ryzyko finansowe mniejsze niż z książką – gdy ta się nie zwróci, straty w wydawniczym portfelu okazują się dużo poważniejsze, więc i wydawcy działają tu ostrożniej.

**P.M.:** Kiedy Michał powiedział, że fantastyka stała się u nas głównie literaturą gatunkową, pomyślałem o jeszcze jednym lokalnym (choć może wcale nie?) fenomenie, czyli odchodzeniu od fantastyki autorów, którzy od pisania fantastyki zaczęli. I nie są to pisarze pośledni, ale w tej chwili wyrastający na jednych z najbardziej interesujących w polskiej literaturze współczesnej. Łukasz Orbitowski zaczął od pisania horrorów,

Wit Szostak od cyklu bardzo mocno osadzonej w Tolkienie fantasy, a Szczepan Twardoch zajmował się i historią alternatywną, i fantastyką religijną, by wreszcie oszołomić fanów pełnym rozmachem *Wiecznym Grunwaldem*. Od czytania fantastyki (i wysyłania listów do miesięcznika „Fantastyka”) zaczęła też Olga Tokarczuk. Dziś ci pisarze, po wzięciu tzw. głównego nurtu abordażem, od fantastyki raczej się dystansują, mówiąc o niej jak o rodzaju młodzieńczego zauroczenia, z którego udało im się wyrósnąć. Poza Polską to chyba tak nie działa. Gene Wolfe czy Lucius Shepard (ze wymienię moich ulubionych autorów) nie są odbierani jako gorsi, ponieważ piszą fantastykę, a ich rozwój pisarski nie każe im z fantastyki wyrastać. Albo też na Zachodzie gatunkowy gorset nie jest dla pisarzy aż takim obciążeniem.

M.C.: Nie do końca – bodaj gdy Salman Rushdie został w młodości nominowany do Hugo czy Nebuli, menadżer doradził mu, żeby wycofał się z walki o laury, bo to sprofiluje go jako pisarza fantastycznego i „zamrozi” w odpowiedniej szufladce... Czyli to byłby nie tylko nasz problem. Inna rzecz, że to „ochłodzenie relacji” z fantastyką to chyba efekt okresowy i potem następuje „normalizacja stosunków”. Łukasz Orbitowski na rocznicę 400 numeru „Nowej Fantastyki” – numer jubileuszowy ukazał się w styczniu 2016 roku – dał nam na przykład fenomenalną *Bardzo niezwykłą i przez to jeszcze bardziej prawdziwą opowieść o walce, jaką stoczył mój szlachetny i rycerski ojciec z nikczemnym łotrem Alekssem, co działo się w Rykusmyku, w wieku już minionym, a czego sam byłem świadkiem i spisać raczyłem na pamiątkę dni przeszłych, ku*

*pouczeniu młodych i ku przestrodze wszystkich ludzi dobrej woli albo Czas cesarów – ironiczno-gorzki horror o tym, co się działo, kiedy w latach transformacji po ‘89 roku na polskiej małopolskiej prowincji dwóch konkurentów do ręki jednej kobiety wzięło się na serio za magię.*

M.P.: Michał, nie wszystkich znokautowała pięść kapitalizmu. W 2003 roku owszem, próbowano stabilizować NF, ale rok później powstał „Czas Fantastyki”. W 2003 mieliśmy premierę *Katedry* Bagińskiego/Dukaja. Także Zajdle tej nowej epoki wstąpił nam nie przynoszą: *Czarne oceany*, *Autobahn nach Poznań* (2001), *Narrenturm*, *Kuzynki* (2002), *Inne pieśni*, *Zapach szkła* (2003), *Perfekcyjna niedoskonałość*, *Wody głębokie jak niebo* (2004), *Pan Lodowego Ogrodu*, *Wilcza zamięć* (2005), *Popiół i kurz*, *Smok tańczy dla Chung Fonga* (2006), *Lód, Miasto grobów. Uwertura* (2007), *Kamelon*, *Światy Dantego* (2008)... Przecież to jest złoty okres oryginalnej, poszukującej, niestereotypowej fantastyki polskiej, który nadal trwa. A przypomnijcie sobie, ile jeszcze ciekawych rzeczy było w pismach i nominacjach. Może prawdziwy rynek nie pomógł słabeuszom, natomiast prawdziwym talentom bardzo pomogła wolność słowa. Twierdzą, że polscy fani nadal wiele od fantastyki wymagają, udzielają wsparcia najlepszym i to się kręci. Koniunktura również na pulpę nie zakłóca pozytywnego w sumie procesu. A co do odchodzenia z ruchu, jeśli nawet jedni będą emigrować, to z czasem wrócą, przyciągając głównonurtowców. Będzie u nas jak na Zachodzie, tyle że specyficzne zmagania z historią, Bogiem i polityką pozostaną wyróżnikiem polskiej fantastyki i oczywiście dodadzą jej blasku.

M.C.: Zdaje się, że utożsamileś „literaturę

gatunkową” z „literaturą słabą”... A to nie do końca przecież tak. Z tematów, które się wyróżniają w nowym tysiącleciu, na pewno należy wspomnieć historię: bogatą, skomplikowaną, „polską specjalność”, o której Polacy mają, jak się zdaje, szczególnie wiele ciekawego do powiedzenia. A o niej można pisać i tak, jak robił to na przykład Jacek Komuda – tworząc np. charakterystyczne szlacheckie „easterny” rozgrywające się w XVII wieku na umagicznych Kresach Wschodnich – i tak, jak Szczepan Twardoch w *Wiecznym Grunwaldzie* (opowieści o historii Polski snutej z transhumanistycznego Punktu Omega) i jak Jacek Dukaj w *Lodzie* (monumentalnej epopei o Polsce, Rosji i świecie w XX wieku, w którym nie doszło do rewolucji bolszewickiej) czy jak Ty w *Burzy* – w której oddajesz sprawiedliwość pokoleniom Polaków przeorany przez drugą wojnę światową, opowiadając historię Rzeczypospolitej, która dzięki sprytowi, szlachetności i hartowi ducha jej obywateli – a także ingerencji jasnowidza – poradziła sobie z niemiecką opresją w 1939 roku, kiedy zaczynała się II wojna światowa.

A propos transhumanizmu – chyba najgłośniejszego na Zachodzie nurtu SF w ostatnich latach, o którym, Maćku, sam pisałeś niedawno ze swobodą, znanstwem i zdrowym rozsądkiem. Jeśli chodzi o polską SF, to w ostatniej dekadzie i u nas był to bodaj najmocniej wyróżniający się trend. Zaliczyłbym do niego trylogię *Yggdrasil* Wawrzyńca Podrzuckiego, sztandarowy cykl Marcina Przybyłka *Gamedec*, liczący dziś osiem części – to w gruncie rzeczy rozpisana na kolejne fabularne etapy historia ewolucji od ludzi, przez cyfrowych postludzi, do bogów manipulujących całymi światami – i pesymistyczną, postcyberpunkową wizję

Cezarego Zbierchowskiego w *Holocaustcie* F. No i na końcu zostaje Jacek Dukaj, choć pewnie należałoby wymienić go jako pierwszego – w zasadzie w większości jego tekstów pojawia się motyw przekraczania człowieka przez człowieka, różnie ogrywany literacko posthumanizmem. Zaczęło się od *Czarnych oceanów* – tekście przypominającym nieco *Zamieć* Neala Stephensona – potem była Eganowska z ducha *Perfekcyjna niedoskonałość*, w której pobrmiewały echa *Diaspory*, a potem Dukaj odleciał w jeszcze inne posthumanistyczne rejony. I napisał *Extensę*, *Oko potwora*, *Linie oporu*, *Starość aksolotla*. Choć i w *Innych pieśniach* – historii świata, który funkcjonuje w oparciu o fizykę Arystotelesa – czy *Lodzie* pojawiają się też motywy, które z powodzeniem można z posthumanizmem łączyć.

**P.M.:** Co do mnie, mogę tylko cieszyć się, że nasze fandomowe spory wciąż dotyczą przede wszystkim kwestii literackich, a nie ideologicznych czy politycznych. Kiedy dochodzi do dyskusji na temat największej u nas fantastycznej nagrody literackiej, tradycyjne kontrowersje wokół niej też skupiają się na jakości nagradzanych utworów, a nie ich przekazie.

Kilka dni temu, podczas Festiwalu Fantastyki w Nidzicy, zapytany o związki współczesnej fantastyki z futurologią, odpowiedziałeś, Maćku, że w Twoim przekonaniu fantastyka nie ma dziś na celu przepowiadać przyszłości, a pełni raczej funkcję kanarka w kopalni: potrafi pokazać, że nadciąga jakaś zmiana, że coś wisi w powietrzu. Od razu przypomniała mi się wymyślona i zredagowana przez Michała antologia *Nowe idzie*. Wydano ją w roku 2008, kiedy świat mógł się nam, stosunkowo świeżo przyjętym

do Unii Europejskiej, wydawać całkiem spokojnym miejscem, w którym nareszcie mogliśmy myśleć o przyszłości z entuzjazmem. Tymczasem, choć antologii nie zaplanowano jako tematycznej, wiele, jeśli nie większość opublikowanych w niej opowiadań – napisanych wyłącznie przez młodych stażem autorów – traktowała o końcu spokojnego, uporządkowanego świata, jakby zapowiadając „ciekawe czasy”, w których żyjemy dziś.

M.P.: Mnie się wydaje, że fantaści opętywani są przez rzeczywistość. Kanarka przeciwstawiała peryskopowi, bo tym urządzeniem fantaści nie dysponują. A kanarek czuje, że coś jest nie tak. Teraz, zapewne, niepokoją ludzi Niemcy, Rosjanie, eurokraci, wojujący islamiści, feministki i inni rycerze politycznej poprawności. Może kolejność byłaby odwrotna. Groźna i wkurzająca jest nieprzejrzystość różnych procesów decyzyjnych w kraju i na świecie, teraz i w ciągu dwu-trzech ostatnich dekad. Nasz świat zmienia formę, silni coraz bardziej obcesowo zamierzają dyktować słabym, co mają robić. Dopiero ostatnie lata odsłaniają prawdziwy kształt najnowszej historii, wychodzą na jaw wielkie skrywane draństwo i przemilczane męczeństwo i bohaterstwo. Dlatego dla polskich fantastów żywiołem jest i będzie najnowsza historia jako wprowadzenie do nieprzeniknionej współczesności, którą trzeba opisać, to znaczy zdemaskować.

M.C.: Tak, historia nie tylko w ostatnich latach zdaje się specjalnością polskich fantastów. Z drugiej strony w głównym fantastycznym nurcie do głosu dochodzą wyraźne konwencje gatunkowe. Z jednej strony byłoby to fantasy, które od czasów Andrzeja Sapkowskiego w ogóle ma się w Polsce nieźle. Kolejne książki regularnie

publikuje Maja Lidia Kossakowska, czująca się świetnie i w fantasy „anielskiej”, i kiedy eksploruje magiczny folklor mniej znanych ludów (plemiona syberyjskie w *Rudej sforze*, mitologia japońska w *Takeshim*). Jej mąż, Jarosław Grzędowicz, swego czasu oszołomił czytelników *Panem Lodowego Ogrodu*. Jacek Piekara i Andrzej Pilipiuk też odnaleźli się w tej konwencji. Podobnie Andrzej W. Sawicki, łączący często historię z fantastyczną tradycją pulp. Choć epickich odmian konwencji nie pojawia się aż tak dużo.

Ładnych kilka lat temu oczarowywała czytelników Anna Brzezińska swoją *Sagą o zbóju Twardokęsku*, świetnie wystylizowaną, rozgrywającą się w przebogatym neverlandzie, przełamującą najoczywistsze schematy fantastycznych fabuł. Jej *Wody głębokie jak niebo* z kolei – jednotomowa historia rozgrywająca się w realiach umagicz-nionego renesansu – to chyba w ogóle jedna z najlepszych książek w polskiej fantasyce pierwszej dekady nowego tysiąclecia. Agnieszka Hałas też już jakiś czas pisze swojego *Krzyczącego w Ciemności*, choć do szerszego odbioru czytelniczego jednak się wciąż nie przebiła. W ostatnim czasie najjaśniej błyszczą tu jednak gwiazda Roberta M. Wegnera i jego *Opowieści z meekhańskiego pogranicza* (obecnie liczących już cztery tomy). Wegner stworzył w nich bowiem nie tylko wciągającą fabułę i intrygującą, różnorodną paletę bohaterów, ale jeszcze odmalował przebogaty świat, zróżnicowany nie tylko geograficznie, ale i historycznie, etnograficznie czy kulturowo.

Z drugiej strony, w ostatnim czasie do głosu doszły dwie inne konwencje. Sukces *Metra 2033* Dymitra Głuchowskiego i u nas rozkręcił modę na postapokali-psę. Swoje książki w tej stylistyce napisali

m.in. Bartek Biedrzycki (*Kompleks 7215*), Michał Gołkowski (cykl „S.T.A.L.K.E.R.”), Robert J. Szmidt (*Otchłań*), a i Ty, Pawle, dodałeś tam swoje trzy grosze (*Dzielnica obiecana*). To zresztą jedynie wierzchołek góry lodowej i tytułów w poszczególnych cyklach zebrałoby się łącznie już co najmniej kilkanaście.

Obok postapokalipsy nastąpiło wyraźne ożywienie space opery. Rafał Dębski (cykl „Rubież imperium”), Robert J. Szmidt (*Pola dawno zapomnianych bitew*) czy znów, Pawle, Ty (*Niebiańskie pastwiska*). Marcin Podlewski napisał już dwa tomy *Głębi*, których akcja dzieje się w całej wyniszczzonej różnymi kataklizmami Drodze Mlecznej. Widać więc, że coraz chętniej spoglądamy w gwiazdy, być może na fali reaktywacji programów kosmicznych poszczególnych państw (misje naukowe, takie jak lądowanie Rosetty na kometcie, czy plany załogowej misji na Marsa).

Z trzeciej strony – chyba nie najgorzej ma się fantastyczna literatura *young adult*. Cykl

Rafała Kosika – także autora „dorosłej” SF – „Felix, Net i Nika” liczy dziś już czternaście tomów i opowiada o najróżniejszych przygodach trójki tytułowych przyjaciół, a autor umiejętnie żongluje klimatami science fiction, horrorem czy wycieczkami w czasie. Marcin Mortka zaś – który też pisze jednocześnie „dla dorosłych” – dodał tu m.in. cykl o przygodach wikinga Tappiego (seria dla młodszych czytelników) czy *Zagubionych*, trylogię SF dla nastolatków, rozgrywającą się w kosmosie.

Nie kojarzę tylko polskiego postapo YA w duchu *Igrzysk śmierci*, ale nie jestem pewien, czy można to brać za znak, że polscy autorzy (i czytelnicy) nie obawiają się kryzysu... Wręcz przeciwnie – skoro najczęściej albo kryjemy się pod ziemią w byłych tunelach metra, albo uciekamy w gwiazdy, albo szukamy schronienia w historii, to być może znak, że coś wisi w powietrzu...? Albo przynajmniej tak się wydaje „kanarkom w kopalni”.

ROZMAWIAŁ  
■ PAWEŁ MAJKA

# O Worldconie słów kilka

Autor: Marcin „Alqua” Kłak

Za mniej więcej rok od dzisiaj w Helsinkach odbędzie się siedemdziesiąty piąty Worldcon. Korzenie tej imprezy sięgają wstecz do czasów, o których zwykle nie myślimy, mówiąc o konwentach. Warto jednak pamiętać, że zarówno fandom, jak i imprezy fandomowe mają długą historię i wiele znanych nam pomysłów wywodzi się nawet z pierwszej połowy XX wieku.

Cofnijmy się o wiele, wiele lat do tyłu. Gdzieś kiedyś odbył się pierwszy konwent. Fandomowi historycy nie są zgodni<sup>1</sup>, czy za początek ery konwentowania uznać rok 1936, kiedy to grupa fanów fantastyki z Nowego Jorku odwiedziła fanów z Filadelfii, czy też rok 1937, kiedy to w styczniu odbył się pierwszy zaplanowany (i reklamowany) konwent w Leeds (wtedy zwany jeszcze konferencją). Jakby nie było, oba te wydarzenia umożliwiły powstanie Worldconu – imprezy, która odbywa się od lat trzydziestych aż do dziś.

Pierwszy Worldcon – Światowy Konwent Science Fiction – odbył się na początku lipca 1939 roku w Nowym Jorku jako impreza towarzysząca wystawie światowej (*world's fair*). Wydarzenie nie było olbrzymie, ale porównując je z pierwszymi konwentami,

mogło się takie wydawać. Przybyło nań około 200 osób<sup>2</sup>. Od 1939 do dzisiaj impreza odbywa się omal nieprzerwanie. Jedynymi latami, w których jej nie było, pozostaje okres 1942-1945, co jest dość zrozumiałe.

Na początku Worldcon był po prostu Worldconem, dopiero później przyjęło się by każda edycja miała swoją własną nazwę. Nowojorska impreza z 1939 została więc po latach ochrzczona mianem Nyconu I. Do dzisiaj powszechnie praktykuje się określanie Worldconu dwoma nazwami – w Londynie w 2014 r. odbył się 72. Światowy Konwent Science Fiction, znany jako Loncon 3. Indywidualną nazwę wybierają organizatorzy i często nawiązuje ona wprost do miasta lub kraju, w którym konwent się odbywa<sup>3</sup>. Nie jest to jednak regułą i część imprez wybiera inne miana – Sasquan (Worldcon z 2015 odbywał się w Spokane), Lonestarcon (Worldcon z 2013 miał miejsce w San Antonio w Teksasie) czy przyszłoroczny Worldcon 75, który nazwą podkreśla numer edycji.

Nieco wbrew temu, co może się wydawać, Worldcony nie były na początku zbytnio światowe. Aż do roku 1957 odbywały się

1. Osoby zainteresowane tematem mogą znaleźć sporo informacji w poniższym artykule <http://www.fiawol.org.uk/fanstuff/THEN%20Archive/1937conFirst.htm> (dostęp: 15 maja 2016).

2. Na konwencie w Leeds w 1937 roku bawiło się poniżej 20 osób.

3. Przykładami mogą być Chicony mające miejsce w Chicago, Aussiecony, które odbyły się w Australii, czy Nippon 2007 mający miejsce w Japonii.

jedynie w Ameryce Północnej (z czego tylko jeden miał miejsce w Kanadzie – reszta w Stanach Zjednoczonych). W 1957 impreza trafiła to Londynu. W kolejnych latach sytuacja lekko się zmieniała<sup>4</sup> – wciąż większość edycji odbywała się w USA, ale konwent coraz częściej gościł w innych krajach. Do dzisiaj Worldcon pełni w pewnym stopniu funkcję „Euroconu Ameryki Północnej” i tylko kiedy impreza trafia na inny kontynent, w Stanach lub Kanadzie odbywa się na to miejsce NASFiC – The North American Science Fiction Convention. W ostatnich latach można jednak zobaczyć pewne zmiany. Od 2005 r. już 4 imprezy odbyły się poza Ameryką. Do tego warto pamiętać, że w 2017 r. Worldcon trafi do Finlandii. Ponadto o organizację imprezy w 2019 r. ubiega się Dublin, a w 2020 r. Nowa Zelandia (żadne z nich nie ma na dzień dzisiejszy kontrkandydatów). Nie można też zapomnieć, że o organizację imprezy w 2017 r. ubiegały się łącznie cztery kraje, w tym dwa spoza Ameryki (Finlandia i Japonia), a z kolei w wyścigu o edycję 2016 r. Kansas City pokonało pierwszą w historii Worldconu kandydaturę z Chin.

Loncon 3 był dla mnie wielkim wydarzeniem, na swój sposób porównywalnym z pierwszym odwiedzionym konwentem. Wejściówkę zakupiłem na dwa lata naprzód

4 Poza Ameryką Północną odbyło się dotąd jedynie czternaście edycji. Pełna lista Worldconów dostępna jest na Wikipedii: [https://en.wikipedia.org/wiki/List\\_of\\_Worldcons](https://en.wikipedia.org/wiki/List_of_Worldcons) (dostęp: 15 maja 2016). Pozwól sobie przy okazji wymienić edycje, kiedy Worldcon trafiał po raz pierwszy na kontynent inny niż Ameryka Północna lub kiedy odbywał się w krajach nieanglojęzycznych:

1957 – Loncon 1 – Londyn, Wielka Brytania;

1970 – Heicon ,70 – Heidelberg, Republika Federalna Niemiec;

1975 – Aussiecon 1 – Melbourne, Australia;

1990 – ConFiction – Haga, Holandia;

2007 – Nippon 2007 – Yokohama, Japonia.

i przez ten okres czekałem z niecierpliwością na imprezę. Swoimi oczekiwaniami postawiłem poprzeczkę bardzo wysoko. Była tak daleko od ziemi, że zacząłem się obawiać, iż nie jest możliwe, by jakikolwiek konwent sprostał takim wymaganiom. Jednak nadszedł sierpień 2014 r. i okazało się, że moje obawy były płonne. Worldcon w Londynie spełnił wszelkie oczekiwania. Co takiego w nim było? Co sprawiło, że nie tylko dla mnie, ale i dla innych fanów stanowił niezapomniane przeżycie? Trudno to prosto wyjaśnić. Na pewno impreza miała fenomenalny program. Setki paneli, prelekcji, krótkich prezentacji, spotkań z pisarzami, koncertów, gal, *céilidh*<sup>5</sup>, a nawet przedstawienie teatralne. Do tego wielka wioska fanowska, gdzie można było poznać ludzi oraz zobaczyć imprezy i kluby z całego świata, a także niezbyt olbrzymia, ale ciekawa hala wystawców, wystawa sztuki fantastycznej. I super budynek na potrzeby całości. Ale to wszystko to tylko dodatek – bardzo ważny, lecz nie najważniejszy. Najistotniejsza była atmosfera. Na Lonconie z łatwością odczuwało się to, co się zasadniczo wie – że fandum to jedna wielka rodzina. W Londynie widać było, że miejsce i rok urodzenia albo to, czym się człowiek zajmuje na co dzień, nie ma znaczenia, nie tworzy barier. Na Worldconie czuło się, że „fanowskość” nie zna żadnych granic.

Jak już wspominałem, za rok Worldcon odbędzie się w Helsinkach<sup>6</sup>. Decyzja o tym została podjęta w Spokane podczas Sasquanu w sierpniu 2015. To dla nas, fanów ze starego kontynentu, wyjątkowa okazja. Wcześniej Worldcony odbywały się w Europie rzadko.

5 Tradycyjne irlandzkie spotkania towarzyskie pełne muzyki i tańca.

6 9–13 sierpnia 2017 r., zob.: <http://www.worldcon.fi/> (dostęp: 15 maja 2016).

Najczęściej przerwa wynosiła 8-10 lat. Teraz po ledwie trzech latach impreza do nas wraca. Co więcej, w Helsinkach uczestnicy Worldconu 75 będą głosować nad kandydaturą Dublina na 2019 rok<sup>7</sup>. W Internecie zaś można znaleźć informację, że o prawo do edycji Światowego Konwentu Science Fiction w 2023 r. chce się ubiegać Francja<sup>8</sup>. Zdecydowanie warto z tego zageszczenia skorzystać i wybierać się na Worldcony, kiedy tylko odbywają się w naszym zasięgu.

Worldcon to impreza ważna nie tylko dla mnie. Jest on istotny dla bardzo wielu fanów. Świadczy o tym zaangażowanie w jego organizację. Podobnie jak większość konwentów w Polsce przygotowywany jest przez fanów, którzy poświęcają na to swój wolny czas. Warto jednak zauważyć, że praca nad Worldconem trwa dużo dłużej i wymaga więcej wysiłku niż praca nad większością innych konwentów. Podczas Lonconu 3 spotkać można było ekipę promującą kandydaturę Dublina na 2019 rok. Jeśli myślicie, że plany na 5 lat naprzód są strasznie odległe, to zwróćcie uwagę, że na tym samym konwencie byli fani z Nowej Zelandii, którzy promocję kandydatury na 2020 r. zaczęli sporo wcześniej, a od 2014 r. postanowili działać bardziej aktywnie. Z kolei w listopadzie 2015 r. grupa fanów z Wielkiej Brytanii rozpoczęła rozmowy o ponownym sprowadzeniu imprezy do Zjednoczonego Królestwa w roku 2024.

Nie odnieście jednak mylnego wrażenia, że Worldcony organizują smutni ludzie planujący na 5 czy 10 lat do przodu. Chociaż planowanie jest konieczne, to jednak konwenty te robią zwyczajni fani – ludzie otwarci, pełni poczucia humoru i dystansu

do siebie i świata. Niejako odskocznię od wielkich planów stanowią „fejkowe” kandydatury. Na głównej stronie Worldconu<sup>9</sup> możecie znaleźć listę kandydatur oraz listę takich fejkowych propozycji – w tym Ganimesesa w 2110 r. – „pierwszego kandydata do Worldconu w XXII wieku”.

Planując wyjazd na Worldcon, należy pamiętać o jednej rzeczy. Konwent ten zrodził się z miłości do literatury i to literatura dalej pozostaje jego sercem. Fani gier czy anime nie znajdują w programie zbyt wielu atrakcji dla siebie (choć to nie znaczy, że takowe się nie odbywają – po prostu jest ich wyraźnie mniej niż na polskich konwentach). *Games room*, jaki znajdował się na Lonconie 3, był niewielki. W Polsce imprezy dziesięciokrotnie mniejsze oferują więcej planszówek. Z drugiej strony, jak już wspominałem, program imprezy jest świetny. Osoby zainteresowane literaturą czy też tematami popularnonaukowymi nie miały na co w Londynie narzekać (no chyba, że na problemy z dokonaniem wyboru). Chciałbym tu zwrócić uwagę na to, co odróżnia tę imprezę od Polskich odpowiedników. Nad Wisłą przyjęło się, że konwenty zapraszają mnóstwo pisarzy i każdym z nich chwala się na stronie internetowej. Worldcony to zupełnie inna bajka. Zaproszonych gości honorowych jest ledwie kilkoro – w Finlandii mówimy o pięciu osobach, a w Londynie było ich siedmioro. Nie znaczy to jednak, że nie należy spodziewać się wielu literatów. Po prostu pisarze na Worldcon przyjeżdżają zazwyczaj jako uczestnicy i biorą udział w programie tak jak inni. Chociaż zatem na liście gości Lonconu 3 nie było George’a R.R. Martina, Connie Willis, Roberta Silverberga, Scotta

7 [Zob.: http://dublin2019.com/](http://dublin2019.com/) (dostęp: 15 maja 2016).

8 Kandydatura nie została na razie formalnie zgłoszona.

9 [Zob.: http://worldcon.org/bids/](http://worldcon.org/bids/) (dostęp: 15 maja 2016).

Lyncha czy Catherynne M. Valente, to ich wszystkich (oraz dziesiątki innych pisarzy) można było spotkać na korytarzach czy w salach programowych. Warto wspomnieć też o tym, że wielu pisarzy bierze udział w wydarzeniach zwanych *kaffeeklatsch* czy *literary beer* – są to około godzinne spotkania autorów z niewielką grupą fanów (ok. 10 osób). Jak łatwo się domyślić, można podczas nich przy kawie lub też piwie porozmawiać z ulubionymi twórcami fantastyki.

Mówiąc o literaturze na Worldconie, nie można nie wspomnieć o nagrodzie Hugo. Sama jej nazwa jest zapewne znana większości fanów fantastyki. Wyróżnienie to uczestnicy Worldconu przyznają najlepszym utworom science fiction i fantasy, jakie ukazały się w poprzednim roku. Poza powieściami i opowiadaniem na karcie do głosowania znajdują się też artyści, fanziny, teksty o fantastyce i fandomie, redaktorzy, filmy, seriale itd. Wręczenie nagród odbywa się z wielką pompą na specjalnie zaplanowanej ceremonii. Wybór laureatów jest dwuetapowy. W pierwszym uczestnicy Worldconu z danego roku (oraz poprzedniego i następnego) nominują do 5 kandydatów w każdej kategorii. W drugim etapie biorą udział tylko uczestnicy edycji z danego roku i spośród 5 kandydatów wyłonionych w pierwszym etapie wybierają zwycięzcę. Głosowanie odbywa się w systemie australijskim – podobnie jak ma to miejsce w przypadku Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza

A. Zajdla. Uczestnicy Worldconu otrzymują zwyczajowo dostęp do tak zwanego *Hugo Voter Packet* – zbioru materiałów, które mają pomóc w głosowaniu. *Voter Packet* przygotowywany jest po ogłoszeniu nominacji i w jego skład wchodzi całe nominowane utwory lub ich fragmenty. Jednak wydawcy nie są zobowiązani do udostępnienia materiałów, w związku z czym nie wszystkie nominowane prace i osoby są tam reprezentowane. Niemniej z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że *Voter Packet* zawiera sporo lektur. W ostatnich latach wokół Hugo pojawiło się wiele kontrowersji<sup>10</sup>, jednak wciąż jest to ważna nagroda literacka i istotny element Światowego Konwentu Science Fiction.

Worldcon to niewątpliwie jedna z najważniejszych imprez fantastycznych. Podobnie jak w wypadku Euroconu jego siła nie tkwi w liczbie uczestników (ta, chociaż relatywnie duża, nie oszałamia). W moim odczuciu tym, co czyni go najważniejszą imprezą w roku, jest tradycja, jakość programu oraz ludzie, którzy się nań wybierają. Chociaż lata, kiedy Worldcon dawał pełny ogłód fandomu amerykańskiego, minęły już dawno, to jednak wciąż skupia on ludzi mocno zaangażowanych w hobby, jakim jest fantastyka. Dlatego też, kiedy tylko odbywać się on będzie w moim zasięgu, będę się starał nań dotrzeć.

■ MARCIN „ALQUA” KŁAK

<sup>10</sup> Były one opisane w „Smokopolitanie” 1 (1) z maja 2015 roku.

# Fantastyczny piknik

Autor: Marcin „Seji” Segit

**N**a wrocławskie Dni Fantastyki próbowałem dotrzeć od lat. W tym roku wreszcie się to udało i z wyjazdu wróciłem zadowolony. DF-y to przede wszystkim fajna lokalizacja, jako że konwent odbywa się na zamku w Leśnicy (dziś rejon Wrocławia) – daleko od zatłoczonego centrum, okolica zielona i sympatyczna. Szkoda tylko, że sam zamek jest już nieco za mały na konwent tych rozmiarów.

Przyzaskomwy park był jedną z największych zalet imprezy. Dodatkową atrakcją stanowiły foodtrucky z całkiem niezłym jedzeniem. Było zatem gdzie usiąść, odpocząć, zjeść i porozmawiać ze znajomymi bez konieczności odbywania dalekich wypraw do centrum lub poszukiwania lokalu z odpowiednią liczbą miejsc. A że przez większość czasu pogoda dopisywała, sporo życia konwentowego toczyło się pod gastronomicznymi namiotami i na leżakach. Na taki fantastyczny piknik mógłbym jeździć częściej.

Program DF-ów był bogaty i różnorodny. Znalazło się w nim mnóstwo rzeczy, od spotkań z pisarzami, przez panele dyskusyjne i prelekcje, po warsztaty i sesje gier fabularnych. Tematycznie zahaczono chyba o wszystkie fanowskie aktywności i pasje, od science fiction, przez komiksy (bardzo fajny, rozbudowany blok) i gry komputerowe, na

anime kończąc. Każdy mógł tam znaleźć coś dla siebie, choć wydaje mi się, że gry fabularne były trochę nieobecne – niewiele sesji, mało prelekcji. Z drugiej strony patrząc, DF-y nie skupiały się na jednej dziedzinie, starając się odpowiedzieć na wszelkie fantastyczne zainteresowania. Dodatkowo działała plenerowa scena z galą cosplayu, pokazami iluzjonistów, warsztatami tańca, koncertami i innymi atrakcjami – co ważne, dostępnymi dla wszystkich zainteresowanych, a nie tylko dla uczestników konwentu. Na tym tle kuriozalnie wyglądał stojący na tyłach zamku kontener programu „Wrocław – Europejska Stolica Kultury 2016” (jeden znajomy z rozbijającą szczerością stwierdził, że wziął go za śmietnik). Realizowano tam blok programowy „Hydepark”, bywało, że zagłuszany przez odbywające się tuż obok pokazy szermierki i inne atrakcje.

Rozbudowany program i kilka tysięcy uczestników przełożyło się niestety na ścisk na prelekcjach (dobrze, że organizatorzy pilnowali, by ludzie nie wypchali się do już i tak zatłoczonych sal) i tłumy na korytarzach. W tym drugim przypadku nikt niestety nie pomyślał, by przy obleganych salach znajdujących się tuż przy schodach postawić kogoś, kto pilnowałby, żeby nie blokować przejścia. Liczba uczestników pokazała także niedostatki zamku jako konwentowego lokalu.

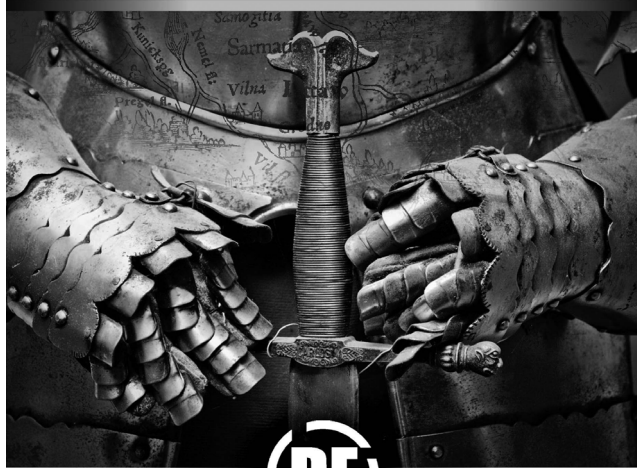
Kilka sal prelekcyjnych mogło pomieścić zaledwie kilkanaście osób. Do najmniejszej z nich wcisnąć się mogło dosłownie kilka, do tego zlokalizowana była na drugim piętrze zamkowej baszty, do której prowadziły wąskie i kręte schody, co zniechęcało do wspinaczki. Co więcej, ową miniaturową salę przeznaczono m.in. na warsztatowe punkty programu, zwykle mocno oblegane. W rezultacie jeden z prelegentów wyprowadził gromadkę słuchaczy na zamkowe mury, załatwił im kartony do siedzenia i w ten sposób poprowadził swój wykład.

Wrocławskie Dni Fantastyki okazały się fajną, choć nie rewelacyjną imprezą. Lokalizacja i zaplecze gastronomiczno-rekreacyjne skutecznie nadrabiały wszelkie potknięcia organizatorów – drobne, choć niekiedy irytujące. Być może wybiorę się do Wrocławia za rok, choć obawiam się, że uczestników będzie jeszcze więcej, co nie wróży dobrze dostępności konwentowych atrakcji. Zawsze jednak pozostają leżaki i konwentowe rozmowy do zmroku.

■ MARCIN „SEJI” SEGIT

**13-15 maja 2016**

Centrum Kultury Zamek // Wrocław



**DNI FANTASTYKI**

// Historie alternatywne //

**12. edycja**

## Eurocon 2016

Autor: Anna Jakubowska

Wszystko zaczęło się w 1972 roku we włoskim miasteczku Triest, kiedy to na pierwszym Euroconie powołano do istnienia Europejskie Stowarzyszenie Science Fiction. Od tej pory konwent nieustannie wędruje – impreza za każdym razem odbywa się w innym kraju, a gospodarzy danej edycji wyłania się na drodze głosowania. I tak na przykład w Polsce Eurocon gościł już czterokrotnie: w 1976 roku w Poznaniu, w 1991 w Krakowie, w 2000 w Gdańsku i w 2010 w Cieszynie. Ba, konwent omal nie powrócił nad Wisłę (a właściwie: Odrę) po raz piąty – ponieważ o organizację edycji 2016 rywalizowały Barcelona i Wrocław. Ostatecznie zwyciężyło hiszpańskie miasto i właśnie w nim w weekend 4-6 listopada po raz trzydziesty ósmy spotkali się fani fantastyki z całego kontynentu.

Barcelońska edycja (zwana również BConem) była nie tylko moim pierwszym Euroconem, ale również pierwszym zagranicznym konwentem w ogóle. Bardzo ciekawiły mnie podobieństwa i różnice w organizacji konwentów w Polsce i poza jej granicami. Pierwsze, co mnie zdumiało, to stosunkowo niewielka skala imprezy – limit wynosił 800 uczestników, co u nas uszłoby za przeciętny lokalny konwent, a nie międzynarodowe wydarzenie. W pewnym sensie sprawiło to jednak, że jakość przeważała

nad ilością: praktycznie każdy uczestnik Euroconu okazywał się osobą mocno zaangażowaną w działalność fandomową w swoim kraju i/lub na świecie. Sprzyjało to wymianie doświadczeń: jedni opowiadali o organizowanych przez siebie wydarzeniach, drudzy o swoich klubach, trzeci (na przykład ekipa „Smoko”) o fanzinach i innych wydawnictwach. Ułatwiała to nawiązywanie kontaktów, ponieważ już na starcie wszyscy rozmówcy wiedzieli, że kroczą po dość solidnym wspólnym gruncie.

À propos wspólnego gruntu, taki drobiazg, który mnie osobiście ujął: wszyscy moi rozmówcy starali się wykazać chociaż minimalną znajomością Polski. Najczęściej chwalili się, że czytali już któregoś z naszych autorów (i był to najczęściej, oczywiście, Lem – ale nie tylko), inni wspominali o swoich podróżach nad Wisłę (także na różne konwenty), wreszcie byli i tacy, którzy uciekali się do twierdzeń, że ktoś z ich bliskiego otoczenia jest Polakiem.

Choć hala wystawców była otwarta dla wszystkich, na pozostałe atrakcje mogły wejść tylko osoby, które wykupiły wcześniej jedną ze wspomnianych 800 akredytacji (zwanymi *memberships*). Uprawniała ona także do odebrania pakietu startowego, w którego skład wchodziły m.in. pamiątkowa euroconowa publikacja, pierwsze

anglojęzyczne wydanie *Typescript of the Second Origin katalońskiego* pisarza Manuela de Pedrolo czy „paszport” Euroconu.

Budynek barcelońskiego Centrum Kultury Współczesnej okazał się funkcjonalny, dobrze usytuowany i po prostu ładny. Początkowo trudnością mogła okazać się nawigacja po salach programowych, ponieważ zamieszczone w informatorze mapki nie grzeszyły czytelnością – ale i z tym problemem szło sobie łatwo poradzić. W programie zdecydowanie dominowały tematy związane z literaturą, a o każdej porze odbywało się co najmniej jedno wystąpienie w języku angielskim. Co więcej, część z nich była transmitowana w zaprzyjaźnionej księgarni Gigamesh<sup>1</sup>. Odbywały się zatem panele dedykowane literaturze fantastycznej poszczególnych krajów i regionów; prowadzono wywiady z zaproszonymi gośćmi; dyskutowano o światotwórstwie, życiu pozaziemskim czy literackich obliczach genderu i queeru. Dodatkowe atrakcje stanowiły projekcje filmów oraz tematyczny spacer śladami Orwella. Wśród gości honorowych natomiast znalazły się takie osoby, jak Aliette de Bodard, Richard Morgan, Enrique Corominas, Andrzej Sapkowski, Johanna Sinisalo, Rosa Montero, Rhianna Pratchett, Péter Michaleczky, Brandon Sanderson oraz Albert Sánchez Piñol.

Zgodnie z tradycją podczas konwentu ogłoszono laureatów Nagrody Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction (ESFS Awards). Wyróżnienia w kategorii *Hall of Fame* otrzymali: Tom Croshill (Łotwa; najlepszy autor), Stephan Martinère (Francja; najlepszy artysta), „Bifrost”

(Francja; najlepszy magazyn), Nova – Ediciones B (Hiszpania; najlepszy wydawca), Andrew Bromfield (Wielka Brytania; najlepszy tłumacz) oraz *ex aequo* James Bacon (Irlandia), Roberto Quaglia (Włochy) i organizatorzy Archipelaconu (Finlandia i Szwecja) jako najlepsi popularyzatorzy. W kategorii *Encouragement Awards* wyróżniono następujące osoby: Orszulia Fariniak (Ukraina), Felicidad Martínez (Hiszpania), Mark E. Pocha (Słowacja), Alexandru Lamba (Rumunia), Jan Hlávka i Jana Vybíralová (Czechy), Maria Gyuzeleva (Bułgaria), Kuscuzj Niepoma (Rosja), Rui Ramos (Portugalia), Melanie Vogeltanz (Austria), Juraj Belošević (Chorwacja), Maria Boyle (Irlandia). W ramach kategorii *Spirit of Dedication* nagrodzono: Guillemo Lópeza (Hiszpania; najlepszy autor), Kristinę Bilotę aka Toxicpandę (Chorwacja; najlepsza artystka), „SuperSonic” (Hiszpania; najlepszy magazyn), Risingshadow (Finlandia; najlepsza strona internetowa), *ex aequo* El Ministerio Del Tiempo (Hiszpania) i The Shaman (Austria) za najlepszą formę dramatyczną oraz Sofię Rhei (Hiszpania; najlepszy twórca SF&F dla dzieci). Nagrodę honorową przyznano natomiast Herbertowi W. Franke (Austria).

Co pozostaje ważne dla mnie jako przedstawicielki redakcji „Smokopolitana”, to fakt, że specjalny numer naszego zinu spotkał się z ciepłym przyjęciem i żywym zainteresowaniem – podczas całego konwentu rozeszło się 600 egzemplarzy. Przede wszystkim budził ciekawość, jako że polska literatura wciąż pozostaje trudno dostępna za granicą – i wielu entuzjastów fantastyki cieszyło się z okazji do pogłębienia swojej znajomości współczesnych polskich autorów czy fandomowych realiów. Do redakcji dotarło wiele sygnałów

1 I wciąż jest dostępna do obejrzenia na ich oficjalnym youtube’owym kanale: <https://www.youtube.com/playlist?list=PLqA7nRotzVciios3Q5-7UUyqttwDEs>.

o egzemplarzach, które trafiły do klubowych bibliotek, co prawdopodobnie oznacza, że zapozna się z nimi więcej niż jedna osoba. Chwalono też estetykę wydania – co może nie jest najważniejsze, ale jednak mile.

Jak widać, Eurocon to impreza o specyficznej, ale niezwykle przyjaznej atmosferze. Organizatorom BConu wypada pogratulować dobrego przygotowania wydarzenia, a wszystkim zainteresowanych zaprosić na kolejne edycje. Wiadomo już, że w 2017 roku konwent zagości w Dortmundzie (jako U.Con: <http://www.dortmund-in-2017.com/>), a w 2018 – w Amiens (pod nazwą Nemo: <http://eurocon2018.yolasite.com/>). Kto wie, może i „Smoko” się tam wybierze?

■ ANNA JAKUBOWSKA

*Redakcja chciała złożyć Marcinowi „Sejmiemu” Segitowi szczególne podziękowania za pomoc w prowadzeniu stoiska na Euroconie.*

## KONWENTY

# Falkon 2016

Autor: Agnieszka Filipiak

Falkon to największy festiwal fantastyki odbywający się na wschód od Poznania. Tegoroczna, XVII edycja, odbyła się w dniach 4 – 6 listopada w Lublinie i kolejną już raz gościła na Targach Lublin S.A. i w Szkole Podstawowej nr 20 im. Jarosława Dąbrowskiego. W tym roku na Falkon przyjechało 9 500 osób i sądzę, że każdy znalazł na tym festiwalu coś dla siebie.

Bardzo dobra lokalizacja na mapie Lublina sprawiła, że łatwo było dostać się na teren imprezy. Miejsce to znajduje się bardzo blisko dworca PKP, około 20 minut od Starówki i 30 minut od dworca PKS. Sama dotarłam tam autobusem Polskiego Busa, który nie był Polskim Busem.

Pierwszym, na co natrafiali żądni fantastyki fani, była akredytacja. Całkiem sprawna, ale z jednym minusem – mimo wykupienia pakietu z przedpłaty, nie od razu dostałam informator. Jestem osobą, która lubi wiedzieć, co może ją czekać na konwencie, więc poczułam się zawiedziona. Złożona skarga została co prawda rozpatrzona szybko, ponieważ okazało się, że informatory nie dojechały na czas, jednak zabrakło informacji o późniejszym odbiorze informatora na akredytacji, która definitywnie mogła się pojawić.

Sam informator ładnie wydany, 100-stronicowy, na dobrej jakości papierze, ale osobiście nie lubię układu alfabetycznego



punktów programu zamiast godzinowego. Trzeba było poświęcić sporo czasu, żeby znaleźć opis danego punktu, jeżeli się nie pamiętało jego pełnej nazwy.

W tym roku pojawiły się opaski na rękę pozwalające na wstęp na teren imprezy – trudne do zgubienia, praktyczne niezniszczalne, pozwalały nie martwić się wejściem na konwent.

Sam program był olbrzymi i bardzo różnorodny. Niestety, biorąc udział w NeRdzie<sup>1</sup> nie miałam możliwości zapoznać się ze wszystkimi punktami, z którymi chciałam, bo zależało mi także na zwiedzeniu hali wystawców. Ubrania, biżuteria, gry, książki, kości i bibeloty – nawet dla najbardziej wymagających klientów znalazłoby się coś wartego uwagi. Bardzo dużo stoisk, tłumy cosplayerów i mnóstwo znajomych – taki festyn, na który zjeżdżają się ludzie z różnych miejsc Polski, małe święto, na którym można

spotkać dawno niewidziane, a bliskie sercu osoby.

Na hali wystawców zostało także zorganizowane miejsce dla Strefy Fantastycznych Inicjatyw, gdzie prezentowane były inne wydarzenia i konwenty fantastyczny m.in.: Imladris, Kapitularz, Lajconik, Zjava, Whomanikon, Kapitularz, Smokon, Pyrkon i Copernicon. Pojawił się tam też „Smokopolitan”. W tym samym miejscu odbywały się inne atrakcje, m.in. Falkonarena – pokazy szermiercze, walki mieczami otulinowymi postaci z różnych epok, systemów, światów, co razem dawało fantastyczne widowisko. Jedyny minus: zagrzewania do walki słychać było na całej hali wystawców, zagłuszały nawet rozmowy.

Świetnie przygotowana została strefa dla najmłodszych, z trampoliną, opiekunami, wieloma atrakcjami dla dzieci do 7 lat. Dzieci mogły wziąć udział w dużej liczbie konkursów, m.in.: budowanie modeli odrzutowców z klocków Lego, rysowanie itd. Rodzice mogli zostawić swoje pociechy i udać się na zakupy lub inne atrakcje.

1 NeRd to konkurs mający na celu wyłonienie najlepszego gracza RPG, a także popularyzację tego typu rozrywki. Jest to okazja, aby podszkolić swój warsztat i zagrać u świetnych mistrzów gry. W tym roku na Falkonie miała miejsce 6. edycja tego konkursu.

Uważam, że strzałem w dziesiątkę była strefa gastronomiczna w osobnym namiocie, ale z wejściem od hali wystawców (w zeszłym roku były one na tej samej hali). Dorzucenie do namiotu gastronomicznego punktów programu (występy muzyczne, pokazy mody gotyckiej, gala rozdania nagród w konkursach) nie było jednak dobrym rozwiązaniem, bo po pierwsze były one ignorowane przez ludzi, którzy spotykali się tam ze znajomymi lub przychodzili coś zjeść, a po drugie nie można było swobodnie porozmawiać, ponieważ było się zagłuszonym przez konferansjerów i muzykę.

Przez swoją wielkość (ponad 600 punktów), program był nieco chaotyczny i brakowało w nim myśli przewodniej i spójności. W tym roku zdominowały go panele dyskusyjne, które przez krótki czas trwania i zbyt dużą liczbę panelistów, nie pozwalały na głębsze rozwinięcie tematu. A szkoda! Brakowało czasu, żeby każdy z gości mógł się w pełni wypowiedzieć, a tematy paneli były bardzo ciekawe np.: „Moralność w świecie Harry’ego Pottera”.

Programowo skorzystałam głównie z bloku RPG i LARP. Larp „Aiden”, w którym miałam okazję uczestniczyć był ciekawym przeżyciem, dobrze przygotowanym, z interesującą i zawiłą fabułą i Kubą Ćwiekiem w roli gospodarza. RPG w programie było pod dostatkiem, biorąc pod uwagę ilość zarówno zaplanowanych sesji, jak i prelekcji. Sama miałam przyjemność wziąć udział w dwóch, świetnie poprowadzonych sesjach, bawiąc się na nich do późnej nocy, oraz wysłuchałam kilku wystąpień, z których udało mi się wynieść coś inspirującego.

Mimo dużej ilości punktów programu sale były w większości pełne, ale ani razu nie miałam problemu z wejściem na salę.

W tym roku bardzo dobrze przebiegła organizacja NeRda. Możliwość rejestracji przez stronę internetową skróciła czas wybierania drużyn i prowadzących mistrzów gry. Czytelne informacje na stronie internetowej, Facebooku i na papierze sprawiły, że duża liczba osób postanowiła się zmierzyć w konkursie dla graczy. Wysoki poziom sesji, przygotowanie MG i możliwość świetnej zabawy sprawia, że oceniam NeRda jako najlepszy punkt programu na Falconie. Dziękuję za to Mistrzom Gry, u których miałam okazję zagrać oraz graczom, z którymi miałam przyjemność się bawić.

W Gamesroomie, do którego także udało mi się zawitać, był bardzo różnorodny wybór planszówek, dużo miejsca i o każdej porze dało się znaleźć wolny stolik i zagrać w grę. Pominę chaos, jaki panował przy wypożyczeniu i oddawaniu gier. Niestety, systemy, które działają na małych imprezach, nie nadają się na wielkie festiwale, takie jak Falcon.

Podsumowując, Falcon bardzo mi się podobał i w następnym roku też mam zamiar przyjechać bawić się na tym festiwalu. Formuła targów przemawia do mnie, bo z natury jestem szwędzaczem i lubię się kręcić między wystawcami, oglądając, przebierając i szukając idealnej kości, kubka, czapki... Poznałam kolejnych fantastycznych ludzi i mam nadzieję, że spotkam część z nich na kolejnych konwentach i festiwalach fantastycznych w przyszłym roku.

■ AGNIESZKA FILIPIAK

# Gdzie sny stają się rzeczywistością

Relacja z Dream Heaven

Autor: Karolina Fedyk

**W** kalendarzu polskich imprez gier typu *live action* tegoroczna edycja Festiwalu Innowacji Larpowych DreamHaven wyróżnia się dla mnie już teraz – i nie tylko dlatego, że była to pierwsza „DeHa”, w której wzięłam udział. Przed przyjazdem na Przystanek Alaska (teren festiwalu) starałam się nie mieć zbyt wygórowanych oczekiwań. Niepotrzebnie. DreamHaven nie tylko je spełniło, ale i przekroczyło.

DreamHaven to nie festiwal, na który się przyjeżdża, by korzystać z gotowych atrakcji. Ci, którzy obawiają się o partycypacyjną kulturę fandomu, mogą być spokojni przynajmniej o jego larpową część. Podczas oficjalnego otwarcia, gdy organizatorzy poprosili twórców programu, by ci wyszli na scenę, wstała niemal połowa uczestników. A przecież i tak nie było wśród nich tych, którzy organizowali spontaniczne warsztaty, wspólnie przygotowywali rekwizyty czy ćwiczyli taniec i akrobatykę. Twórcy DreamHaven dali uczestnikom gigantyczny sandbox, w którym mogliśmy tworzyć i wymieniać pomysły. Ci, którzy chcieli testować swoje larpy, sprawdzali je z udziałem nowych graczy. Tak przyjazna atmosfera, kojarząca się z wakacjami na

biwaku, zdecydowanie sprzyjała kreatywności i konstruktywnej krytyce, która pozwalała rozwijać się i uczyć. Niejedna gra kończyła się tym, że autorzy scenariusza spisywali notatki i nanosili poprawki, podczas gdy stojący w pobliżu uczestnicy wciąż rozmawiali o jej przebiegu.

Nie bez znaczenia pozostały także aktywności niezwiązane z larpami: wspólne gotowanie, imprezy taneczne, wypadki nad jezioro i zwiedzanie okolicznych atrakcji. Te pozornie zwyczajne czynności, dalekie od tematyki festiwalu, stanowiły kolejną płaszczyznę porozumienia. Bardzo przydatny okazał się także system totemów, kawałków drewna pomalowanych na różne kolory oznaczające tematy rozmowy. Konwentowicze stawiający na stole przed sobą totem określonej barwy mogli zasygnalizować innym, o czym chcą rozmawiać: o larpach, tylko nie o larpach, jako weterani Hardkonów (poprzedników „DeHy”) chętnie pomogą nowicjusom, albo chcą za wszelką cenę uniknąć spoilerów *Gry o Tron*.

Prezentowane na DreamHaven larpy miały najróżniejszą formę: od scenariuszy „tańczonych”, eksperymentalnych jeepformów (odrzucających konwencje

znane z RPG) i nanolarpów (krótkich gier, których stworzenie zajmuje niewiele czasu) z antologii #Feminism, poprzez gry zapraszające do świata Harry'ego Pottera, po intrygi kryminalne. Ukoronowanie konwentu stanowiła gra główna, w tym roku osadzona w uniwersum wiedźmińskiej sagi i poprzedzona krótkimi larpami wprowadzającymi, które spotkały się z dużym entuzjazmem graczy.

Warto nadmienić, że w odróżnieniu od wielu innych konwentów terenowych, na DreamHaven nie ma stałego motywu gry głównej – co roku wybierany jest inny scenariusz i nowa ekipa. Mogę więc wypowiadać się wyłącznie o tegorocznej edycji. Ta zaś ujęła mnie bardzo świadomym designem gry i jej celów, intrygującym procesem tworzenia postaci (opartym o kwestionariusz osobowości Meyers-Briggs, który, choć niezbyt naukowy, stanowi cenione narzędzie



wszelkiej maści twórców) i ambitnymi efektami specjalnymi, w szczególności kostiumami. I choć sama gra miała słabsze momenty, to jej twórcy podeszli do komentarzy graczy z dużą otwartością i na bieżąco modyfikowali larpa, by wszyscy bawili się lepiej. Z pewnością nie był to scenariusz idealny, ale wyróżnił się pozytywnie na tle innych dużych terenówek, w których brałam udział. Na pewno zapamiętam wspólnotę, jaką stała się nowo budowana osada Galenlad.

DreamHaven nie bez powodu mieni się festiwalem innowacji larpowych. To miejsce, w którym przy odrobinie dobrej woli można nauczyć się czegoś nowego o grach. Dla mnie najważniejszym krokiem w larpowym rozwoju było lepsze zrozumienie idei warsztatów przed grą. Dla wielu graczek i graczy warsztaty to wciąż rzadkość lub niepotrzebne ćwiczenia ruchowe. Nic bardziej mylnego; na DreamHaven nauczyłam się, jak dostosować warsztaty do potrzeb danej gry i ile mogą dzięki nim osiągnąć. By utrzymać ducha poprzednich edycji „Anatomii larpa”, poniżej zamieszczam spis technik, które przywiozłam z Alaski.

## Imiona

Ile razy, czy to na larpie terenowym, czy chamberowym, gracze nerwowo przeglądali karty postaci, próbując sobie przypomnieć imiona bohaterów, które powinni dobrze znać? Nauczenie się nowych imion, szczególnie tych z fantastycznych światów, może być nie lada wyzwaniem. Autorzy gry głównej na DreamHaven rozwiązali to, organizując serię ćwiczeń, podczas których każdy gracz przedstawiał swoją postać i wykonywał charakterystyczny dlań gest,

pozostali zaś powtarzali go za nim. Dzięki temu nie tylko mogliśmy nauczyć się swoich imion, ale też bardzo szybko zbudowaliśmy skojarzenia między nimi a charakterami bohaterów. Wykonywane przez nas gesty zwykle dobrze odzwierciedlały typ postaci, jaki graliśmy, co sprawiło, że podczas właściwej gry mieliśmy już pewne wyobrażenie o tym, jacy są pozostali mieszkańcy naszej osady.

Ta technika może być też z powodzeniem stosowana na mniejszych larpach. Nawet kilka rund powtarzania imion zapobiegnie niezręcznej ciszy w trakcie gry, gdy postaci, które powinny być sobie bliskie, nie wiedzą, jak się do siebie zwracać.

### **Przekazywanie emocji**

To proste ćwiczenie jest kreatywną rozgrzewką i pomaga przełamać opory przed odgrywaniem emocji na oczach innych. Uczestnicy stoją w kręgu. Pierwsza osoba wykonuje pantomimę, odzwierciedlającą nazwane przez siebie uczucie, i „przekazuje” je osobie drugiej, która najpierw odgrywa to samo, po czym wybiera inną emocję i odtwarza ją przed kolejną osobą. Obserwowanie innych pozwala dostrzec wielość ekspresji – różne osoby mogą zupełnie inaczej wyobrażać sobie złość czy radość. Im większy krąg, tym ważniejsza staje się kreatywność: w końcu ileż można grać złością i strachem. Z czasem przekazywane sobie nawzajem emocje stają się coraz bardziej wyszukane i zniuansowane.

### **Skalowanie emocji**

Powiedzmy to uczciwie: egzaltacja i granie przerysowanych emocji są dość łatwe. Gdy

graczka czy gracz przełamie się, krzyk lub histeria na larpie są stosunkowo proste do odegrania. Ale jak pokazać lżejszy gniew lub oburzenie, do którego postać nie jest przekonana? W ćwiczeniu skalowania gracze chodzą po sali, a na znak prowadzącego zaczynają grać krótką scenkę w parze ze stojącą najbliżej osobą. Polecenia są proste i zwykle bez kontekstu (choć to zależy od prowadzących): „odegrajcie między sobą złość na 2” lub „pokażcie zniecierpliwienie na 5”. Myślenie o emocjach w kontekście skali sprawia, że skupiamy się na granie w sposób bardziej subtelny lub zdecydowany. Dodaje to larpowi głębi i skłania do bardziej uważnego obserwowania gry osób wokół nas.

### **Mantrowanie**

Ta technika nadaje odcień odgrywanej scenie poprzez determinowanie nastawienia postaci. Polega na tym, że gracze powtarzają sobie bezgłośnie wybraną przez siebie mantrę – „to jest mój szczęśliwy dzień”, „tylko nie to”, „muszę wygrać”... Warto poćwiczyć odgrywanie jednej sceny z różnymi mantrami. Z własnego doświadczenia wiem, że finał fabuły Kopciuszka wygląda zupełnie inaczej, gdy mantra brzmi „jak ja was wszystkich nienawidzę” i inaczej, jeśli gracz utrwała w postaci przekonanie o szczęśliwym dniu. I mimo że te słowa nie są wypowiedzane na głos, pozostali uczestnicy sceny – lub obserwatorzy – zwykle mogą odczytać nastawienie postaci.

Mantrowaniem można się posłużyć także wtedy, gdy chcemy utrwalić motywację bohaterki czy bohatera, szczególnie, jeśli wcześniej brakło czasu, by popracować nad postacią.

## Ćwiczenia ruchowe

W odróżnieniu od poprzednich opisanych tutaj technik, te skupione są na grze „do wewnątrz” i lepszym rozumieniu swojej roli. W najprostszym wariantcie polegają one na wyobrażaniu sobie i odgrywaniu ruchów postaci w różnych sytuacjach, od codziennego spaceru po próby uwolnienia się. Rozważenie, jak dana postać się porusza i jak wykorzystuje przestrzeń wokół siebie, czyni ją bardziej charakterystyczną w oczach innych i ułatwia granie.

### Status

Ten wariant ćwiczeń ruchowych będzie szczególnie przydatny w grach, gdzie status społeczny postaci stanowi istotny element świata przedstawionego (społeczeństwa kastowe, feudalne, korporacja o sztywnej hierarchii, szkoła, zakon...). Gracze sami decydują, jaki status chcą odgrywać, dla ułatwienia wybierając cyfrę między 1 a 10, gdzie 1 oznacza najniższą warstwę społeczeństwa. Następnie zaś spacerują w koło, wchodząc w interakcje z innymi graczami tak, by odegrać swój status. Osoba, która wybrała 7, może więc się trochę puszyć, natomiast „jedynka” będzie schodzić innym z drogi i pokornie opuszczać głowę. Po zakończeniu ćwiczenia gracze ustawiają się w rzędzie odpowiadającym wartości ich statusu i odgadują, na jakim poziomie byli inni.

### Po co?

Jak napisałam wcześniej – sama idea

warsztatów ma wielu sceptyków. Niektórzy widzą w nich bezsensowne lub żenujące ćwiczenia ruchowe. Są też tacy, którym po prostu trudno się przełamać, by gestykulować i grać przed innymi (choć dużo łatwiej pokonać te obawy w grupie, dlatego większość ćwiczeń zaczyna się od wspólnego działania i dopiero później następuje indywidualne odgrywanie). Ale nawet ci, którzy nie widzą wpływu warsztatów na larpa, po warsztatach grają inaczej – zazwyczaj uważniej, w sposób bardziej zniuansowany. Włączają do gry różne elementy, które wcześniej pomijali, np. mowę ciała. Nie trzeba zatem być w pełni świadomym efektów warsztatów, by zmieniały one grę. Choć, rzecz jasna, rolą twórców larpa jest wybór takich ćwiczeń, które będą odzwierciedlały tematykę i kluczowe elementy danego scenariusza. W larpie „bitewniakowym” bardziej przyda się warsztat z efektownych i bezpiecznych upadków niż ze skalowania emocji. Nie ma też ograniczeń co do tego, które elementy będą przydatne; jak w przypadku pozostałych komponentów larpa, granicę wyznacza tylko wyobraźnia twórców, wsparta zdrowym rozsądkiem.

O sile wyobraźni w larpie przekonałam się ponownie na DreamHaven. Dzięki temu konwentowi wyświechtany slogan o grach wyobraźni na nowo nabrał znaczenia i przypomniał mi, dlaczego zaangażowałam się w to hobby. Na kolejną „DeHę” zamierzam zabrać pomysły, które powstały na tegorocznej edycji, i zobaczyć, czego nauczę się, wcielając je w życie.

■ KAROLINA FEDYK

# Smoki, kielichy i przyjaźń polsko-chińska,

czyli „Staszek i smocza przygoda”

Autor: Michał Szymański

Kiedy byłem małym chłopcem, polska telewizja państwowa posiadała tradycję umilania dzieciom ferii i wakacji fantastyką. Raz do roku, w jakiś losowy wybrany czas wolny od szkoły, na antenie pojawiał się nowy krótki serial dla starszych dzieciaków z wątkiem fantasy lub SF. *Maszyna zmian*, *Tajemnica Sagali*, *Dwa światy...* Niejaki Ziuta pisał niedawno na Pulpozaurze, że był to złoty okres polskiej produkcji serialowej. I jeśli wspominać te tytuły równie miło jak ja, powinniście rzucić okiem na książkę Tomasza Duszyńskiego.

Ale po kolei. *Staszek i smocza przygoda* to drugie podejście pana Tomasza do fantastyki przygodowej dla dzieci. Pierwsze, *Staszek i straszliwie pomocna szafa*, ukazało się w księgarniach pięć lat temu, zebrало dobre recenzje, ale przeszło trochę bez echa. Część druga trochę jest typową kontynuacją, a trochę opowiada zupełnie samodzielną historię i można ją czytać bez znajomości części pierwszej.

Historia zaś jest całkiem atrakcyjna i ciekawie pomyślana. Mamy wątek podróży w czasie, sporo motywów orientalnych, wielki turniej o potężny, starożytny artefakt i złego maga pragnącego władzy nad światem. Główni bohaterowie to gimnazjaliści, jednak

książka wydaje się przeznaczona raczej dla uczniów szkół podstawowych. Gimnazjaliści pewnie też ją „łykną”, choć może się dla nich okazać nieco zbyt naiwna.

Będzie to mój główny i chyba jedyny zarzut pod adresem przygód Staszka – niektóre wątki nie zostały przemyślane tak dobrze, jak powinny. Jakby autor siedł na efektowną łatwiznę, bo przecież to książka dla dzieci i nie trzeba się przejmować szczegółami. Szwankuje zwłaszcza postać głównego złego, który czasem wydaje się być naprawdę groźnym, bezlitosnym magiem i robi zamieszanie godne Voldemorta, by zaraz potem mieć problem z przejrzaniem intrygi trójki trzynastolatków czy powstrzymaniem zwykłego mnicha przed popsuciem mu szyków. Trochę szkoda. Dzieciakom może nie będzie to aż tak przeszkadzać, ale osłabia efekt.

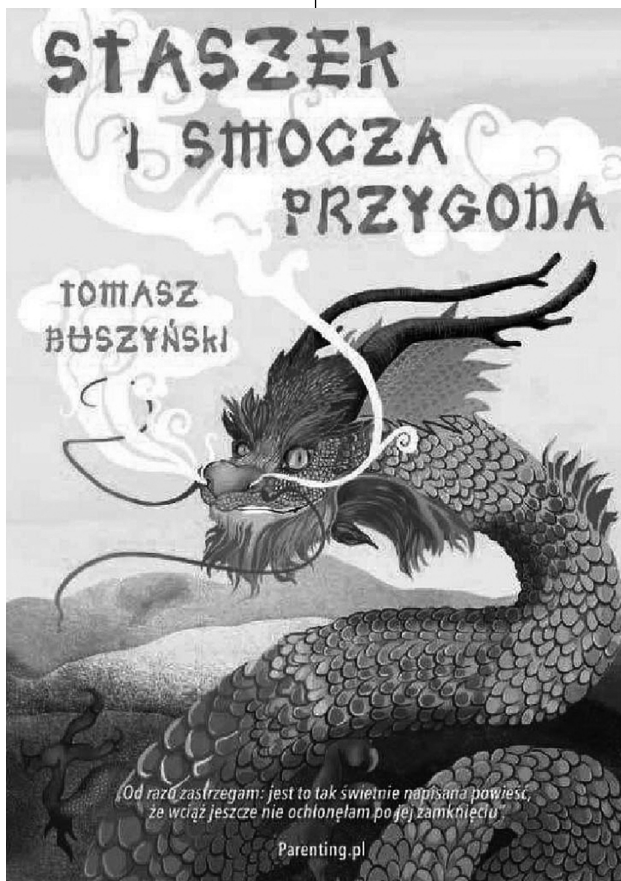
Z drugiej strony powieść naprawdę przyjemnie się czyta – widać, że autor włożył w nią sporo pracy i całkiem dobrze się przy niej bawił. Osobiście najmilej będę wspominał początkowe rozdziały, dziejące się w Chinach pod koniec zeszłego wieku za dobrze oddany koloryt tego miejsca, za pokazanie zderzenia obcych sobie kultur bez posługiwania się kliszami, ale

również za poruszenie w książce dla dzieci tak trudnego tematu, jak praca nieletnich w tym rejonie świata. I dodatkowy plus za promowanie zdrowej, uczciwej rywalizacji, która ostatecznie przynosi więcej pożytku niż dążenie do zwycięstwa za wszelką cenę. Warto dać dziecku do przeczytania książkę, która prezentuje takie postawy jako wartościowe i atrakcyjne – bez nachalnego moralizatorstwa.

A co z tymi serialami, o których pisałem na początku? Otóż podczas lektury obu tomów *Staszka* przez cały czas towarzyszyło

mi wrażenie, że znowu chodzę do podstawówki i spędzam deszczowe lato, śledząc przygody bohaterów tamtych opowieści. Książki pana Duszyńskiego posiadają ten sam trudny do nazwania klimat. Co moje ulubione „bajki” z dzieciństwa. Może dlatego, że mniej skupiają się na „efektach specjalnych”, a bardziej na opowiedzeniu ciekawej historii z mądrym przesłaniem i sympatycznymi bohaterami. Dobry prezent dla czytającego dziecka, a kto wie, czy i rodzice się nie kuszą?

MICHAŁ SZYMAŃSKI



# W ludzkiej skórze

Autor: Magdalena Kucenty

Słowo „redlum” nie figuruje w żadnym słowniku, choć może kryje w sobie znaczenie, którego zwyczajnie nie udało mi się odnaleźć. Tak czy owak, całkiem wdzięcznie brzmiący zbitek liter to nazwa miasta, w którym rozgrywa się fabuła książki Katarzyny Rupiewicz. I jest to miasto całkiem niezwykle. Stanowi bowiem dom dla potworów wszelkiej maści, zagonionych tam przez ludzi, by nie szwendały się po świecie, przysparzając kłopotów.

Warto również nadmienić, że *Redlum* jest powieścią debiutancką. Niemniej według notki biograficznej Katarzyna Rupiewicz „pisze od zawsze” i ma na koncie kilka wydanych opowiadań, między innymi w antologiach *Światy równoległe* oraz *Geniusze fantastyki*. Nie zdziwił mnie więc dobry styl autorki. *Redlum* zostało napisane z humorem, literackim nerwem i wprawą. Moim największym, a w zasadzie jedynym poważnym zarzutem wobec niego jest to, że zapowiadało się na powieść słabszą, niż okazało się w rzeczywistości. No bo mamy tutaj cały wachlarz typowych do bólu maszkar (trolle, wampiry, ghoule, sukuby, inkuby...), chłopków-roztropków umierających w pięć sekund po wejściu na scenę, a wszystko zaczyna się w karczmie – najbardziej stereotypowej dla fantasy

lokacji. Szczerze powiedziawszy, nawet po przeczytaniu darmowego fragmentu książki nie byłam do niej całkiem przekonana. Ale natrafiłam na bardzo pochlebną opinię Anny Kańtoch<sup>1</sup> i co tu dużo gadać – byłam, nie byłam, aż w końcu kupiłam. I naprawdę nie żałuję.

Po zakupie zaczęłam lekturę od miejsca, w którym kończył się udostępniony przez wydawnictwo fragment. A im dalej, tym ciekawiej. Opowieść Rupiewicz powoli odkrywała przede mną pierwsze, drugie, trzecie dno. Zamieniała się z pozornie wesolutkiego fantasy o niczym w opowieść, która potrafi zarówno rozbawić, poruszyć, jak i trzymać w napięciu. W efekcie pierwsze rozdziały pochłonęłam jakoś tak po ludzku, między posiłkami, w wolnych chwilach, a gdzieś od połowy, jak siadłam na tyłku i czytałam, to aż trudno mi się było oderwać na siku. Warsztat trzymał poziom, pozorne nieścisłości nabierały sensu (to jest w ogóle świetna rzecz – nawet typowość maszkar znajduje w *Redlum* usprawiedliwienie), wątki zaczęły się zgrabnie spletać. Chciałam więc poznać finał tej historii jak najszybciej. A finał... pasuje do reszty. Naprawdę nie umiem tego ująć lepiej, by jednocześnie nie zdradzić zbyt wiele. Autorka od początku

<sup>1</sup> Nie piszę tu o notce z tyłu okładki, tylko o wpisie na blogu autorki.

do końca ukształtowała swoją powieść w spójną całość. I to się chwali, szczególnie u debiutantów.

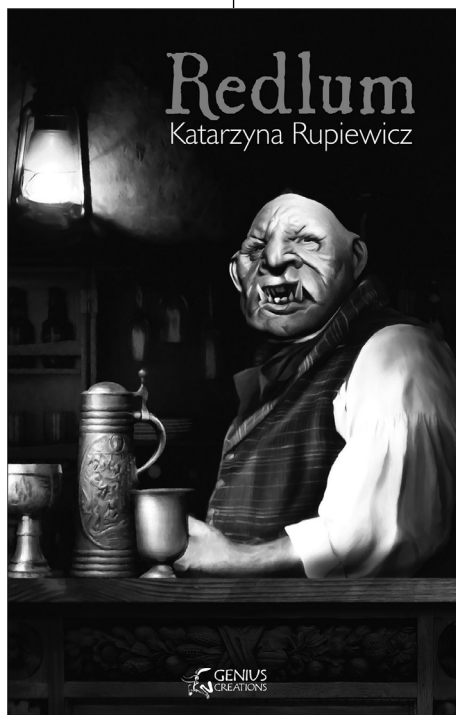
Pisząc o *Redlum*, nie mogę pominąć samych potworów. Bo to są ciekawe i mimo wiadomych korzeni – całkiem wiarygodne postaci. Chociażby wspomniany już troll, którego cięty dowcip wywołał u mnie niejeden uśmiech. Wampiry z kolei cieszą tym, że nie świecą w słońcu jak diamenty, tylko po ludzku... znaczy po wampirzemu piją krew.

Główny bohater to jedna z najsympatyczniejszych postaci, z jakimi się spotkałam w książce. Słodki jest karczmarzem. Tyle że jego funkcja nie polega jedynie na gotowaniu posiłków, rozlewaniu napoi i zmywaniu naczyń, choć w powieści nie brakuje dowcipów na ten temat. To osoba

trochę od wszystkiego. A to ghoulom podrzuci truchelko na obiad, a to umoczy palce w handlu albo pomoże znaleźć nowej rezydentce *Redlum* dom. Ma przy tym coś takiego w sobie, że trudno go nie polubić. Z jednej strony potrafi dać w gębę, żartobliwie odpyskować, wykazać się brawurą, z drugiej jest niesamowicie uprzejmy, całkiem bystry i wbrew pozorom ma dosyć miękkie serce, choć nie brakuje mu wad. W tym szczególnie jednej słabości – tej do płci pięknej.

Ogólnie to działania potworów zaważają na oryginalności *Redlum* i opowiedzianej w nim historii. Co jeszcze ciekawsze, podczas lektury nieraz zastanawiałam się, czy najgorszym, najbardziej nieludzkim stworzeniem w tym mieście nie jest aby człowiek.

■ MAGDALENA KUCENTY



©Ilustracja i projekt okładki: Paweł Dobkowski

# Wampiry nie noszą lycry

Wywiad z Markiem Rein-Hagenem

Rozmawiała Anna Jakubowska

**A**нна Jakubowska: To już 25 lat, odkąd wydałeś *Wampira: Maskaradę...*

**Mark Rein-Hagen:** Tak, to niesamowite!

**AJ:** Co się od tamtego czasu zmieniło? Na przykład twoje spojrzenie na tę grę? Jak w ogóle wspominasz tamte czasy?

**MHR:** Nawet sobie nie wyobrażałem, co osiągnę przez te 25 lat! Oczywiście, kiedy jest się młodym, nigdy się nie myśli tak daleko naprzód. To po prostu zbyt abstrakcyjne, by o tym myśleć. Ale teraz oglądam się wstecz i to niesamowite, że moja gra jest wciąż popularna. Niektórzy ludzie wciąż ją uwielbiają i w nią grają. A tutaj [na Pyrkon – dop. AJ] zaproszono mnie nie z powodu mojej nowej gry, ale właśnie z powodu *Wampira* i Świata Mroku. To dość niesamowite, a dla mnie nawet dziwne uczucie, zwłaszcza że przez jakiś czas nie zajmowałem się grami. Przez kilka lat skupiałem się na swojej karierze politycznej konsultanta i dosłownie nawet nie czytałem blogów o grach. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Powrót do branży wywołał reakcję: „wow, okej!”

**AJ:** Więc miałeś miłą niespodziankę?

**MRH:** Tak! Naprawdę, przez ponad 10 lat nie pojechałem nawet na żaden konwent. Nie robiłem nic, co w jakikolwiek sposób wiązało by się z gamingiem.

**AJ:** Wracając do 1991 roku, kiedy opublikowałeś *Wampira* – to było naprawdę duże przedsięwzięcie, prawda? Nie bałeś się, nie denerwowałeś? Jak w ogóle wyobrażałeś sobie doprowadzenie tak dużego projektu do końca?

**MRH:** Byłem biedny. Żyłem na ramieniu i pączkach. Spałem w biurze. Nie mieliśmy nikogo do pracy w magazynie, więc dwie godziny dziennie pracowałem w naszym garażu, pakując pudełka i sprzedając produkty z serii *Ars Magica*. Byłem bardzo biedny. To nie było fajne.

**AJ:** Więc byłeś też zdeterminowany.

**MRH:** Tak. Miałem do wyboru zrobić to albo umrzeć. A w dodatku testerom nie spodobał się *Wampir* i wszyscy odeszli.

**AJ:** Dlaczego się im nie spodobał?

**MRH:** Nie rozumieli go. Byli przyzwyczajeni do *Dungeons and Dragons* oraz fantasy i po prostu nie rozumieli *Wampira*. To było dla mnie bardzo trudne, ponieważ wszyscy w firmie powtarzali: „nie rozumiemy tej gry i uważamy, że nie powinniśmy jej wydawać, to szaleństwo”. Ale mój partner biznesowy, Steward Wieck, wierzył we mnie. Poszedł do swoich rodziców i pożyczył od nich 10 tysięcy dolarów. Ja poszedłem do swoich i jeszcze do dziadków i też pożyczyłem 10



tysięcy. Obiecaliśmy, że oddamy im w ciągu roku. A oddaliśmy w sześć miesięcy! Gra od razu odniosła niesamowity sukces.

**AJ:** Twoja rodzina naprawdę w ciebie wierzyła.

**MRH:** O tak.

**AJ:** Czy kłopoty wynikały także stąd, że *Wampir* był systemem narracyjnym?

**MRH:** Tak. W tamtych czasach stanowiło to ogromne odejście od konwencji – fakt, że jakikolwiek podręcznik RPG może tyle miejsca poświęcać na opis settingu. D&D w tamtych czasach w ogóle nie opisywało świata. Przyjmowało się, że setting to po prostu świat fantasy – i tyle. Oczekiwano od graczy, że będą czerpać wiedzę z książek. A tu pojawiła się gra, gdzie większość podręcznika wyjaśnia: „tu masz świat, tu masz zasady do tego świata, tu masz różne sposoby na interakcje ze światem i pomiędzy graczami”. Nikt tego wcześniej nie robił.

Wzięliśmy ludzi z zaskoczenia.

**AJ:** Słyszałam na ten temat interesującą anegdotkę. Karta postaci do *Wampira* opisywała statystyki kropkami, podczas gdy zwykle reprezentowano je liczbowo. Podobno zrobiliście to po to, aby podkreślić, że to system storytellingowy. Czyj to był pomysł?

**MRH:** To był mój pomysł. Uparłem się na te kropki i wszyscy myśleli, że oszalałem.

**AJ:** Dzisiaj to się wydaje zabawne, prawda?

**MRH:** Tak. Chociaż wiesz, dzisiaj ludzi myślą, że zwariowałem, bo łączę RPG z karcianką. Kiedy przekraczasz pewne granice, ludzie zawsze sądzą, że ci odbiło, nie podoba im się to. I wtedy odchodzą od projektu, krzyczą na ciebie i są niezadowoleni. Wszyscy mówią, że zwariowałeś, a potem nagle nazywają cię geniuszem. To się zmienia ot, tak! \*pstryka palcami\* Z *Wampirem* wiąże się akurat dość zabawna historia. Miałem pewnego przyjaciela, który pracował dla White Wolf – nie powiem kto, ale to dość znane nazwisko – i aż do samego końca, nawet kiedy już wydaliśmy grę, wciąż powtarzał: „to był głupi projekt, wszystko spieprzyłeś”. A potem zarobiłem grube pieniądze i nagle z dnia na dzień zaczął mówić: „jesteś geniuszem”. Tak mu się odmieniło! Myślał, że gra się nie sprzedaje. A potem przychodziły kolejne zamówienia od dystrybutorów i kolejne, i kolejne. Wyprzedaliśmy nakład. To był ten wielki moment, kiedy wreszcie mogłem powiedzieć: „okej, udało się nam”.

**AJ:** Powiedziałeś, że byłeś wtedy bardzo biedny. Z drugiej strony, w *Werewolf 20<sup>th</sup> Anniversary Edition* Bill Bridges wspominał, że zanim jeszcze w ogóle wiedział, że będzie pracował nad

**Wilkołakiem, miał swój pierwszy odjazd. Ponoć zobaczył wtedy między innymi Umbre... Czy rzeczywiście wy, twórcy gier, żyliście w ten sposób? Sex, drugs, rock'n'roll i RPG-i?**

**MRH:** Owszem, coś w tym stylu! Zawsze lubiłem eksperymentować. Brałem kwas w college'u. Nigdy nie wpadłem w nałóg, ale próbowałem różnych narkotyków, z ciekawości. Nie jestem narkomanem, po prostu eksperymentowałem. A kiedy opublikowaliśmy *Wampira* – to było jak życie gwiazdy rocka. Nigdy nie zapomnę Dragon Conu, na którym zespół gothów grał specjalny wampirzy koncert. Przyszły tysiące ludzi! Wszyscy byli fanami wampirów, tańczyli w klubie, naprawdę duże wydarzenie. I nagle w pewnym momencie frontman krzyczy: „Panie i panowie, MARK REIN•HAGEN!”. Ruszyłem w stronę sceny, a ludzie podnieśli mnie i podawali sobie z rąk do rąk jak gwiazdę rocka. W ogóle przez pierwsze dwa lata White Wolf przypominał zespół, a ja byłem jego liderem. Wszędzie jeździliśmy karawanem pomalowanym w motywy z *Wampira*. Jeździliśmy z konwentu na konwent z dziecięcą trumną pełną plastikowych kłów. I wszędzie sialiśmy pandemonium! A potem jeździłem po świecie i robiłem larpy, przy okazji je popularyzując. Chamber larpy to początki nordyckich larpów. Kiedy pojechałem do Skandynawii, robiłem larpy w każdym kraju. W ten sposób promowałem też *Wampira*. Bo jaki jest najlepszy sposób, aby ludzie na konwencie zagrali w twoją grę? To nie papierowe RPG. Nie jesteś w stanie zaprezentować gry w ten sposób na konwencie, nie poprowadzisz wystarczająco dużo sesji. Więc kiedy pojechałem do Brazylii, zrobiłem sam larpa na 500 ludzi.

**AJ: Niesamowite!**

**MRH:** Trzeba było nad tym trochę pogłówekować. Ale w ten sposób „nawróciłem” Brazylię. Do dziś *Wampir* jest tam grą numer jeden, a Świat Mroku jednym z najpopularniejszych settingów. Choć to dziwne, bardziej popularnym niż D&D.

**AJ: Więc to nie tylko taka romantyczna opowiadka, naprawdę żyliście życiem swoich postaci?**

**MRH:** Tak, przez jakiś czas. Potem mi się znudziło.

**AJ: A skoro już jesteśmy przy larpach, słyszałeś może o nadchodzącej grze pod nazwą *Convention of Thorns*?**

**MRH:** \*radośnie\* Tak! Słyszałem.

**AJ:** I co o niej sądzisz?

**MRH:** Szykuje się dobra zabawa. To ekscytujące. Mam nadzieję, że pojedę.

**AJ: Byłoby interesujące zobaczyć, jak oceni ją twórca *Wampira*.**

**MRH:** Tak. Uwielbiam larpy. To prawdopodobnie moja ulubiona forma role-playingu. To naprawdę dobra zabawa. Ale jeżdżę na takie imprezy tylko, jeśli mnie zaproszą, jeśli dostanę bilet i przelot samolotem. W przeciwnym wypadku nie zostawiam mojej rodziny. Mam trójkę dzieci, więc jeśli nie opłacą mi przejazdu, nie zostawiam ich.

**AJ: A skąd twoja miłość do nieumarłych? 25 lat temu zacząłeś od wampirów, potem pojawił się cały Świat Mroku, a dziś wracasz do branży z grą o zombie. No, czemu akurat nieumarli?**

**MRH:** Uwielbiam horror. Myślę, że pozwala spojrzeć na życie z nowej perspektywy. Superbohaterowie są głupi. No wiesz, spandex i rajstopy – nie jest to rodzaj kostiumu, który trafiałby w mój gust. Superbohaterowie nie są w ogóle realistyczni.

Natomiast horror pozwala tworzyć superbohaterów – ludzi z niezwykłymi mocami, naprawdę niesamowitymi mocami – ale są oni jednocześnie bardziej realni i chciwi. Wampiry są superbohaterami, oczywiście, mają supermoce, ale nie noszą lycry, nie latają dookoła i nie zachowują się heroicznie. Mogą być altruistami, ale większość z nich nie jest – i przez to są bliższe ludziom. Ludzie też nie są przez cały czas heroiczni. Może czasami, w wyjątkowych okolicznościach, ale z pewnością żyjemy w pewnej szarej strefie. Myślę, że horrory są właśnie o tym. Jasne, istnieje w nich zło, ale większość horrorów jest o ludzkich zmaganiach. Bohaterowie szamoczą się gdzieś między dobrem a złem, postawą heroiczną a postawą tchórza – to właśnie są podstawowe zmagania ludzi w horrorach. Prawdziwych ludzi. Dobry horror jest o prawdziwych ludziach. To jest dla mnie interesujące. Z drugiej strony jednak nie chciałbym grać kimś pracującym w fabryce albo w grę o rodzinie. Lubię filmy i seriale o rodzinach, najczęściej komedie, ale odgrywanie tego byłoby nudne.

**AJ: Czyli chodzi o odkrywanie człowieczeństwa?**

**MRH:** To motyw przewodni *Wampira*. Nie tyle odkrywanie człowieczeństwa, co walka o nieutrącenie go. Chodzi o ten proces, tę walkę, aby trzymać się człowieczeństwa, chociaż staczasz się głęboko w świat zła i intrygi – to jak Hollywood. Czy jesteś w stanie trzymać się cały czas człowieczeństwa? Chodzi o tę walkę, tę interakcję pomiędzy twoim pragnieniem, żeby być czymś, twoim głodem a człowieczeństwem, twoją wrodzoną dobrocią. Istotą tej gry jest to, że gdy cała twoja dobroć zniknie, tracisz wolną wolę.

**AJ: Czyli chodzi o to, że horrory są**

**take szczególnie, ponieważ w nich gracz za pośrednictwem swojej postaci uczy się czegoś o własnym człowieczeństwie?**

**MRH:** Mam nadzieję. Mój ojciec jest luterańskim pastorem. Zapytał mnie kiedyś: „Ta gra, *Wampir* – o czym ona jest? Czy uczy czegoś o moralności?”. Odparłem: „Tak, można się z niej wiele dowiedzieć o moralności. Motywem przewodnim gry jest fakt, że stając się potworem, uczysz się, co oznacza być człowiekiem”. To kluczowa fraza.

**AJ: „Potworami jesteście, aby potworami się nie stać”.**

**MRH:** Tak.

**AJ: Czy dlatego dziewczyny tak bardzo lubią *Wampira*? Bo jest narracyjny, bo ma w sobie filozofię...**

**MRH:** Myślę, że także dlatego, że wampiry są seksowne.

**AJ: Okej! \*śmieje się\***

**MRH:** Spójrzmy prawdzie w oczy: bardzo ważna rzecz dotycząca *Wampira* – jest bardzo seksowny. Mnóstwo ludzi grało w *Wampira* także po to, aby kogoś zaliczyć. To ważny element tej gry: to sposób na to, aby spotkać innych ludzi i zachowywać się uwodzicielsko, nie czując przy tym skrępowania. Myślę, że dziewczyny naprawdę to doceniły – *Wampir* nie skupia się na regułach tak, jak wiele innych gier, w których trzeba pamiętać wszystkie zasady.

**AJ: Tabelki, statystyki...**

**MRH:** Właśnie! W *Wampira* można grać, nie przeczytawszy zasad. Mnóstwo ludzi tak robi.

**AJ: A do tego dochodzi jeszcze *Złota Zasada, prawda?***

**MRH:** Która jest według mnie kluczowa. Tu chodzi o narracyjność. Uważam, że gry RPG nie powinny skupiać się na

zasadach. A jednak wiele z nich to robi – podczas gdy zasady tak naprawdę nie mają znaczenia! Spytaj mnie albo Johna Wicka, albo dowolnego projektanta gier, wszyscy odpowiemy ci, że zasady po prostu nie mają znaczenia. Liczy się setting, postaci, liczy się dobra zabawa, narracja. Olejcie zasady, na litość boską, olejcie je! A przecież są [w podręczniku] zasady, więc skoro wam mówimy, żeby je olać, to naprawdę mamy to na myśli.

**AJ: W jaki sposób Wampir wpłynął na I Am Zombie? Kiedy pierwszy raz czytałam opis gry, dowiedziałam się, że zombie gromadzą odium, stają się mniej ludzkie, a potem znów mogą stać się bardziej ludzkie. To przypomina zmagania z Bestią, prawda?**

**MRH:** Absolutnie. Przynajmniej częściowo jest to celowe. *I Am Zombie* to pierwsza z serii gier przynależących bardziej do science fiction niż fantasy, jak *Wampir*. Chciałem, aby ludziom, którzy lubią *Wampira*, łatwiej było zagrać w *I Am Zombie*. Grasz zombie – w ten sposób kontekst wydaje się bardziej znajomy. Ale jednocześnie gra jest zupełnie inna. Zombie są dużo zabawniejsze. Nie biorą siebie tak serio. To przede wszystkim *body horror*. A *Wampir* to bardziej: \*dramatyczny ton\* „Potworami jesteśmy, aby potworami się nie stać!”

**AJ: Czyli I Am Zombie nie jest takie dramatyczne.**

**MRH:** Nie jest, jest za to zabawne. Filmy o zombie są zabawne i bardzo bezpośrednie. Filmy o wampirach zwykle nie są zabawne. Zombie pierdzą i krwawią. Więc klimat *I Am Zombie* jest zupełnie inny i to mi się podoba. Wciąż nad tym pracuję. W *Wampirze: Maskaradzie* wampiry miały Maskaradę, która pomagała im ukryć swoje istnienie

przed światem. W *I Am Zombie* rząd wie, że istniejesz i to on ukrywa ten fakt. Ciebie to nie obchodzi. Ale jeśli ujawnisz swoje istnienie światu, rząd cię wytropi i zabije. Czyli mamy taki rządowy spiszek. Poza tym każdy szczegół jest niemal przeciwstawny *Wampirowi*.

**AJ: Czemu postanowiłeś zrobić z I Am Zombie częściowo grę karcianą? To czysty eksperyment?**

**MRH:** Nie, nie! Chodzi o to, że gry fabularne stały się strasznie skomplikowane i podręczniki wciąż się rozrastają. Kiedy wydawałem *Wampira*, większość podręczników nie miała 400 stron, a jakieś 80-100. A teraz nagle 400 stron to norma. To jakieś szaleństwo! Nikomu nie chce się uczyć tylu reguł. To odstrasza ludzi i dlatego RPG jako hobby umiera, coraz mniej ludzi gra. A dzięki kartom można zaproponować sesję komuś, kto nigdy wcześniej nie grał w RPG-i ani w gry planszowe albo tylko w kilka planszówek, i powiedzieć: po prostu wybierz 5 kart. I już po tworzeniu postaci, można od razu zacząć grać. Twoja postać zaczyna jako człowiek, więc nie musisz w ogóle znać świata. O świecie zombie uczysz się wraz ze swoją postacią.

**AJ: Ale mistrz gry nadal musi wszystko wiedzieć.**

**MRH:** Na to nic nie poradzę. Wiedza mistrza gry wciąż jest niezbędna. Prawie zawsze. Chociaż – pracujemy nad tym. Chcemy wydać dodatki dla początkujących mistrzów gry, takie przewodniki. Nie czyta się ich wcześniej, tylko już w trakcie. Będą zawierać szybkie wskazówki, co robić: „tutaj udawaj kiepski brytyjski akcent” albo „powiedz to a to”. Myślę, że mnóstwo ludzi śmiertelnie boi się mistrzowania. Ale szczerze mówiąc, niektórzy moi ulubieni

mistrzowie nie robili tego nigdy wcześniej, a potem za pierwszym razem odkryli, że są znacznie lepsi, niż sądzili. A my potrzebuujemy więcej więcej mistrzów gry.

**AJ:** Nie wiem, czy słyszałeś kiedykolwiek o polskiej grze RPG zwanej *Klanarchia*? Podobno autor pracuje nad drugą edycją i planuje wydać ją bardziej w formie albumu, z mnóstwem grafik i ilustracji, czasem komentarem tu i ówdzie.

**MRH:** Myślę, że tak wygląda przyszłość branży. \*wskazuje na książkę *I Am Zombie*\* To nie jest produkt z serii. Make Believe Games tego nie opublikowało. Tam jest napisane „Purgatory Press”. Purgatory Press to wydawnictwo zombie. O tej książce można powiedzieć graczom: „Słuchajcie, nie musicie tego czytać, ale jeśli wasze postaci to przeczytają, to wy też powinniście, ponieważ ta książka pomoże wam przetrwać”. Ale jeśli twoja postać nie przeczytałaby tej książki, ty też nie musisz. Nie ma w niej nic, co musisz wiedzieć. Nauczysz się tego w ten czy inny sposób. Ale przeczytanie jej może dać ci przewagę. No i to uczucie „O mój Boże, ta książka jest artefaktem, moja postać ją czyta!”. Ona istnieje realnie w świecie gry, więc można ją zabrać na larpa. Myślę, że to fajne i zabawne, sprawia, że świat gry wydaje się bardziej żywy.

**AJ:** W latach 90. był emitowany serial *Więzy krwi*. Czytałam, że nie byłeś z niego zadowolony. Co byś zmienił, gdybyś mógł go zrobić od nowa? I gdyby ostatnie słowo należało do ciebie?

**MRH:** Przede wszystkim nie sprzedałbym praw Aaronowi Spellingowi. [Jego firma] to podrzędna telewizja. Jest sławna, ale pochodzi z czasów, kiedy seriale telewizyjne były głupie. Złota era telewizji zaczęła się od *Buffy*, *The Wire* i *Rodziny Soprano*.

Teraz filmy są dość podrzędne – głupie filmy o superbohaterach. Kręci się bardzo mało dobrych filmów, ale telewizja stała się niesamowita. Jednak wtedy moim jedynym celem było dostać się do Hollywood, tylko to chciałem wtedy robić, więc jak tylko Hollywood mnie wezwało, przeprowadziłem się. Pracowałem nad grami komputerowymi i w telewizji, robiłem karierę scenopisarską. Pracowałem nad paroma niewampirzymi scenariuszami. Ale Hollywood to brutalne miasto. Kiedy zmarł Mark Frankel, straciłem cały swój zapał. Chociaż część mnie żałuje, że nie zostałem.

**AJ:** Czy doświadczenie przy projektowaniu gier jakoś ci wtedy pomogło? Jak z kolei doświadczenie przy filmach wpłynęło na ciebie jako projektanta gier?

**MRH:** Branża gier wtedy i dziś... Cóż, dziś jest bardziej pozbawiona skrupułów i to narosło z powodu bardziej biznesowego podejścia. Kiedyś było sympatycznie. Wszyscy się dogadywali, przyjaźnili... Częściowo nadal tak jest. Z kolei w Hollywood wszyscy udają twoich wielkich przyjaciół, a tak naprawdę są bezwzględni, bezwzględni i jeszcze raz bezwzględni. Potną cię na kawałki i rzucają je niedźwiedziom na pożarcie. Tam naprawdę dzieje się źle. I po prostu mi się to nie podobało. Zawsze marzyło mi się, aby branża zgromadziła się i pracowała razem. Ale nawet w pokoju scenarzystów serialu telewizyjnego to tak nie wygląda. Nie pracuje się razem, aby stworzyć świetny scenariusz. Zamiast tego próbujesz przeforsować własne pomysły, wygryźć innych, starasz się, aby cudze pomysły nie przeszły. To jak wataha warczących na siebie psów, wiecznie walczących ze sobą. Dla mnie to nie jest dobra atmosfera dla kreatywnej pracy. Nie podoba mi się za bardzo.

**AJ: Czyli Hollywood zabijało twoją produktywność?**

**MRH:** Tak. Myślę, że znacznie lepiej czułbym się w BBC w Wielkiej Brytanii albo w innych krajach. W innych krajach branża TV jest bardziej wyluzowana i kreatywna. Hollywood jest na samym szczycie i do tego bezwzględne, bardzo okrutne. Ale cóż, takie po prostu jest, niektórym to sprzyja. Niektórzy z kolei znajdują sposób, aby przed tym uciec, na przykład Steven Spielberg stworzył sobie swój mały świat. Więc dla niego Hollywood nie jest okrutne, ale dla wszystkich, którzy dla niego pracują – już tak.

**AJ: Oglądałam twoje wystąpienie na konferencji TED – to o grach i uczeniu się. Było świetne, ale jedna rzecz wciąż mnie zastanawia: jak myślisz, dlaczego granie może się wydawać czymś podrzędnym? Mówiłeś wtedy, że dla niektórych nauka nie jest nic warta, jeśli była przyjemna...**

**MRH:** Ludzie nie doceniają gier, ponieważ wydają im się dziecinne. Ten sam problem miała kiedyś Ameryka z komiksami. Ludzie uważają komiksy za przeznaczone dla dzieci, więc nie mają dla nich szacunku. Natomiast w Japonii komiksy nigdy nie są traktowane jako dziecinne. Tam wszyscy je czytają i właśnie tam znacznie szybciej niż gdziekolwiek na świecie komiksy stały się sztuką. U nas to dzięki takim tytułom jak *Maus*, *Watchmen* i *Sandman* komiksy zyskały szacunek. Z grami jest podobnie. Nie mieliśmy jeszcze growej Mony Lisy albo Szekspira gamingu, więc ludzie nie doceniają gier, ale myślę, że brakuje nam już tylko tyle. \*pokazuje niewielką odległość między kciukiem a palcem wskazującym\* Pojawiło się już trochę niezwykłych gier, ale niszowych, jak *Wampir*. *Wampir* to gruba

ryba na polu RPG, ale większość ludzi o nim nie słyszała. Ba, większość wielbicieli planszówek pewnie nigdy o nim nie słyszała.

**AJ: Pytam także dlatego, że Ursula K. Le Guin w tekście *Why Are Americans Afraid of Dragons* stwierdziła, że to pokłosie protestanckiego wychowania.**

**MRH:** Zgadzam się.

**AJ: A mnie takie wyjaśnienie nie do końca satysfakcjonuje. Może jest wystarczające dla Amerykanów lub innych narodowości, gdzie dominuje protestantyzm, ale co z resztą świata?**

**MRH:** Myślę, że odkąd to napisała, fantasy się rozprzestrzeniło. *Władca pierścieni* przebił się do mainstreamu, *Gra o tron* jest supermainstreamowa – więc myślę, że teraz fantastyka jest zupełnie akceptowana. To się zmieniło. Myślę, że żyjemy w erze fantastyki. Ludzie potrzebują ucieczki od rzeczywistości. Kiedy nie chcesz myśleć o swoim życiu, cudze fantazje są najlepszym sposobem na oderwanie się, ponieważ to zupełnie inny świat, gdzie wszystko może się wydarzyć. Nie sądzę, aby ludziom podobały się kiczowate smoki, ale na przykład te z *Gry o tron* są idealne. To nie wyswiechtany schemat – no wiesz, smok pilnujący skarbu. Pojawiły się z wolna, na początku pokazano tylko jaja. I teraz smoki są w porządku.

**AJ: Myślisz, że fantastyka także musiała dojrzeć?**

**MRH:** Tak. *Gra o tron* to akurat lekka fantastyka. Nie taka „ojej, wszystko jest magiczne!”. Magia występuje rzadko, a sam serial to bardziej dramat historyczny.

**AJ: Niektóre postaci w ogóle nie wierzą w istnienie magii.**

**MRH:** No właśnie! I z tego powodu seria odniosła taki sukces: fantastyka to drobny magiczny pyłek, którym kiedy niekiedy

okrasza się resztę, ale przez większość czasu Martin go nie używa. I stąd cała moc serii, ponieważ opowiada o prawdziwych ludziach z prawdziwymi problemami. Magia nie stanowi dostępnej dla wszystkich technologii – nie pstrykasz palcami i magiczna miotła wszystkiego nie pozamiata. Świat tak nie działa.

**AJ: A wracając do gier i uczenia się: czy jedne gry są lepsze od innych? Mówiłeś, że gry świetnie uczą całej masy rzeczy i zastanawiałam się: czego możemy się nauczyć, grając na przykład w *Angry Birds*?**

**MRH:** Wszystkie gry czegoś uczą. *Angry Birds* może akurat mniej niż inne, ale kiedy moje dzieci grają w *Angry Birds*, uczą się, jak myśli komputer. *Angry Birds* to powtarzalna gra. Grając w nią, uczysz się, jak komputer wchodzi z tobą w interakcje, możesz dostrzec pewne wzorce. Dla dorosłego pewnie nie byłaby zbyt pożyteczna, ale dla dzieci to duże odkrycie. Natomiast *Minecraft* jest znacznie lepszy niż *Angry Birds*. Jest niesamowity. Uczy kreatywności, konstruowania, sztuki i tak dalej. Dlatego właśnie nie ograniczam moim dzieciom grania. Wolę, żeby grały, niż żeby oglądały telewizję.

**AJ: Już prawie czas kończyć, ale chciałam zapytać o jeszcze jedną rzecz.**

**Pomyśl o pytaniu, na które zawsze chciałeś odpowiedzieć, ale nikt nigdy go nie zadał. Coś, czym chciałbym się podzielić z ludźmi...**

**MRH:** \*zastanawia się\* „Tak”. To moja odpowiedź.

**AJ: Na jakie pytanie?**

**MRH:** Nie mogę ci powiedzieć. \*śmieje się\* Dobra, niech pomyślę. \*po chwili\* Myślę, że pytanie brzmi „Dlaczego uwielbiasz gry?”. A odpowiedź to: kocham gry, ponieważ są formą narracji, w której mogę brać udział nie tylko jako narrator albo postać, ale także jako strateg. Gry opierają się na szukaniu rozwiązań, a ja najbardziej lubię historie, gdzie postaci muszą rozwiązać jakiś problem. W grach staję się właśnie tą osobą. Za każdym razem, gdy gram w jakąś grę, muszę ją zrozumieć, połączyć się w wydarzeniach, zdecydować, jak zaangażować się w historię. To dla mnie bardzo interesujące.

ROZMAWIAŁA I PRZEŁOŻYŁA

■ ANNA JAKUBOWSKA

Dziękuję Marcinowi Kuczyńskiemu, Jerzemu Rzymowskiemu i innym osobom, które pomogły mi przygotować się do wywiadu. – AJ

KONWENT FANTASTYKI

16-18.06.2017

OSTRÓDA

FANTASMAZURIA

### UWAGA KONKURS

Ogłaszamy konkurs na opowiadanie w klimatach słowiańskich!

*Na czym polega zadanie?*

Autorzy będą musieli wymyślić mit, o którym nie przetrwały żadne zapiski. Czyli prościej rzecz ujmując: mit roboty własnej. Oczywiście, jak to w słowiańszczyźnie – skoro mamy zaginioną baśń, to musimy mieć również jakąś nadnaturalną istotę (rzecz jasna, także własnej roboty). A czy będzie to zła czy dobra istota? Czy przeżyje do czasów dzisiejszych albo zdoła przetrwać gatunek ludzki? I co przywoływało ją do życia? Niczego w tym względzie nie narzucamy. Liczymy natomiast na waszą kreatywność.

W grę wchodzi wszelkie gatunki spod szyldu fantastyki: fantasy, SF, postapo, horror, a nawet steampunk... co dusza zapagnie! Pamiętajcie jedynie, że wasz mit powinien odegrać ważną rolę w fabule opowiadania.

**Kwestie techniczne:** w konkursie obowiązuje limit jednego tekstu na osobę, o maksymalnej objętości **35 000 znaków ze spacjami**. Mając to na uwadze, możecie już chwycić za pióra.

Więcej szczegółów ogłosimy niebawem na naszej stronie [www.smokopolitan.pl](http://www.smokopolitan.pl).

Termin nadsyłania prac konkursowych to **29 marca 2017 r.**

**Skrzynka:** [redakcja@smokopolitan.pl](mailto:redakcja@smokopolitan.pl) (w temacie prosimy wpisać **KONKURS**)

Na zwycięzców czekają nagrody książkowe oraz publikacja w sierpniowym numerze Smokopolitana.

Do Piór! I oby Wena była z Wami.

*Kregulcowe Dni*

*Jastrzębie - Zdrój*

*11.02.2017 r.*



